

**DANIELLE STELL**

# **OBIETNICA**

Przełożyła Ewa Górczyńska

Tytuł oryginału

THE PROMISE

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Poranne słońce świeciło im w plecy, kiedy zabierali rowery sprzed Eliot House na terenie Uniwersytetu Harvarda. Przystanęli na chwilę i uśmiechnęli się do siebie. Wokół zakwitał maj, a oni byli młodzi. Jej krótkie włosy lśniły w promieniach słonecznych. Spojrzała mu w oczy i roześmiała się.

- Jak się pan czuje, doktorze architektury?

- Zapytaj mnie o to za dwa tygodnie, kiedy odbiorę dyplom. - Odpowiedział jej uśmiechem i ruchem głowy strząsnął z czoła kosmyk jasnych włosów.

- Nie chodzi mi o dyplom. Pytam, jak się czujesz po ostatniej nocy. - Znów się roześmiała, a on klepnął ją w pupę.

- Spryciara. A jak pani się czuje, panno McAllister? Może pani jeszcze chodzić?

Przerzucili nogi przez ramy rowerów. Spojrzała na niego wyzywająco.

- A ty możesz? - Z tymi słowami ruszyła przed siebie na małym, zgrabnym rowerze, który dostała od niego na urodziny zaledwie parę miesięcy temu. Kochał ją. Zawsze ją kochał. Marzył o niej przez całe życie. A znali się od dwóch lat.

Przedtem pędził na uniwersytecie samotne życie i na drugim roku nie spodziewał się żadnych zmian. Nie pragnął tego, co inni. Nie interesowały go dziewczęta z Radcliffe, Vassar czy Wellesley. Kiedyś znał ich aż nazbyt wiele. Szukał czegoś więcej. Charakteru, indywidualności, duszy.

Nancy była niezwykła. Wiedział to od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył w bostońskiej galerii, gdzie wystawiano jej obrazy. W malowanych przez nią pejzażach kryła się dojmująca samotność, jej postacie emanowały współczuciem; miał ochotę czegoś się o nich dowiedzieć i poznać artystkę, która je stworzyła. Siedziała tam w czerwonym berecie i starym futrze z szopów. Delikatną cerę miała wciąż zaróżowioną od marszu do galerii na Charles Street, oczy jej błyszczały, a twarz promieniała ożywieniem. Nigdy nie pragnął tak żadnej kobiety. Kupił dwa z jej obrazów i zaprosił na kolację do Lokcbera. Następny etap trwał o wiele dłużej. Nancy McAllister nie oddawała szybko swojego ciała ani serca. Zbyt długo była samotna, żeby łatwo ulegać. Chociaż miała dopiero dziewiętnaście lat, była mądra i wiedziała, co znaczy ból. Ból samotności. Ból porzucenia. Nie opuszczał jej od czasu, gdy w dzieciństwie oddano ją do sierocińca. Nie pamiętała już dnia, kiedy przyprowadziła ją tam matka, która wkrótce potem zmarła. Nancy nie zapomniła jednak chłodu sal, zapachu obcych ludzi i odgłosów poranka, kiedy leżąc w łóżku tłumiła łzy. Będzie to pamiętała do końca życia. Przez długie lata była pewna, że nic nie wypełni pustki w jej duszy. Ale teraz miała Michaela.

Ich związek nie zawsze był łatwy, ale mocny, zbudowany na miłości i szacunku; ich światy się połączyły, tworząc coś pięknego i rzadkiego. Michael również nie należał do naiwnych. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie wynikają z miłości do kogoś „innego”, jak to przy każdej okazji nazywała jego matka. Ale Nancy nie należała do „innych”. Wyróżniała się jedynie tym, że była artystką, a nie tylko studentką. Nie poszukiwała własnej drogi, już nią kroczyła. W przeciwieństwie do innych znanych Michaelowi kobiet, nie sprawdzała po kolei wszystkich napotkanych chłopców, czy nadają się na męża. Już wybrała ukochanego. Przez dwa lata nigdy jej nie zawiódł. Była pewna, że nigdy tego nie zrobi; zbyt dobrze się znali. Czy zostało jeszcze coś, czego się o nim jeszcze nie dowiedziała? Poznała go na wylot. Wiedziała wszystko o jego śmiesznoścach, niemądrych sekretach, dziecięcych marzeniach i dręczących lękach. Dzięki temu nabrała szacunku dla całej jego rodziny, nawet dla matki. Michael przyszedł na świat w rodzinie z tradycjami i od dzieciństwa przygotowywano go do objęcia tronu. Nie traktował tego lekko, nigdy nawet nie żartował na ten temat. Czasami ta perspektywa go przerażała. Co będzie, jeśli nie sprostą tradycji? Nancy była pewna, że tak się nie stanie. Jego dziadek, Richard Cotter, tak samo jak jego ojciec, był architektem. To właśnie dziadek założył imperium, ale dopiero połączenie firmy Cotterów z majątkiem Hillyardów, które nastąpiło dzięki małżeństwu rodziców Michaela, doprowadziło do powstania imperium Cotter-Hillyard w obecnej postaci. Richard Cotter umiał zarabiać, ale dopiero pieniądze Hillyardów - stare pieniądze - wniosły do firmy rytuały i tradycje władzy. Czasami trudno było dźwigać takie brzemie, ale Michael nie czuł do niego niechęci. Nancy również to szanowała. Zdawała sobie sprawę, że pewnego dnia Michael stanie u steru przedsiębiorstwa Cotter-Hillyard. Na początku znajomości ciągle o tym rozmawiali, i później, kiedy zdali sobie sprawę z powagi ich związku, również. Michael wiedział, że znalazł kobietę, która podoła zarówno obowiązkom rodzinnym, jak towarzyskim. Sierociniec w żaden sposób nie przygotował jej do takiego życia, ale odpowiednie cechy miała zapisane w charakterze.

Teraz patrzył na nią z niewysłowioną dumą, kiedy mknęła przed nim, tak pewna siebie, mocna, sprawnie naciskając smukłymi nogami pedały roweru. Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego przez ramię. Chciał ją dogonić, zdjąć z roweru... i tutaj... na trawie... tak jak zeszłej nocy... tak jak... Odsunął od siebie te myśli i pomknął za nią.

- Hej! Zaczekaj na mnie, wariatko! - Po chwili się z nią zrównał. Jechali teraz spokojnie i blisko siebie, więc wyciągnął do niej rękę. - Ślicznie dzisiaj wyglądasz, Nancy. - Jego głos brzmiał w wiosennym powietrzu jak pieszczota. Świat wokół nich był świeży i zielony. - Wiesz, jak bardzo cię Kocham?

- Pewnie najwyżej w połowie tak mocno, jak ja ciebie.

- Widać, że niewiele wiesz.

Przy Michaelu zawsze była szczęśliwa. Robił takie cudowne rzeczy. Zauważyła to już na samym początku, kiedy wszedł do galerii i zagroził, że rozbierze się do aga, jeśli nie sprzeda mu wszystkich swoich obrazów. Kocham cię przynajmniej siedem razy mocniej niż ty mnie - powiedział.

- Nie sędzę. - Znowu się do niego uśmiechnęła, podniosła głowę i ponownie go wyprzedziła. - Ja cię bar dziej kocham.

- Skąd wiesz? - Starał się ją dogonić.

- Święty Mikołaj mi powiedział. - Mówiąc to, przyśpieszyła jeszcze bardziej i tym razem Michael puścił ją przodem na wąskiej ścieżce.

Byli w radosnym nastroju, a on lubił na nią patrzeć. Miała szczupłe, opięte dzinsami biodra, wąską talię, kształtne ramiona, na których luźno zawiązała czerwony sweter, i wspaniałe, ciemne włosy, powiewające w pędzie. Mógłby na nią patrzeć przez całe wieki. Prawdę mówiąc, tak właśnie zamierzał. To mu przypomniało, że... od samego rana chciał z nią o tym porozmawiać. Znowu się do niej zbliżył i lekko klepnął ją w ramię.

- Przepraszam, pani Hillyard. - Słyszac te słowa, lekko drgnęła i nieśmiało się do niego uśmiechnęła. W promieniach słońca widział na jej twarzy drobne piegi, jakby to elfy zostawiły na kremowej skórze złoty pył. - Powiedziałem... pani Hillyard... - Wymawiał te słowa z wielką przyjemnością. Czekał na to dwa lata.

- Czy to nie jest trochę przedwczesne, Michael? - zapytała niepewnie, prawie ze strachem. Chociaż wszystko już między sobą uzgodnili, nie rozmawiał jeszcze z Marion.

- Wcale nie. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy to zrobić za dwa tygodnie. Tuż po rozdaniu dyplomów. - Już dawno uzgodnili, że ślub ma być skromny i cichy. Nancy nie miała rodziny, a Michael chciał dzielić tę chwilę tylko z nią, bez setek zaproszonych gości i armii fotoreporterów z plotkarskich magazynów. - Właściwie, to już dzisiaj chcę się wybrać do Nowego Jorku i porozmawiać z Marion.

- Dzisiaj? - W jej głosie pobrzmiwał lęk. Zwolniła i zatrzymała się. Kiedy w odpowiedzi skinął głową, w zamyśleniu spojrzała na otaczające ich wzgórza, po kryte soczystą zielenią. - Jak myślisz, co odpowie? - Bała się na niego spojrzeć i bała się jego odpowiedzi.

- Jasne, że się zgodzi. Naprawdę się o to niepokoisz?

- Oboje wiedzieli, że to niemądre pytanie. Mieli wiele powodów do niepokoju. Marion nie była jedną z koleżanek Nancy, tylko matką Michaela, kobietą tak delikatną i czułą jak Titanic, silną i zdecydowaną, jakby zbudowano ją z betonu i stali. Po śmierci ojca przejęła rodzinne interesy, a kiedy umarł jej mąż, prowadziła je z jeszcze większą determinacją. Nic nie było w stanie jej powstrzymać. Dosłownie nic. A już z pewnością nie młoda dziewczyna albo jedyny syn. Jeśli nie

zaaprobuję ich małżeństwa, żadna siła nie skłoni jej do wyrażenia na nie zgody, chociaż Michael udawał, że jest jej tak pewny. W dodatku Nancy doskonale zdawała sobie sprawę, co Marion Hillyard o niej sądzi.

Matka Michaela nigdy nie ukrywała swoich uczuć, zwłaszcza kiedy się przekonała, że przygoda jej syna z „artystką” może się okazać czymś poważnym. Wezwała go do Nowego Jorku i próbowała odwieść go od tej znajomości, początkowo życzliwymi radami, przymilnością i łagodną perswazją, a potem awanturami, groźbą i przekupstwem. Kiedy to nie poskutkowało, poddała się, a przynajmniej takie robiła wrażenie. Michael wziął to za dobry znak, ale Nancy wcale nie była tego taka pewna. Przeczuwała, że Marion wie, co robi. Na razie zdecydowała się ignorować tę „skomplikowaną sytuację”. Nie zapraszała ich do siebie, o nic nie oskarżała, nie przeproszała za to, co kiedyś powiedziała Michaelowi, ale też nie stwarzała żadnych nowych problemów. Nancy dla niej po prostu nie istniała. Dziewczyna z zaskoczeniem spostrzegła, że sprawia jej to wielki ból. Nie miała własnej rodziny, więc wiązała z Marion szczególne nadzieje. Marzyła, że zostaną przyjaciółkami, że przyszła teściowa ją polubi i razem będą chodziły kupować prezenty dla Michaela. W skrytości ducha liczyła, że Marion zastąpi jej matkę, której nigdy nie знаła. Ale matka Michaela nie zamierzała wchodzić w tę rolę. Nancy nie raz miała okazję się o tym przekonać. Jedynie Michael upierał się, że matka da się w końcu przekonać, pogodzi się z ich nieodwołalną decyzją i obie kobiety zostaną dobrymi przyjaciółkami. Nancy w to wątpiła. Zmusiła go nawet do rozpatrzenia możliwości, że Marion nigdy jej nie zaakceptuje i nie zgodzi się na ślub. Co wtedy? „Wtedy wskoczmy do samochodu i pojedziemy do najbliższego sędziego pokoju. Przecież oboje jesteśmy pełnoletni.” Rozbawiła ją prostota tego rozwiązania. Wiedziała, że to nigdy nie będzie takie proste. Ale czy to ma znaczenie? Po dwóch latach i tak czuli się jak małżeństwo.

Długo stali w milczeniu, spoglądając na krajobraz. W końcu Michael wziął Nancy za rękę.

- Kocham cię, skarbie.

- Ja też cię kocham. - Spojrzała na niego zatroskanym wzrokiem, a on zamknął jej oczy pocałunkiem. Jednak nic nie mogło ukoić dręczących ich wątpliwości. Może tylko rozmowa z Marion. Nancy upuściła rower na ziemię i z westchnieniem wsunęła się w objęcia Michaela.

- Chciałabym, żeby nasza sytuacja nie była taka skomplikowana.

- Już niedługo wszystko będzie proste. Zobaczysz. No, dość tego. Jedziemy dalej, czy będziemy tu stać cały dzień?

Uśmiechnęła się, a Michael podniósł jej rower. Po chwili znów pędzili przed siebie, śmiejąc się, żartując i śpiewając. Udawali, że Marion nie istnieje. Ale istniała, i tak miało być zawsze. To była raczej instytucja, a nie kobieta; przynajmniej w życiu Michaela. Teraz również w życiu Nancy.

Słońce wzniosło się wyżej na niebie, kiedy mknęli przez wiejskie okolice. Niekiedy jedno

wyprzedzało drugie, czasem jechali obok siebie, sprzecząc się żartobliwie, żeby po chwili zapaść w milczącą zadumę. Zbliżało się południe, kiedy dotarli do Revere Beach i zobaczyli znajome postacie, nadjeżdżające w ich stronę. To był Ben Avery z nową dziewczyną u boku, kolejną długonogą blondynką.

- Cześć. Jedziecie do wesołego miasteczka? - Ben wyszczerzył zęby w uśmiechu i z niedbałym machnięciem ręką przedstawił swoją towarzyszkę, Jeannette. Kiedy się przywitani, Nancy osłoniła oczy i spojrzała na widoczne w oddali wesołe miasteczko.

- Warto się tam zatrzymać? - zapytała.

- Chyba tak. Wygraliśmy różowego psa - wskazał na brzydką maskotkę w koszyku Jeannette - zielonego zółwia - ten zginął im gdzieś po drodze - i dwie puszki piwa! Poza tym, sprzedają tam kukurydzę w kolbach i jest wspaniale. Kostiumach. Wybrali postacie Rhetta Butlera i Scarlett O'Hary. O dziwo, na zdjęciu nie wyszli śmiesznie. Nancy wyglądała ślicznie w starannie namalowanej sukni. Delikatne piękno jej twarzy i regularne rysy doskonale pasowały do wybitnie kobiecego kostiumu piękności Południa. A Michael przypominał młodego zawiadacza. Fotograf wręczył im zdjęcia i zainkasował jednego dolara.

- Powinienem je zatrzymać. Oboje wyszliście wspaniale - stwierdził.

- Dziękujemy. - Komplement wzruszył Nancy, ale Mike tylko się uśmiechnął. Zawsze był z niej taki dumny. Jeszcze tylko dwa tygodnie i ... Nancy gorączkowo pociągnęła go za rękaw i wyrwała z marzeń. - Spójrz! Tam można rzucać krążkami do celu! - Kiedy była małą dziewczynką, zawsze w wesołym miasteczku chciała za grać w tę grę, ale zakonnice z sierocińca twierdziły, że to za dużo kosztuje. - Spróbujemy?

- Ależ oczywiście, moja droga. - Skłonił się nisko, podał jej ramię i chciał wolnym krokiem pójść w stronę gry, ale podekscytowana Nancy wyrwała się naprzód. Z emocji niemal podskakiwała jak dziecko. Jej radość go cieszyła.

- Zrobimy to zaraz?

- Jasne, kochanie. - Położył na ladzie dolara i obsługujący ich mężczyzna wręczył mu cztery komplety krążków. Klienci zwykle płacili dwadzieścia pięć centów. Nancy nie miała doświadczenia w tej grze i każdy rzucony przez nią krążek padał w inne miejsce. Michael obserwował ją rozbawiony. - Właściwie którą nagrodę chcesz wygrać?

- Korale. - Jej oczy lśniły jak u dziecka, kiedy cichym szeptem wypowiedziała te słowa. - Nigdy jeszcze nie miałam takich kolorowych paciorków. - Była to jedna z rzeczy, jakich pragnęła w dzieciństwie. Chciała mieć coś jaskrawego, błyszczącego i frywolnego.

- Bardzo łatwo sprawić ci przyjemność, najdroższa. Jesteś pewna, że nie chcesz różowego pieska? - Był taki sam jak ten w koszyku Jeannette. Nancy stanowczo potrząsnęła głową.

- Korale.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Precyzyjnie rzucił trzy krążki do celu. Mężczyzna zza kontuaru z uśmiechem wręczył mu paciorki, a Michael szybko włożył je Nancy na szyję. - Voild, mademoiselle. Są twoje. Nie sądzisz, że powinniśmy je ubezpieczyć?

- Przestań sobie robić żarty z moich korali. Uważam, że są cudowne. - Lekko przesunęła po nich dłonią, zachwycona, że tak błyszczą na jej szyi.

- A ja uważam, że ty jesteś cudowna. Czy masz jakieś inne pragnienia?

- Jeszcze jedną porcję waty - odparła ze śmiechem. Kupił jej drugi kłęb cukrowej waty na patyku i wolno ruszyli z powrotem do rowerów.

- Zmęczona?

- Raczej nie.

- Pojedziemy dalej? Tu niedaleko jest wspaniałe miejsce. Moglibyśmy usiąść na chwilę i popatrzeć na fale.

- Wspaniała propozycja.

Ruszyli przed siebie, tym razem spokojniejsi. Opuścił ich nastrój wesołego miasteczka i zatopili się w rozmyślaniach, przeważnie o sobie nawzajem. Zbliżali się do Nahant, kiedy Nancy spostrzegła miejsce, które wybrał. Znajdowało się na końcu małej zatoki, pod pięknymi, starymi drzewami. Cieszyła się, że dojechali aż tak daleko.

- Och, Michael! Jak tu pięknie.

- Prawda? - Usiedli na miękkiej trawie, tuż przy wąskim pasie piachu. Spoglądali na odległe, długie fale, łagodnie rozbijające się o rafy tuż pod powierzchnią wody. - Zawsze chciałem cię tutaj przyprowadzić.

- Dobrze, że to zrobiłeś.

Siedzieli w milczeniu, trzymając się za ręce, aż nagle Nancy poderwała się z miejsca.

- Co się stało? - spytał Michael.

- Chcę coś zrobić.

- Najlepiej tam, za krzakami.

- Nie o to mi chodzi, wariacie. - Pobiegła na upatrzone miejsce na plaży, a on wolno podążył za nią, zastanawiając się, co wymyśliła. Zatrzymała się przy dużym kamieniu i natężając wszystkie siły starała się go porużyć, ale bezskutecznie.

- Zaczekaj, pomogę ci. Co chcesz z nim zrobić? - zapytał zdziwiony.

- Chcę go na chwilę przesunąć. O, właśnie tak. - Głaz ustąpił pod naporem Michaela i przetoczył się na bok, odsłaniając mokre zagłębienie w piasku. Nancy szybko zdjęła błyszczące korale, chwilę stała z zamkniętymi oczami trzymając je w dłoni, a potem włożyła paciorki do dołka

pod kamieniem. - W porządku. Możesz prze sunąć go na miejsce.

- Mam przywalić nim korale?

Skinęła głową nie odrywając wzroku od szklanych paciorków.

- To będzie fizyczny symbol naszego związku. Zostanie tu zakopany i przetrwa tak długo, jak ten kamień, plaża i drzewa. Dobrze?

- Dobrze. - Uśmiechnął się łagodnie. - Jesteśmy bardzo romantyczni.

- Dlaczego nie? Jeśli ktoś ma tyle szczęścia w życiu, że trafia mu się miłość, powinien się nią cieszyć i zna leżć dla niej dom.

- Masz rację. Masz całkowitą rację. Tutaj będzie dom naszej miłości.

- Teraz coś sobie przyrzeknijmy. Przyrzekam, że nigdy nie zapomnę, co tutaj ukryłam, i zawsze będę pamiętała, co znaczą te korale. Teraz ty. - Dotknęła jego ręki, a on odpowiedział jej uśmiechem. Nigdy nie kochał Nancy bardziej niż teraz.

- Przyrzekam... przyrzekam, że nigdy nie powiem ci żegnaj...

Potem, bez żadnego konkretnego powodu, wybuchnę-li śmiechem. Tak dobrze jest być młodym, romantycznym, może nawet trochę cikliwym. Ten dzień był taki piękny.

- Wracamy? - spytał Mike.

Skinęła głową i ręką w rękę poszli do zostawionych nie opodał rowerów. Dwie godziny później odpoczywali już w mieszkaniu Nancy na Spark Street, w pobliżu terenów uniwersytetu. Mike sennie opadł na kanapę i się rozejrzał. Kolejny raz uświadomił sobie, jak bardzo lubi to mieszkanie. Czuł się tu u siebie. Był to jedyny prawdziwy dom, jaki miał. Gigantyczny apartament matki nie dawał mu takiego poczucia. Na tym wnętrzu odcisnęła się ciepła osobowość Nancy. Znajdowały się tu namalowane przez nią obrazy, miękka, pokryta brązowym pluszem kanapa i futrzany dywanik, odkupiony od przyjaciółki. Mieszkanie urządzone było w ciepłych kolorach ziemi.

Jak zawsze, wszędzie wokół stały cięte kwiaty i rośliny doniczkowe, o które bardzo dbała. Stolik, służący im do jedzenia, miał nieskazitelnie czysty biały blat z marmuru. Mosiężne łóżko skrzypiało łagodnie, kiedy się na nim kochali.

- Czy wiesz, jak uwielbiam to miejsce? - zapytał.

- Wiem - odparła. Rozejrzała się po pokoju w zadumie. - Ja też. Co zrobimy po ślubie?

- Zabierzemy te wszystkie piękne rzeczy i znajdziemy jakiś miły, mały dom w Nowym Jorku. - Nagle coś przykuło jego wzrok. - Co to jest? Coś nowego? - Spoglądał na sztalugi, na których stał obraz w początkowym stadium tworzenia, ale już urzekający. Przedstawiał pola i drzewa, a kiedy Michael podszedł bliżej, spostrzegł małego chłopca, który machał nogami, ukryty na drzewie. - Czy będzie go widać, kiedy domalujesz liście na gałęziach?



- Chyba tak. W każdym razie, my i tak będziemy wiedzieć, że on tam jest. Co o nim sądzisz? - Oczywiście jej zabłysły, kiedy zobaczyła, że nowy obraz mu się podoba. Zawsze doskonale rozumiał jej prace.

- Jest wspaniały.

- W takim razie to będzie mój prezent ślubny dla ciebie. Oczywiście, dam ci go, kiedy będzie skończony.

- Trzymam cię za słowo. A skoro mowa o ślubnych prezentach... - Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta, a chciał być na lotnisku przed szóstą. - Na mnie pora.

- Naprawdę musisz dzisiaj tam jechać?

- Tak. To ważne. Wrócę za kilka godzin. Dotrę do mieszkania Marion około siódmej trzydzieści albo ósmej, w zależności od ruchu na ulicach. Pewnie uda mi się zdążyć na ostatni powrotny samolot, ten o jedenastej. Będę w domu przed północą. Dobrze?

- Dobrze - zgodziła się, ale w jej głosie słychać było wahanie. Ten wyjazd ją niepokoił, chociaż nie wiedziała, dlaczego. - Mam nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie.

- Jestem tego pewien. - Niestety, oboje wiedzieli, że Marion robi tylko to, na co ma ochotę, słyszy to, co chce usłyszeć, i rozumie wyłącznie to, co zechce zrozumieć. Jednak Michael miał nadzieję, że uda mu się ją przekonać. To przecież konieczne. Tak bardzo chciał się ożenić z Nancy. Bez względu na wszystko. Ostatni raz wziął ją w ramiona, potem zawiązał krawat pod kołnierzykiem sportowej koszuli i wziął lekką marynarkę z oparcia krzesła. Zostawił ją tam rano. Wiedział, że w Nowym Jorku będzie gorąco, ale musiał stawić się w mieszkaniu matki w marynarce i krawacie. To było niezbędne. Marion nie uznawała „hippisów” i ludzi znikąd... takich jak Nancy. Oboje wiedzieli, co czeka Michaela, kiedy całowali się w drzwiach na pożegnanie.

- Powodzenia.

- Kocham cię.

Przez długą chwilę Nancy siedziała w cichym mieszkaniu, spoglądając na fotografię z wesołego miasteczka. Rhett i Scarlett, nieśmiertelni kochankowie, w śmiesznych, malowanych na dykcie kostiumach, wystawiający głowy przez okrągłe otwory. Jednak ona i Michael nie wyglądali śmiesznie. Widać było, że są szczęśliwi. Nancy zastanawiała się, czy Marion to zrozumie, czy dostrzeże różnicę między szczęściem a śmiesznością, między prawdziwym światem a światem marzeń. Ciekawe, czy Marion w ogóle zechce ich zrozumieć.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Stół w jadalni lśnił jak powierzchnia jeziora. Doskonałą gładkość blatu zakłócała tylko położona na jego skraju kremowa serweta z irlandzkiego lnu, na której ustawiono talerz z delikatnej, malowanej w niebieskie i złote wzory porcelany. Obok stał srebrny serwis do kawy i ozdobny srebrny dzwoneczek. Marion Hillyard z cichym westchnieniem usiadła wygodnie na krześle i wydmuchnęła strużkę dymu z zapalonego przed chwilą papierosa. Czuła się zmęczona. Niedziele zawsze ją męczyły. Czasami się jej zdawało, że ciężiej pracuje w domu niż w biurze. Zawsze w niedziele odpisywała na prywatne listy, sprawdzała księgi rachunkowe prowadzone przez kucharza i gospodynię, robiła listę koniecznych w mieszkaniu napraw i niezbędnych zakupów garderoby oraz planowała menu na cały tydzień. Była to nużąca praca, ale wykonywała ją od lat, jeszcze zanim zaczęła prowadzić firmę. Po przejęciu interesów męża, nadal spędzała niedziele na pracach domowych i opiece nad Michaelem, gdy opiekunka miała wychodne. Te wspomnienia wywoływały uśmiech na jej twarzy i na chwilę zamknęła oczy. Tamte dni były, jej tak drogie. Na kilka godzin miała syna wyłącznie dla siebie, nikt im nie przeszkadzał ani jej go nie odbierał. Jednak od wielu lat niedziele wyglądały inaczej. Mała, czysta łza zawisła jej na rzęsach. Marion siedziała nieruchomo i oczyma duszy widziała Michaela sprzed osiemnastu lat, sześciolatniego chłopczyka, który całkowicie należał do niej. Tak bardzo go kochała. Była dla niego gotowa na wszystko. I rzeczywiście, robiła wszystko z myślą o nim. Utrzymała dla niego imperium, zachowała dziedzictwo dla następnego pokolenia. To jej największy dar dla Michaela. Cotter-Hillyard. Z czasem pokochała firmę niemal tak samo, jak syna.

- Pięknie wyglądasz, mamó.

Zaskoczona otworzyła oczy i zobaczyła go w łukowato sklepionych drzwiach, prowadzących do wykładanej drogą boazerią jadalni. Na jego widok miała ochotę się rozplakać. Chciała go uściskać jak wiele lat temu, ale tylko uśmiechnęła się wolno.

- Nie słyszałam, kiedy wszedłeś. - Nie przywołała go gestem, nie dała po sobie poznać żadnych uczuć. Nikt nigdy nie był w stanie odgadnąć, co się dzieje w sercu Marion.

- Otworzyłem drzwi własnym kluczem. Mogę wejść?

- Oczywiście. Masz ochotę na deser?

Michael z nerwowym uśmiechem wolno podszedł do stołu i jak mały chłopiec ciekawie spojrzął na talerz matki.

- Hm... A co jest dziś na deser? Zdaje się, że coś z czekoladą?

Marion prychnęła rozbawiona i pokręciła głową. On chyba nigdy nie dorośnie. Przynajmniej pod pewnymi względami.

- Ptysie z kremem czekoladowym. Masz ochotę? Mattie jest jeszcze w spizarni.

- Pewnie wyjada to, co zostało. - Roześmiali się oboje, ponieważ wiedzieli, że najprawdopodobniej Michael się nie myli. Marion sięgnęła po dzwoneczek.

Natychmiast zjawiała się Mattie z szerokim uśmiechem na bladej twarzy, ubrana w przepisową czarną sukienkę z falbankami. Całe życie usługiwała innym, tylko od czasu do czasu ciesząc się wolną niedzielą, chociaż nie miała co robić w upragnione „wychodne”.

- Słucham, proszę pani.

- Kawa dla pana Hillyarda, Mattie. I... Kochanie, zjesz coś słodkiego? - Michael potrząsnął głową. - W ta kim razie, tylko kawa.

- Tak, proszę pani.

Przez chwilę Michael nie po raz pierwszy się zastanawiał, dlaczego matka nigdy nie używa wobec służby słowa „dziękuję”, tak jakby ci ludzie urodzili się tylko po to, żeby spełniać jej polecenia. W głębi duszy wiedział, że matka tak właśnie uważa. Zawsze otaczały ją pokojówki, sekretarki i wszelkiego rodzaju pomocnicy. Dzieciństwo miała samotne, ale wygodne. Kiedy skończyła trzy lata, jej matka zginęła w katastrofie samochodowej razem z jedynym bratem Marion, dziedzicem architektonicznego imperium Cotterów. Po tym wypadku została jedyną spadkobierczynią i bardzo efektywnie wypełniła swoje zadanie. Co tam na uczelni?

- Dzięki Bogu, to już prawie koniec. Jeszcze tylko dwa tygodnie.

- Wiem. Jestem z ciebie bardzo dumna. Doktorat to wspaniała rzecz, szczególnie w dziedzinie architektury.

- Nie wiadomo dlaczego, słysząc te słowa miał ochotę wykrzyknąć „Och, mamol”, jak wtedy, gdy miał dziewięć lat. - W tym tygodniu skontaktujemy się z młodym Averym w sprawie pracy. Nic mu jeszcze nie mówiłeś, praw da? - Przybrała bardziej zaintrygowaną niż surową minę. Jej zdaniem nalegania syna, żeby całą sprawę utrzymać w tajemnicy i zrobić Benowi niespodziankę, były trochę dziecinne.

- Nic mu nie powiedziałem. Będzie uszczęśliwiony.

- I słusznie, bo to doskonała posada.

- Zasłużył na nią.

- Mam nadzieję. - Nigdy nie ustępowała nawet na krok. - A ty? Jesteś gotów do pracy? Twój gabinet zostanie wykończony w przyszłym tygodniu.

Na te słowa oczy Michaela rozblęły. Jego biuro prezentowało się wspaniale. Wyłożono je drewnianą boazerią, jak kiedyś gabinet ojca, a na ścianach wisiały akwaforty należące kiedyś do jego dziadka. Obijany skórą fotel i meble w stylu króla Jerzego robiły wielkie wrażenie.

- Wszystko wygląda naprawdę cudownie - zapewniła Marion.

- To dobrze. - Uśmiechnął się do matki. - Mam kilka obrazów, które chciałbym tam zawiesić, ale poczekam z tym, aż zobaczę cały wystrój.

- To zupełnie zbędne. Zadbaliśmy o to, żeby na ścianach było wszystko, co potrzeba.

Michael zamierzał czymś uzupełnić tę kolekcję. Obrazami Nancy. W jego oczach zapalił się nagły błysk; czujna Marion dostrzegła na twarzy syna dziwny wyraz.

- Mamo... - Z westchnieniem usiadł obok niej i rozprostował nogi. Pojawiła się służąca z kawą. - Dziękuję, Mattie.

- Bardzo proszę, panie Hillyard. - Uśmiechnęła się do niego tak ciepło, jak zwykle. Zawsze odnosił się do niej uprzejmie, jakby nie znosił sprawiać jej kłopotów, w przeciwieństwie do... - Czy coś jeszcze, proszę pani?

- Nie. Właściwie... Michael, może przejdziemy z kawą do biblioteki?

- Dobrze.

Tam chyba będzie łatwiej rozmawiać. Jadalnia matki zawsze przypominała mu sale balowe, które widywał w zabytkowych domostwach. Nie nadawała się do intymnych rozmów, nie mówiąc już o łagodnych perswazjach. Wstał i wyszedł za matką z pokoju. Po trzech wykładanych grubym dywanem stopniach przeszli do biblioteki, znajdującej się na lewo od jadalni. Rozciągał się stąd wspaniały widok na Piątą Aleję i duży fragment Central Parku. W kominku płonął ogień, a wzdłuż dwóch ścian biegły półki z książkami. Na czwartej ścianie dominował portret ojca Michaela. Lubił ten obraz, ponieważ ojciec wyglądał na nim przyjaźnie, jak ktoś, kogo chciałoby się poznać. Jako mały chłopiec przychodził tu czasami, żeby głośno porozmawiać z ojcem. Matka raz go na tym przyłapała i powiedziała, że to niemądre zachowanie, ale później widział, jak płakała w tym pokoju i wpatrywała się w obraz tak samo jak on.

Marion usiadła tam gdzie zwykle, w stojącym przed kominkiem fotelu w stylu Ludwika XV, pokrytym beżowym adamaszkiem. Miała na sobie suknię w niemal identycznym kolorze i przez chwilę, w blasku płomieni, matka wydała się Michaelowi niemal piękna. Kiedyś, nie tak dawno, naprawdę była piękną. Teraz skończyła pięćdziesiąt siedem lat. Michael urodził się, kiedy miała trzydzieści trzy. Przedtem nie znalazła czasu na dziecko. Wtedy jeszcze olśniewała urodą. Jej włosy, kiedyś jasnozłote jak włosy Michaela, posiwiały, a pełna życia twarz przybrała srogi, zasadniczy wyraz. Chabrowobłękitne oczy zszarzały, jakby w końcu nadeszła zima.

- Mam przeczucie, że przyjechałeś, żeby porozmawiać ze mną o czymś ważnym, Michaelu. Czyżby coś się stało? - Może jakaś dziewczyna zaszła z nim w ciążę? A może rozbił samochód albo kogoś potrafił? To wszystko da się naprawić, oczywiście, jeśli tylko wyzna jej prawdę. Cieszyła się, że syn zwraca się do niej.

- Nie, nic się nie stało, ale chciałbym coś z tobą omówić. - Źle. Słyszając własne słowa

wyraźnie się skrzywił. „Omówić”. Powinien był powiedzieć, że chce jej coś oznajmić. Cholera. - Uważam, że nadszedł czas, żebyśmy szczerze ze sobą porozmawiali.

- Można by pomyśleć, że nigdy nie bywamy ze sobą szczerzy.

- W niektórych sprawach nie. - Zesztywniał z napięcia. Pochylił się do przodu w fotelu. Czuł za sobą spojrzenie ojca. - Nie rozmawiamy szczerze o Nancy.

- Nancy? - Powtórzyła, jakby nie wiedziała, o kogo chodzi. Chłodny ton matki tak go rozwścieczył, że miał ochotę skoczyć na równe nogi i ją uderzyć. Mówiła o Nancy jak o którejś ze służących.

- O Nancy McAllister. Mojej dziewczynie.

- Ach, tak. - Nastąpiła nieskończenie długa przerwa. Marion przesunęła na spodeczku małą łyżeczkę z pozłacanego srebra o emaliowanej ręczce. - A w jakim sensie nie jesteśmy w tej sprawie szczerzy? - Jej oczy przesłaniała powłoka szarego lodu.

- Próbujesz udawać, że ona nie istnieje, a ja staram się o niej nie mówić, żeby cię nie denerwować. Mamo, prawda wygląda tak... że zamierzam się z nią ożenić. - Wziął głęboki oddech i wsunął się głębiej w fotel. - Za dwa tygodnie.

- Rozumiem. - Marion Hillyard siedziała całkiem nieruchomo. Wpatrywała się w jeden punkt, jej ręce nawet nie drgnęły, a twarz nie zmieniła wyrazu. Nic się nie poruszyło. - Wolno mi zapytać, dlaczego? Czy jest w ciąży?

- Oczywiście, że nie.

- Co za szczęście. W takim razie, dlaczego chcesz się z nią zenić, i to za dwa tygodnie?

- Ponieważ wtedy otrzymam dyplom, przeprowadzę się do Nowego Jorku i zacznę pracować. Ponieważ to ma sens.

- Sens? Dla kogo? - Lód w jej głosie coraz bardziej tężał. Ostrożnie założyła nogę na nogę, szeleszcząc jedwabną suknią. Michael czuł się nieswojo pod nieruchomym spojrzeniem oczu matki. Ani na chwilę nie spuściła z niego wzroku. W życiu prywatnym była bezwzględna tak jak w interesach. Potrafiła w każdym człowieku wzbudzić lęk i złamać jego wolę.

- To ma sens dla nas, mamo.

- Ale nie dla mnie. Właśnie nam zlecono budowę centrum medycznego w San Francisco. Zamówienie złożyli ci sami ludzie, którzy sfinansowali Hartford Centre. Nie znajdziesz czasu na żonę. Przez następny rok lub dwa będziesz mi bardzo potrzebny. Mówiąc bez ogródek, kochanie, wolałabym, żebyś zaczekał ze ślubem. - Pierwszy raz usłyszał łagodniejszą nutę w jej głosie i zabłysła w nim isierka nadziei.

- Nancy byłaby prawdziwą ozdobą naszej rodziny. Mnie nie odciągałaby od pracy, tobie nie sprawiałaby żadnych kłopotów. To cudowna dziewczyna.

- Być może, ale jeśli chodzi o tę ozdobę... Czy myślałeś o tym, jaki to by wywołało skandal? - Spojrzała na syna triumfalnie. Ruszała do ataku.

Michael wstrzymał oddech jak bezbronna ofiara, która nie wie, z której strony padnie cios.

- Jaki skandal?

- Oczywiście, powiedziała ci, kim jest? O, Chryste. Do czego teraz zmierza?

- O co ci chodzi?

- Właśnie o to, kim ona jest. Wyjaśnię ci to dokładniej. - Płynnym, kocim ruchem odstawiła filiżankę i podeszła do biurka. Z dolnej szuflady wyjęła teczkę i w milczeniu wręczyła ją synowi. Przez chwilę trzymał ją w ręku, obawiając się zajrzeć do środka.

- Co to jest?

- Raport. Wynajęłam prywatnego detektywa, żeby się bliżej przyjrzał twojej utalentowanej przyjaciółce. Wynik śledztwa mnie nie ucieszył. - To zbyt łagodnie powiedziane. Po przeczytaniu sprawozdania wpadła we wściekłość. - Proszę, usiądź i przeczytaj to.

Nie usiadł, ale z niechęcią otworzył teczkę i zaczął czytać. Z pierwszych dwunastu linijek tekstu dowiedział się, że ojciec Nancy zginął w więzieniu, kiedy dziewczyna była jeszcze niemowlęciem, a matka zmarła jako alkoholiczka dwa lata później. Raport donosił też, że ojciec Nancy odsiadywał siedmioletni wyrok za napad z bronią w ręku.

- Uroczy ludzie, prawda kochanie? - Głos matki brzmiał lekko pogardliwie.

Michael gwałtownie odrzucił papiery na biurko, skąd szybko zsunęły się na podłogę.

- Nie będę czytał tych brudów.

- Nie, to nie. Ale zamierzasz się z nimi ożenić.

- Co to za różnica, kim byli jej rodzice? Czy to jej wina?

- Nie. Tylko jej pech. I twój, jeśli się z nią ożenisz. Michael, zastanów się. Wchodzisz w świat interesów, gdzie przy każdej transakcji wchodzi w grę miliony dolarów. Nie możesz się narażać na skandal. Zrujnujesz nas. Twój dziadek założył tę firmę pięćdziesiąt lat temu, a ty teraz chcesz ją zniszczyć dla jakiegoś romansu? Oprzytomniej. Najwyższy czas, żebyś wydorósł, mój chłopcze. Twoje szalone lata się kończą, dokładnie za dwa tygodnie. - Patrzyła na syna płonącym wzrokiem. Nie miała zamiaru przegrać tej bitwy, bez względu na koszty. - Nie będę o tym dłużej z tobą dyskutować. Nie masz wyboru. - Zawsze mu to powtarzała. Zawsze...

- Właśnie że mam wybór, do cholery! - ryknął, nerwowo krążąc po pokoju. - Nie będę się przed tobą płaszczył i do końca życia tańczył, jak mi zagrasz! Koniec! Wydaje ci się, że mnie urobisz według swoich życzeń, przejdziesz na emeryturę i będziesz mną dyrygowała jak kukiełką, z kanapy w swoim salonie? To ci się nie uda. Będę dla ciebie pracował, ale nic więcej. Nie jestem twoją własnością, nigdy nie byłem, i mam prawo ożenić się, z kim mi się tylko spodoba.

- Michael!

Przerwał im niespodziewany dzwonek do drzwi. Mierzyli się wzrokiem jak dwa jaguary w klatce, jak stary i młody kot, z których każdy trochę boi się drugiego, ale gotów jest walczyć o przetrwanie aż do zwycięstwa. Wciąż stali w przeciwnych rogach pokoju dygocząc z gniewu, kiedy wszedł George Calloway. Natychmiast wyczuł, że trafił w sam środek burzliwej sceny. Ten dobiegający sześćdziesiątki łagodny, elegancki mężczyzna był od lat prawą ręką Marion. Co więcej, miał w Cotter-Hillyard wiele do powiedzenia. Jednak, w przeciwieństwie do Marion, rzadko wystawiał się na widok publiczny, wolał działać z ukrycia. Dawno już poznał zalety sprawowania funkcji szarej eminencji firmy. Zdobyło mu to zaufanie i podziw Marion od samego początku, kiedy zajęła w firmie miejsce męża. Była wtedy jedynie figurantką i właśnie George przez rok w rzeczywistości prowadził firmę, jednocześnie z determinacją i poświęceniem ucząc ją tajników tej pracy. Dobrze spełnił zadanie. Marion pojęła wszystko, co jej przekazał, a nawet nauczyła się wiele więcej. Teraz była już całkowicie samodzielna, ale nadal szukała jego rady przy podejmowaniu poważniejszych decyzji. Czuł, że wciąż jest jej potrzebny, a to wiele dla niego znaczyło. Razem tworzyli cichy, nierozłączny zespół i umacniali się nawzajem. George czasami się zastanawiał, czy Michael wie, jak bardzo są sobie bliscy. Wątpił w to. Dla Marion syn był zawsze oczkiem w głowie. Dlaczego miałby zauważyć, jak bardzo George'owi zależy na jego matce? Niekiedy sama Marion tego nie zauważała. Ale George się z tym godził. Oddawał firmie całe serce i energię. A może kiedyś... Spojrzał na Marion z niepokojem. Rozpoznał charakterystyczne napięcie wokół ust i niepokojącą bladość twarzy pod starannie nałożonym pudrem i różem.

- Marion, dobrze się czujesz? - Wiedział o stanie jej zdrowia więcej niż ktokolwiek inny. Zwierzyła mu się wiele lat temu. Kogoś musiała o tym powiadomić, dla dobra firmy. Miała niezwykle wysokie ciśnienie krwi i poważne dolegliwości sercowe. Przez chwilę nie odpowiadała. Wreszcie oderwała wzrok od syna i spojrzała na wieloletniego współpracownika i przyjaciela.

- Tak... tak, nic mi nie jest. Przepraszam. Dobry wieczór, George. Wejdz, proszę.

- Chyba zjawiłem się nie w porę.

- Wcale nie. Właśnie wychodziłem. - Michael popatrzył na niego, ale nie potrafił się zdobyć na uśmiech. Potem znów spojrzał na matkę, jednak nie podszedł do niej. - Dobranoc, mamó.

- Jutro do ciebie zadzwonię. Porozmawiamy o tej sprawie przez telefon.

Chciał jej powiedzieć coś okrutnego, coś, co by ją wystraszyło, ale nie zdobył się na to, nawet by nie potrafił. Poza tym, czy to miało sens?

- Michael...

Nie odpowiedział, tylko poważnie ucisnął dłoń George i nie oglądając się wyszedł z biblioteki. Nie widział wyrazu oczu matki ani niepokoju na twarzy George'a, kiedy Marion wolno

opadła na fotel i zakryła drżącą dłonią twarz. W jej oczach lśniły łzy, które chciała ukryć nawet przed przyjacielem.

- Na litość boską, co się stało?

- On chce popełnić szaleństwo.

- Może tego nie zrobi. Wszyscy od czasu do czasu grozimy popełnieniem jakiegoś szalonego czynu.

- W naszym wieku się tylko grozi, w jego wieku spełnia się takie groźby. - Wszystkie jej wysiłki na nic; raport detektywa, telefony... Westchnęła i opadła na oparcie fotela.

- Brałaś dzisiaj lekarstwo? - Marion prawie niedostrzegalnie pokręciła głową. - Gdzie ono jest?

- W mojej torbie, za biurkiem.

Nic nie mówiąc o rozrzuconych na podłodze papierach odnalazł torbę z krokodylej skóry, zamykaną na zapinkę z osiemnastokaratowego złota. Znał ją dobrze, ponieważ trzy lata temu podarował ją Marion na gwiazd - Chyba oszalałeś. - Roześmiała się swoim cudownym, łagodnym śmiechem.

- Tak, oszalałem na twoim punkcie. - Czuł, że znowu jest sobą i wszystko z powrotem nabrało sensu. Wracał do Nancy. Nikt mu tego nie odbierze, ani matka, ani raporty detektywów, nic i nikt. Kiedy zakopali na plaży korale, przyrzekł, że nigdy nie powie jej żegnaj, i zamierzał dotrzymać obietnicy. -Do dzieła, Nancy. Aha, i załóż coś starego, coś nowego... - Roześmiał się szeroko.

- To znaczy... - Umilkła zaskoczona.

- To znaczy, że dzisiaj weźmiemy ślub. Zgadzasz się?

- Tak, ale...

- Żadnych ale.

- Ale dlaczego dzisiaj?

- Tak mi nakazuje instynkt. Zaufaj mi. Poza tym jest pełnia księżyca.

- Zdaje się, że to najważniejsze. - Teraz i ona się uśmiechała. Dzisiaj wyjdzie za mąż. Biorą z Michaelem ślub!

- Niedługo się zobaczymy, kochanie. I...

- Słucham?

- Kocham cię. - Odłożył słuchawkę i pobiegł do wejścia. Jako ostatni pasażer wszedł na pokład samolotu do Bostonu. Teraz już nic nie mogło go powstrzymać.

-



## ROZDZIAŁ TRZECI

Już prawie od dziesięciu minut walił pięścią w drzwi, ale nie zamierzał dać za wygraną. Wiedział, że Ben jest u siebie.

- Ben! Odezwij się... Ben!!! Na litość boską, człowieku... - Po kolejnej serii uderzeń rozległ się w końcu odgłos kroków i nagły huk. Drzwi się otworzyły i ukazał się w nich zaspany przyjaciel. Stał w bieliźnie i zdeorientowany rozcierał podbródek. - Chryste, przecież dopiero jedenasta. Śpisz o tej porze? - Szeroki uśmiech na twarzy Bena wszystko mu wyjaśnił. - No tak! Jesteś zalany.

- W trupa. - Ben z anielskim uśmiechem zachwiał się na miękkich nogach.

- W takim razie musisz szybko wytrzeźwieć. Potrzebuję cię.

- Nic z tego. Miałbym zmarnować sześć szklaneczek dżinu z tonikiem? Idź do...

- Nie marudź, tylko się ubieraj.

- Przecież jestem ubrany. - Ben skrzywił się z nie smakiem, kiedy Mike zapalił światło. - Co robisz?

Mike nie odpowiedział, tylko z uśmiechem poszedł do małej kuchni, w której panował straszny bałagan.

- Co się stało? Wrzuciłeś tu granat?

- Tak. A drugi zaraz ci włożę...

- Dobra, dobra. Dzisiaj mamy szczególną okazję. - Stojąc w drzwiach do kuchni, Michael uśmiechnął się, a w oczach przyjaciela pojawiła się iskra nadziei.

- Będzie można coś wypić?

- Ile tylko zechcesz, ale później.

- Cholera. - Ben osunął się na fotel, a głowa opadła mu na miękkie oparcie.

- Nie jesteś ciekawy, co to za okazja?

- Jeśli nie będzie można się napić, to nic mnie to nie obchodzi. Niedługo kończę studia. Za to warto wypić.

- A ja się żenię.

- To fajnie. - Ben nagle wyprostował się i szeroko otworzył oczy. - Co mówisz?

- Dobrze słyszałeś. Pobieramy się z Nancy. - Michael powiedział to ze spokojną dumą człowieka, który jest pewien swojej decyzji.

- Czy to przyjęcie zaręczynowe? - Ben spojrzał na niego z radością. Do diabła, będzie okazja, żeby wypić jeszcze z sześć szklaneczek dżinu. Może nawet siedem albo osiem.

- To nie zaręczyny, Avery. Już ci powiedziałem. To ślub.

- Teraz? - Ben nic nie rozumiał. Ten Hillyard ma idiotyczne pomysły. - Dlaczego teraz?

- Ponieważ tak postanowiliśmy. Nie będę ci tłumaczył, bo i tak jesteś zalany i nic nie zrozumiesz. Dasz radę na tyle doprowadzić się do porządku, żeby zostać moim świadkiem?

- Jasne. Ty stary draniu, więc naprawdę chcesz... - Ben zerwał się z fotela, gwałtownie się zatoczył i uderzył palcami stopy o stół. - Cholera...

- Załóż coś na siebie i postaraj się przy tym nie zabić. Zaparzę ci kawę.

- Dobra... - Mamrocząc coś pod nosem, Ben zniknął w sypialni. Kiedy wrócił, wyglądał trochę porządniej. Nawet miał na sobie krawat, założony na podkoszulek w niebiesko-czerwone paski.

Michael popatrzył na niego i ze śmiechem potrząsnął głową.

- Mógłbyś przynajmniej wybrać coś w bardziej dopasowanych kolorach. - Krawat był rudobrazowy w beżowe i czarne wzory.

- Czy w ogóle potrzebny mi krawat? - zmartwił się Ben. - Nie mogłem znaleźć lepszego.

- Zapnij jeszcze rozpiętkę i ruszamy. Przyda ci się też drugi but.

Ben spuścił wzrok, zobaczył, że stoi w jednym buciku, i roześmiał się.

- No, dobra. Jestem zalany. Ale skąd miałem wiedzieć, że będziesz mnie potrzebował? Mogłeś mnie uprzedzić chociaż dzisiaj rano.

- Rano sam nie wiedziałem. Słyszac te słowa Ben nagle spowaźniał.

- Nie wiedziałeś?

- Nie.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

- Jak najbardziej. Nie wygłaszaj żadnych przemówień. Na dzisiaj mam ich już dosyć. Ubierz się i pójdziemy po Nancy. - Wręczył przyjacielowi kubek parującej kawy. Ben pociągnął długi łyk i się skrzywił.

- Zmarnowanie dobrego dzinu.

- Po ślubie postawimy ci kolejkę.

- A właściwie, gdzie chcecie się pobrać?

- Zobaczysz. To piękne miasteczko, które od lat uwielbiam. Kiedy byłem dzieckiem, spędzałem tam wakacje. To tylko godzina jazdy stąd. Wspaniałe miejsce.

- Masz odpowiednie dokumenty?

- Niczego nie potrzebuję. To jedno z tych zwariowanych miasteczek, gdzie wszystko załatwiają od ręki. Gotowy? Ben wypił resztę kawy i skinął głową.

- Chyba tak. Chryste, zaczynam się denerwować. A ty się nie boisz? - Spojrzał na Michaela trzeźwiejszym wzrokiem. Przyjaciel wyglądał dziwnie spokojnie.

- Ani trochę.

- Pewnie wiesz, co robisz. Dla mnie... Małżeństwo...

- Znowu potrząsnął głową i spuścił wzrok. Wtedy przy pomniał sobie, że musi znaleźć drugi but. - Nancy to bardzo miła dziewczyna.

- To o wiele za mało powiedziane. - Mike dostrzegł but pod kanapą i podał go Benowi. - Właśnie o takiej dziewczynie marzyłem.

- W takim razie mam nadzieję, że małżeństwo spełni oczekiwania was obojga. - Jego oczy promieniały życzliwością i Michael na chwilę objął przyjaciela.

- Dzięki.

Potem obaj odwrócili wzrok. Chcieli już ruszać w drogę, znowu śmiać się i żartować, cieszyć się tą chwilą, zamiast snuć poważne rozważania.

- Dobrze wyglądam? - Ben sprawdził, czy ma w kieszeni portfel, a potem zaczął się rozglądać za kluczami.

- Wyglądasz doskonale.

- Cholera... Gdzie moje klucze? - Bezradnie patrzył wokół, aż Mike zaczął się śmiać. Klucze wisiały u jednej ze szlufek przy spodniach.

- Pośpiesz się, Ben. Idziemy.

Wyszli ramię w ramię, śpiewając piosenki, których nauczyli się w minione wakacje w piwiarniach. Cały dom ich słyszał, ale nikt nie zwracał uwagi. W budynku mieszkali wyłącznie studenci, a na dwa tygodnie przed końcem roku akademickiego niemal w każdym pokoju odbywały się hałaśliwe przyjęcia.

Dziesięć minut później zatrzymali się przed domem Nancy na Spark Street. Mike zatrąbił, a dziewczyna pomachała im nerwowo z okna. Wydawało jej się, że czeka na nich od wielu godzin. Po chwili stała już przy samochodzie. Na jej widok na kilka sekund odebrało im mowę. Mike odezwał się pierwszy.

- Boże, Nancy... Pięknie wyglądasz. Skąd to wzięłaś?

- Miałam w szafie.

Wymienili uśmiechy, ale żadne się nie poruszyło. Nancy poczuła się jak najprawdziwsza panna młoda, mimo późnej godziny i niezwykłych okoliczności. Włożyła długą białą suknię z ażurowej, haftowanej tkaniny, a lśniące czarne włosy przykrywał niebieski jedwabny toczek. W tej sukni wystąpiła wiele lat temu na ślubie przyjaciółki, ale Mike jej nie widział. Na nogach miała białe sandaalki, a w ręku starą, piękną chusteczkę z koronką.

- Widzisz? Coś starego, coś nowego, coś niebieskie go... Tę chusteczkę mam po babci.

Wyglądała tak pięknie, że przez chwilę Mike nie wiedział, co powiedzieć. Nawet Ben na jej

widok zupełnie wytrzeźwiał.

- Nancy, wyglądasz jak księżniczka.

- Dzięki, Ben.

- A masz coś pożyczonego?

- Słucham?

- Przecież panna młoda musi mieć coś starego, coś nowego, coś pożyczonego i coś niebieskiego. - Roześmiała się. - Proszę, weź. - Ben pochylił głowę i zaczął coś rozpinąć pod szyją. Chwilę później podał jej ładny, cienki łańcuszek ze złota. - To tylko pożyczka. Dostałem go od siostry z okazji ukończenia studiów, ale nie wy trzymałem i wcześniej rozpakowałem prezent. Załóż go na ślub. - Wychylił się z samochodu i zapiął łańcuszek na szyi Nancy. Złoto połyskiwało tuż nad wycięciem sukni.

- Wspaniały.

- Tak samo jak ty - powiedział Mike, wysiadając z samochodu i otwierając przed nią drzwi. Wcześniej był tak zachwycony jej widokiem, że dosłownie go za murowało. - Przesiądź się na tył, Avery. Kochanie, po jedziesz obok mnie.

- A nie mogłaby usiąść mi na kolanach? - zaprotestował słabo Ben, przechodząc na tylny fotel. Mike spojrzał na niego groźnie. -Już dobrze! Człowieku, nie denerwuj się! Pomyślałem sobie, że jako świadek...

- Uważaj, bo zaraz przytrafi ci się coś złego. Kłócili się tylko na żarty. Nancy usiadła na przednim fotelu i z radością spojrzała na mężczyznę, którego niedługo miała poślubić. Jej nastrój na chwilę zmąciła myśl o Marion, ale szybko odepchnęła ją od siebie. Teraz powinna myśleć tylko o sobie i Michaelu.

- Co za szalona noc... ale cudowna - zauważyła.

W drodze do miasteczka na przemian żartowali i zapadali w milczenie, aż w końcu w samochodzie zapanowała cisza. Wszyscy zatopili się w rozmyślaniach. Michael wspominał rozmowę z matką, a Nancy zastanawiała się, co dla niej oznacza ten dzień.

- Czy to jeszcze daleko, kochanie? - Zaczynała się denerwować i przekładana z ręki do ręki chusteczka po prababce była coraz bardziej wymięta.

- Jeszcze z osiem kilometrów. Jesteśmy prawie na miejscu. - Michael przelotnie dotknął jej dłoni. - Za kilka minut będziemy małżeństwem.

- W takim razie trochę przyśpiesz, bo zaraz zmarzną mi stopy - odezwał się Ben z tylnego fotela i cała trójka się roześmiała.

Mike mocniej nacisnął na pedał gazu i pokonał następny zakręt. W tej samej chwili ich śmiech przeszedł w okrzyk przerażenia. Michael skręcił kierownicę, żeby uniknąć zderzenia z

wielką, zajmującą dwa pasy jezdni ciężarówką, która z zawrotną szybkością pędziła w ich kierunku. Kierowca, prawdopodobnie zbyt senny, nie zapanował nad samochodem. Nancy usłyszała tylko pełne rozpaczy wołanie Bena i własny krzyk. Potem rozległ się brzęk tłuczonego szkła... brzęk... pisk hamulców... zgrzyt metalu o metal, chrzęst blach, wycie silnika i huk zderzających się samochodów. Ciała bezwładnie poleciały naprzód, skóra obicia foteli rozdarła się, pękął plastik, a wszystko pokryła warstwa odłamków szkła. Wreszcie nastąpiła cisza i Nancy zapadła w czerni. Ben miał wrażenie, że się ocknął po wielu latach. Leżał z głową na desce rozdzielczej i słyszał straszliwe dudnienie w uszach. Wokół panowały ciemności. Wydawało mu się, że w ustach ma garść piachu. Otworzył oczy chyba po kilku godzinach, wkładając w to tyle wysiłku, że niemal zemdlął. Z początku nie rozumiał tego, co zobaczył. Nie wiedział, gdzie jest. W końcu zdał sobie sprawę, że patrzy w prawe oko Michaela. Siedział teraz na przednim fotelu i widział tylko twarz przyjaciela. Cienki strumyczek krwi spływał mu po policzku na szyję. Przez chwilę Ben był w stanie jedynie przyglądać się temu dziwnemu widokowi. Mike krwawił. Chryste. Wreszcie zrozumiał, co się stało. Wypadek... mieli wypadek... Mike prowadził i... Podniósł głowę i chciał się rozejrzeć, ale nagle poczuł jakby uderzenie żelazną belką w kark i wrócił do poprzedniej pozycji. Po kilku minutach odzyskał oddech i znów otworzył oczy. Mike cały czas leżał krwawiąc, ale teraz Ben zauważył, że przyjaciel oddycha. Jeszcze raz spróbował się poruszyć i tym razem nic się nie stało. Podniósł wzrok i zobaczył przed sobą ciężarówkę, która na nich wpadła. Leżała przewrócona na poboczu. Nie wiedział jeszcze, że jej kierowca nie żyje i leży przygnieciony kabiną. Miał się o tym przekonać wiele później. Dotarło do niego coś jeszcze. W oknach samochodu nie było szyb. Ani jedna się nie zachowała w całości, natomiast wszystko wokół pokrywały drobne odłamki szkła. Po stronie Mike'a brakowało drzwi. Ben przypomniał sobie, że w samochodzie był ktoś trzeci. Nancy... Dokąd jechali? Trudno było mu zebrać myśli. Bolała go głowa, a kiedy chciał się przesunąć, rozdzierający ból przeszył mu nogę i bok. Poruszył się lekko i wtedy ją zobaczył. Nancy... Chryste... Leżała twarzą do dołu na masce samochodu w jakiejś dziwnej czerwono-białej sukni. Nancy... chyba nie żyje. Ben zapomniał nawet o bólu. Podczołgał się bliżej do dziewczyny. Musiał się do niej dostać... odwrócić ją... pomoc jej... Wtedy dostrzegł drobny szklany pył pokrywający jej włosy. Wszystkie odłamki przedniej szyby wbiły się jej w suknię, w tył głowy i... O, Boże! Ostatkiem sił odwrócił ją na bok i zaczął żałośnie szlochać, jak mały, wystraszony chłopczyk.

- O, mój Boże... Pod nasiąkniętym krwią niebieskim toczkiem nie było twarzy. Ben nie umiał powiedzieć, czy Nancy żyje, ale przez jedną straszliwą chwilę miał nadzieję, że dziewczyna zginęła. Z dawnej Nancy nic nie zostało. Nie zachował się ani jeden fragment twarzy, kiedyś tak pięknej. W końcu, z policzkami mokrymi od własnych łez i krwi dziewczyny, stracił przytomność.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Patrzyła na boleśnie pobladłą twarz syna. Marion Hillyard z ponurym wyrazem twarzy siedziała w rogu pokoju. Kiedyś już była w tym pokoju, tego samego dnia, i spoglądała na tę samą bladą twarz. W rzeczywistości patrzyła na inną twarz i inny pokój, ale miała wrażenie, że nic się nie zmieniło. Wszystko wyglądało tak samo, kiedy Frederick przeszedł rozległy zawał serca, który zabił go w kilka godzin. Wtedy też siedziała nieruchomo, równie wystraszona i samotna. A Frederick... Poczwała, że za chwilę zacznie szlochać, i mocno, gwałtownie wciągnęła powietrze. Nie może płakać. Musi przestać myśleć o tamtych zdarzeniach. Mąż już odszedł, ale wciąż ma syna. Michaelowi nic się nie stanie. Nie pozwoli na to. Trzymała go na tym świecie siłą własnej woli.

Spojrzała na twarz pielęgniarki. Kobieta uważnie obserwowała pacjenta, ale nie była zdenerwowana. Michael pozostawał w stanie śpiączki przez cały dzień, od chwili wypadku. Marion przyjechała o piątej rano. Z czynnej całą dobę agencji wynajęła limuzynę. Jednak gdyby zaistniała taka konieczność, przyszlaby na piechotę. Nic nie było w stanie jej powstrzymać. Musiała być przy boku syna, żeby utrzymać go przy życiu. Został jej tylko on; on i firma. A firmę prowadziła wyłącznie dla niego. Wszystko robiła dla niego... no, może nie wszystko, ale prawie. Firma miała być jej najwspanialszym podarunkiem dla syna. Ona zapewni mu władzę i sukces. Nie może zmarnować tego daru przez tę dziwkę... nie może go zmarnować umierając. Chryste. To wszystko przez tę przeklętą dziewczynę. Pewnie go do tego namówiła. To ona...

Nagle pielęgniarka wstała i uniosła Michaelowi powieki. Marion natychmiast zapomniała o swoich rozważaniach i zeszywniała z napięcia. Cicho i szybko podeszła do pielęgniarki. Jeśli coś się działo, chciała to zobaczyć. Ale nie dostrzegła żadnej zmiany. Nic nowego. Kobieta z beznamiętną miną pottrzymała chwilę przegub dłoni Michaela i po raz kolejny oznajmiła Marion, że stan pacjenta nie uległ zmianie. Potem gestem dłoni wywołała ją na korytarz i Marion wyszła z sali. Tym razem pielęgniarka zaniepokoiła się stanem zdrowia matki pacjenta.

- Doktor Wickfield mówił, że o piątej powinna pani stąd wyjść. Obawiam się, że... - Groźnie spojrzała na zegarek, ale zaraz uśmiechnęła się przeproszająco. Piąta minęła przed kwadransem. Marion czuwała przy łóżku syna od dwunastu godzin. Siedziała tam nieprzerwanie przez cały dzień, a do wzmocnienia sił wystarczyły jej dwie filiżanki kawy. Jednak Marion nie była zmęczona ani głodna. Niczego nie chciała. Nie miała też zamiaru opuścić Michaela.

- Dziękuję za troskę. Przejdę się trochę po korytarzu i zaraz wrócę.

Nie zostawi syna. Nigdy. Fredericka zostawiła tylko na godzinę, żeby zjeść kolację. Lekarze ją do tego namówili. I właśnie wtedy to się stało. Teraz nic takiego się nie powtórzy. Wiedziała, że dopóki tutaj jest, syn nie umrze. Obrażenia okazały się głównie wewnętrzne, ale nawet Wickfield

twierdził, że Michael wkrótce obudzi się ze śpiączki. Jednak Marion nie zamierzała ryzykować. Zapewniali ją, że Frederick również dojdzie do siebie. Ze łzami w oczach patrzyła nieobecny wzrokiem na bladoniebieską ścianę za plecami pielęgniarki.

- Pani Hillyard? - Kobieta łagodnie dotknęła jej ramienia i Marion drgnęła. - Powinna pani trochę odpocząć. Doktor Wickfield przeznaczył dla pani pokój na trzecim piętrze.

- Nie ma takiej potrzeby. - Mechanicznie uśmiechnęła się do pielęgniarki i ruszyła korytarzem. Za oknami wciąż jeszcze był dzień. Ostrożnie usiadła na parapecie, zapaliła pierwszego od wielu godzin papierosa i patrzyła na słońce, zachodzące za białym kościołem w ładnym miasteczku w Nowej Anglii. Dzięki Bogu, ta miejscina tylko wyglądała na położoną gdzieś na końcu świata. Z Bostonu jechało się tu zaledwie godzinę. Bez kłopotu sprowadzono najlepszych lekarzy na konsultacje, a kiedy tylko stan zdrowia na to zezwoli, Michael zostanie przewieziony do szpitala w Nowym Jorku. Przynajmniej była pewna, że syn pozostaje w dobrych rękach. Z medycznego punktu widzenia jego stan był najgroźniejszy. Młody Avery odniósł wiele obrażeń, ale żył i odzyskał przytomność. Ojciec zabrał go już po południu ambulansiem do Bostonu. Chłopak złamał rękę, udo, stopę i obojczyk, ale z pewnością wyzdrowieje. A dziewczyna... Cóż, przecież to ona zawiniła, więc Marion wcale nie musi... Gwałtownym ruchem przydeptała obcasem niedopałek. Dziewczyna też dojdzie do siebie. W każdym razie nie umrze. Straciła tylko twarz. Może to i lepiej. Przez ułamek sekundy Marion chciała stłumić gniew i zmusić się do współczucia - na wszelki wypadek, gdyby te wszystkie historie o chrześcijańskim miłosierdziu miały się okazać prawdziwe - ze strachu, że jej uczucia mogą zaszkodzić Michaelowi... na wypadek, gdyby się okazało, że Bóg istnieje i za karę może odebrać jej syna. Jednak nie potrafiła wzbudzić w sobie cieplejszych uczuć do tej dziewczyny. Nienawidziła jej z całych sił.

- Poleciałem, żebyś choć trochę odpoczęła. - Marion drgnęła na dźwięk głosu. Szybko się odwróciła i zobaczyła doktora Wickfielda, swojego lekarza. - Czy ty nigdy nikogo nie słuchasz, Marion?

- Jeśli to tylko możliwe, to nie. Jaki jest stan Michaela? - Zmarszczyła brew i sięgnęła po następnego papie rosa.

- Właśnie u niego byłem. Bez zmian. Już ci mówiłem, że z tego wyjdzie. Daj mu trochę czasu. Cały jego organizm przeszedł straszliwy wstrząs.

- Tak samo jak mój, kiedy dowiedziałam się o wypadku. - Lekarz ze współczuciem skinął głową. - Jesteś pewien, że nie nastąpiły żadne nieodwracalne uszkodzenia? - Na chwilę umilkła, po czym zapytała o to, czego się najbardziej bała: - Nie ma żadnych uszkodzeń mózgu?

Wickfield poklepał ją po ramieniu i usiadł obok na parapecie. Widok miasta za oknem był tak ładny, że nadawał się na pocztówkę.

- Już ci mówiłem. Z tego, co teraz wiemy, nic mu nie będzie. Oczywiście, wiele zależy od tego, jak długo będzie nieprzytomny. Na razie jeszcze się nie boję.

- A ja tak.

Te trzy krótkie słowa w ustach silnej Marion zaskoczyły lekarza. Spojrzał na nią uważnie. Nikt do końca nie znał tej kobiety.

- Co z dziewczyną? - zapytała. Znowu była dawną Marion Hillyard. Zza obłoku dymu z papierosa spoglądały bez cienia strachu zmrużone oczy, a twarz przybrała twarde wyraz - U niej nic się nie zmieni. Przynajmniej na razie. Od rana jej stan jest stabilny i niewiele możemy dla niej zrobić. Przede wszystkim, jeszcze na to o wiele za wcześnie, a poza tym, w całym kraju jest tylko jeden albo dwóch chirurgów, którzy potrafiliby dokonać całkowitej rekonstrukcji tak zmasakrowanej twarzy. Tam po prostu nic nie zostało w całości, ani jedna kość, nerw czy mięsień. Jedynie oczy są sprawne.

- Żeby mogła się lepiej widzieć. Doktor Wickfield drgnął, słysząc ton jej głosu.

- Marion, przecież to Michael prowadził, nie ona. W odpowiedzi tylko skinęła głową. Nie było sensu rozmawiać o tym z doktorem. Ona dobrze wiedziała, kto jest temu wszystkiemu winien. Ta dziewczyna.

- Co się dzieje z takimi jak ona, jeśli nie przeprowadzi się operacji plastycznej? Będzie żyła?

- Na swoje nieszczęście, tak. Czeka ją tragiczne życie. Trudno się spodziewać, że dwudziestojednoletnia dziewczyna zamieniona nagle w potwora łatwo się do tego przystosuje. To by się chyba nikomu nie udało. Czy... czy była ładna?

- Chyba tak. Nie wiem. Nigdy jej nie widziałam - odparła kamiennym tonem. Jej oczy spoglądały lodowato.

- Rozumiem. W każdym razie, czeka ją wiele ciężkich chwil. Kiedy trochę dojdzie do siebie, w tym szpitalu zrobią wszystko, co w ich mocy, ale to nie będzie wiele. Czy ona ma pieniądze?

- Nie. - Marion wymówiła to słowo niczym wyrok śmierci. W jej mniemaniu była to najgorsza rzecz, jaką można o kimś powiedzieć.

- W takim razie nie będzie miała wielkiego wyboru. Obawiam się, że specjaliści zajmujący się tego typu operacjami nie robią ich za darmo.

- Czy myślisz o kimś konkretnym?

- Znam kilka nazwisk. Ściśle mówiąc, dwa. Najlepszy specjalista pracuje w San Francisco. - W duszy Wickfielda zapłonął mały płomyk. Marion Hillyard ma tyle pieniędzy, że mogłaby... gdyby tylko chciała... - To Peter Gregson. Poznałem go parę lat temu. Naprawdę wspaniały



człowiek.

- Podjąłby się tego zadania?

Wickfield poczuł falę podziwu dla tej kobiety. Miał ochotę ją uściskać, ale nie śmiał.

- Jeśli ktokolwiek się na to odważy, to tylko on. Czy... chcesz, żebym do niego zadzwonił? - zapytał z wahaniem. Marion spojrzała na niego zimnym, wyrachowanym wzrokiem i lekarz przez chwilę się zastanawiał, czy właściwie odczytał jej intencje. Podziw zamieniał się w strach.

- Dam ci znać.

- Świetnie. - Spojrzał na zegarek i wstał. - Chciałbym, żebyś zeszła na dół i trochę odpoczęła. Mówię poważnie.

- Wiem. - Zaszczyciła go chłodnym uśmiechem. - Ale, jak się pewnie spodziewasz, nie zrobię tego. Muszę być przy Michaelu.

- Nawet za cenę własnego życia?

- Nie zamierzam umierać, Wicky. Czeka mnie jeszcze wiele pracy.

- Czy to warto? - Spojrzał na nią przenikliwie. Gdyby miał chociaż jedną dziesiątą jej ambicji, zostałby wybitnym chirurgiem. Ale było inaczej. Nie wiedział na wet, czy jej zazdrości. - Czy to warto? - powtórzył łagodniej, a ona skinęła głową.

- Jak najbardziej. Nie wolno ci w to wątpić ani przez sekundę. Dzięki pracy mam wszystko, na czym mi zależy.

- Chyba że teraz stracę Michaela. Zamknęła oczy i starała się o tym nie myśleć.

- Cóż, dam ci jeszcze godzinę, ale potem tu wrócę i wyciągnę cię z tego pokoju, nawet gdybym miał zrobić to siłą albo dać ci zastrzyk nasenny. Jasne?

- Jasne. - Wstała, zdeptała kolejny niedopałek i poklepała lekarza po policzku. - Aha, Wicky... - Spojrzała na niego spod długich ciemnych rzęs. Przez chwilę wyglądała jak łagodna, elegancka piękność. - Dziękuję ci.

Delikatnie pocałował ją w policzek, uściśnął jej ramię i odstepił o krok.

- Michael wyzdrowieje. Sama zobaczysz - zapewnił. Nie śmiał wspominać o dziewczynie. Później o niej po rozmawiają. Uśmiechnął się więc i odszedł, a ona została przy oknie, samotna i krucha. Doszedł do wniosku, że dobrze zrobił, dzwoniąc kilka godzin temu do George'a Callowaya. Marion potrzebowała wsparcia. Myślał o niej sunąc korytarzem, a ona obserwowała go, nie ruszając się z miejsca. Potem wolno poszła przed siebie, w stronę pokoju Michaela. Mijała otwarte i zamknięte drzwi do sal, za którymi kryły się tragedie, utracone marzenia i tylko czasami jakieś nadzieje na przyszłość. Był to oddział przeznaczony dla krytycznie chorych. Przechodziła obok kolejnych pokoi, z których nie dobiegał żaden dźwięk. Nagle, w połowie korytarza, usłyszała zza otwartych drzwi urywany szloch. Brzmiał tak słabo, że w pierwszej chwili nie była pewna, czy

rzeczywiście coś słyszy. Potem spojrzała na numer pokoju i już wie działa. Zatrzymała się jak wmurowana i patrzyła w ciemność za drzwiami.

W rogu sali zauważyła niewyraźny zarys łóżka. Reszta pomieszczenia tonęła w mroku. Zaciągnięto żaluzje i zasłony, jakby światło mogło zaszkodzić pacjentce. Marion stała przez długą chwilę, obawiając się wejść, chociaż wiedziała, że musi się na to odważyć. Potem wolno i bezszelestnie, noga za nogą, weszła do środka i stanęła kilka kroków za progiem. Łkanie było teraz głośniejsze i szybsze, przerywane pełnym strachu szlochem.

- Czy ktoś tu jest? - Głowę dziewczyny spowijały bandaże, stłumiony głos brzmiał dziwnie.

- Czy ktoś... - powtórzyła głośniejsze. - Nic nie widzę.

- Masz oczy zasłonięte bandażem. Nie straciłaś wzroku. - Marion odpowiedziało łkanie. - Dlaczego nie śpisz? - zapytała bezbarwnym głosem. Nie były to słowa pociechy. Wymawiała je bez uczucia. Miała wrażenie, że to wszystko dzieje się we śnie. Jednak wiedziała, że powinna tu być. Dla Michaela. - Nie dali ci nic na sen?

- Leki nie działają. Wciąż się budzę.

- Bardzo cię boli?

- Nie. Czuję się jak sparaliżowana. Kim... kim pani jest?

Marion bała się odpowiedzieć. Zbliżyła się do łóżka i usiadła na niebieskim, plastikowym krzeselku, które musiała tu przynieść pielęgniarka. Dłonie dziewczyny również były obandażowane i spoczywały bezwładnie wzdłuż boków ciała. Marion przypomniała sobie, jak Wicky mówił, że dziewczyna odruchowo zasłoniła twarz rękami. Zostały równie poważnie uszkodzone jak twarz, co dla artysty jest tragedią. Krótko mówiąc, całe życie dziewczyny się skończyło. Straciła młodość, urodę, pracę. I miłość. Teraz Marion już wiedziała, co powiedzieć.

- Nancy... - Po raz pierwszy wymówiła jej imię, ale to było bez znaczenia. Nie miała wyboru. - Czy powie dzieli ci... - Jej głos brzmiał gładko i jedwabście tuż przy uchu załamanej dziewczyny. - Czy powiedzieli ci, jak wygląda twoja twarz? - W pokoju zapanowała nie skończenie długa chwila ciszy, potem spod bandażu wydobyło się urywane łkanie. - Powiedzieli ci, jak bardzo jest zmasakrowana? - Przy tych słowach coś ścisnęło ją w żołądku, ale nie mogła się wycofać. Musi uwolnić Michaela. Jeśli go uwolni, syn przeżyje. Instynktownie to czuła. - Czy powiedzieli ci, jak trudno będzie to naprawić? Płacz był teraz pełen złości.

- Okłamali mnie. Powiedzieli...

- Tylko jeden człowiek potrafi to zrobić. Operacje kosztowałyby setki tysięcy dolarów. Nie stać cię na nie. Michaela też nie.

- Nigdy bym mu na to nie pozwoliła. - Dziewczyna czuła teraz gniew nie tylko na okrutny los, ale również na tę nieznaną kobietę. - Nigdy bym... lir W takim razie, co zrobisz?

- Nie wiem. - Znów rozległo się szlochanie.

- Mogłabyś mu się tak pokazać? - Upłynęły minuty, zanim padło stłumione „nie”. - Myślisz, że taką nadal będzie cię kochał? Może nawet spróbuje, ze względu na poczucie lojalności i obowiązku, ale jak długo by to trwało? Jak długo zniosłabyś świadomość swojego wyglądu i krzywdy, jaką robisz Michaelowi? - Łkania Nancy brzmiały coraz bardziej niepokojąco i Marion czuła się coraz gorzej. - Nic już z ciebie nie zostało. Nic. Twoje dotychczasowe życie już się skończyło.

Obie przez moment nic nie mówiły. Marion miała wrażenie, że będzie słuchała tych szlochów całą wieczność. Jednak musiała sprawić dziewczynie ból, żeby dopiąć swego.

- I tak już go straciłaś. Nie możesz mu zrobić takiej krzywdy. Zasluguje na coś lepszego. Jeśli go kochasz, zdajesz sobie z tego sprawę. Ty też zasłużyłaś na lepszy los. Mogłabyś rozpocząć nowe życie. - Dziewczyna nic nie odpowiedziała, tylko nadal zanosila się płaczem. - Naprawdę mogłabyś zacząć żyć na nowo. Otworzyłby się przed tobą inny świat. - Marion zaczęła, aż płacz znów przybrał na sile, a potem ucichł. - Możesz dostać nową twarz.

- W jaki sposób?

- W San Francisco jest lekarz, który potrafiłby znowu uczynić cię piękną. Dzięki niemu mogłabyś malować. Potrzeba na to wiele czasu i pieniędzy, ale chyba warto. Prawda, Nancy? - W kącikach ust Marion pojawił się nikły uśmiezek. Teraz poruszała się po znajomym gruncie. Dobijała targu, jak przy zawieraniu wielomilionowych umów. Zasady gry były takie same.

Spod zwojów bandaży wydobyło się spazmatyczne westchnienie.

- Nie stać nas na to. Marion drgnęła na dźwięk słowa „nas”. Nie ma już żadnych „nas”. Nigdy nie było. „My” to ona i syn, a nie ta... ta... Wzięła głęboki oddech i opanowała się. Miała zadanie do wykonania. Nie widziała innego wyjścia. Będzie teraz myślała wyłącznie o Michaelu, nie o tej dziewczynie.

- Ciebie na to nie stać, ale mnie tak. Wiesz, z kim rozmawiasz, prawda?

- Tak.

- Rozumiesz, że i tak już straciłaś Michaela? Nie uniósłby brzemienia twojej tragedii. Jeśli sam przeżyje. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Tak.

- Wiesz także, że postąpiłabyś niegodziwie, zmuszając go, żeby przy tobie został i udowodnił swoją lojalność? - Nie była w stanie wymówić słowa „miłość”. Ta dziewczyna nie była jej warta. Marion musiała w to wierzyć. - Rozumiesz, Nancy? - Chwila ciszy. - Rozumiesz?

- Tak. - Tym razem słowo to było ledwie słyszalne. Dziewczyna dochodziła do kresu sił.

- Straciłaś wszystko, co tylko miałaś do stracenia, prawda?

- Tak - odparła Nancy beznamiętnie i martwo. Wy dawało się, że powoli uchodzi z niej życie.

- Chcę ci zaproponować pewną transakcję. - Mówiła teraz jak prawdziwa kobieta interesu. Gdyby Michael słyszał teraz matkę, miałby ochotę ją zabić. - Pomyśl o nowej twarzy, o nowym życiu, o zupełnie nowej Nancy. Dobrze się zastanów, co to dla ciebie znaczy. Możesz być znowu piękna, poznać interesujących przyjaciół, chodzić do restauracji, kin, sklepów, ubierać się w piękne stroje i umawiać z mężczyznami. W przeciwnym razie... Ludzie na twój widok będą krzyczeli ze strachu. Nie będziesz mogła nigdzie wychodzić ani nic robić. Zostaniesz nikim. Twoja twarz będzie wywoływała płacz u dzieci. Wyobrażasz sobie, jakie to straszne? Ale masz wybór. - Przerwała, żeby jej słowa dotarły do dziewczyny.

- Nie mam wyboru.

- Ależ masz. Ja ci go zapewnię. Dam ci nową twarz, nowy świat. Wynajmę ci mieszkanie w innym mieście na czas leczenia. Zapewnię ci wszystko, co zechcesz. Nie będziesz musiała walczyć samotnie, a za rok czy dwa ten koszmar się skończy.

- A potem?

- Będziesz wolna. Otworzy się przed tobą nowe życie.

- Nastąpiła długa przerwa, w czasie której Marion szykowała się do zadania oczekiwanego przez Nancy ciosu.

- Zrobię to, jeśli nie będziesz szukała kontaktu z Michaeliem. Nowa twarz należy do ciebie, jeżeli z niego zrezygnujesz. Możesz nie przyjąć mojego daru, ale przecież wiesz, że i tak już straciłaś Michaela. Dlaczego miałabyś spędzić resztę życia jako zniekształcone monstrum, skoro nie musisz? A jeśli Michael nie zaakceptuje naszej umowy? Co się stanie, jeżeli on sam do mnie przyjdzie?

- Chcę tylko, żebyś mi przyrzekła, że sama się do niego nie zbliżysz. Decyzje Michaela zależą tylko od niego.

- I pani dotrzyma słowa? Jeśli Michael sam mnie zechce, jeśli do mnie wróci, pani się nie sprzeciwi?

- Nie sprzeciwię się.

Nancy ogarnęło poczucie triumfu. Znała Michaela nieskończenie lepiej niż jego własna matka. On nigdy jej nie opuści. Odnajdzie ją, żeby pomóc jej przetrwać trudne chwile, ale ona wtedy będzie już znowu normalną dziewczyną. Matka nic tu nie wskóra, żeby nie wiadomo jak się starała. Godząc się na ten układ Nancy czuła się jak oszustka, bo wiedziała, jak to wszystko się skończy. Jednak musi tak postąpić, nie ma wyboru.

- Zgadzasz się? - Marion wstrzymała oddech w oczekiwaniu na to jedno słowo, o które tak

się modliła. I słowo, które miało ostatecznie uwolnić jej syna, wreszcie padło.

Ale zabrzmiało jak okrzyk zwycięstwa, nie klęski. Wypełniała je wiara Nancy w Michaela. Dziewczyna pamiętała przecież, co jej wczoraj obiecał przy kamieniu, kiedy zakopywali korale. „Przyrzekam, że nigdy nie powiem ci żegnaj”. Wiedziała, że dotrzyma słowa.

- Jaka jest twoja odpowiedź, Nancy? - Marion nie mogła dłużej czekać. Jej serce by tego nie zniosło.

- Tak.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Marion Hillyard stała w drzwiach szpitala, ubrana w czarną wełnianą suknię i czarny płaszcz od Cardina. Patrzyła, jak wnoszą dziewczynę do ambulansu. Dochodziła szósta rano. Od tamtego spotkania więcej ze sobą nie rozmawiały. Kiedy zawarły zeszłej nocy umowę, Marion natychmiast poprosiła Wicky'ego, żeby zadzwonił do znajomego lekarza z San Francisco. Wickfield nie posiadał się z radości. Pocałował Marion w policzek i natychmiast wykręcił domowy numer Petera Gregsona. Chirurg zgodził się podjąć rekonstrukcji. Zażądał natychmiastowego przewiezienia Nancy na Zachodnie Wybrzeże. Marion załatwiła specjalną kabinę w samolocie odlatującym o ósmej rano i zatrudniła dwie pielęgniarki, które miały towarzyszyć dziewczynie w San Francisco. Nie szczędziła pieniędzy.

- Ta dziewczyna ma szczęście. - Wickfield spojrzał na Marion z podziwem.

- Też tak uważam - odparła, gasząc kolejnego papierosa. - Nie chcę, żeby Michael się o tym dowiedział. Rozumiesz? - W jej głosie słychać było wyraźną groźbę.

- Jeśli odkryje prawdę, jeśli mu cokolwiek powiesz, odwołam wszystkie operacje.

- Ale dlaczego? Przecież ma prawo wiedzieć, co zrobiłaś dla tej dziewczyny.

- To sprawa między nami dwiema, a właściwie między nami czworgiem, licząc ciebie i Gregsona. Michael nie musi o niczym wiedzieć. Kiedy wyjdzie ze śpiączki, nic mu nie mów o dziewczynie. To go tylko zdenerwuje. Jeśli w ogóle kiedykolwiek wyjdzie ze śpiączki. Mimo protestów Wicky'ego, Marion przez całą noc drzemała na krześle przy łóżku syna. Po rozmowie z dziewczyną czuła się dziwnie odświeżona. W końcu uwolniła od niej Michaela. Teraz będzie mógł żyć. W pewien sposób podarowała im obojgu nowe życie. Nie miała wątpliwości, że postąpiła właściwie.

- Nic mu nie powiesz, prawda, Robercie? - Nigdy nie zwracała się do doktora po imieniu, chyba że chciała mu przypomnieć, ile pieniędzy przeznaczyła na jego szpital.

- Oczywiście, że nie, skoro sobie tego życzysz.

- Właśnie tego sobie życzę.

Głucho szczęknęły zamykane drzwi ambulansu, za którymi zniknęły niebieskie koce otulające dziewczynę i plecy towarzyszących jej pielęgniarek. Obie miały się nią zajmować przez pierwsze sześć do ośmiu miesięcy jej pobytu w San Francisco. Potem nie będzie ich potrzebowała, tak przynajmniej twierdził Gregson. Jednak co najmniej pół roku miała spędzić z bandażami na oczach, kiedy będą rekonstruowane jej powieki, nos, czoło i policzki. Chirurg będzie musiał odtworzyć całą twarz. To nie będą jedyne wydatki. Nancy pozostanie pod niemal stałą opieką psychiatry, żeby uporać się z szokiem związanym z całkowitą zmianą wyglądu. Gregson nie będzie

w stanie przywrócić jej dawnych rysów. Stworzy całkowicie nową kobietę. Marion była z tego zadowolona. To jeszcze bardziej odsunę dziewczynę od Michaela. Dzięki temu nie grozi jej, że ci dwoje spotkają się przypadkowo za kilka lat, na przykład na jakimś lotnisku. Marion nie chciała, żeby tak się stało. W myślach przebiegła listę ustaleń, jakie telefonicznie poczyniła z Gregsonem o czwartej rano. W San Francisco była wtedy pierwsza. Gregson był mężczyzną po czterdziestce, w swojej dziedzinie cieszył się międzynarodową sławą, a to, co mówił, i w jaki sposób mówił, dowodziło, że jest człowiekiem inteligentnym, żywiołowym i dynamicznym. Dziewczyna rzeczywiście miała szczęście. Doktor zapowiedział, że jego sekretarka dopilnuje wszystkich szczegółów, zadba o mieszkanie i ubrania. Szybko oszacowali koszt półtorarocznej serii operacji, porad psychiatrycznych, opieki pielęgniarskiej i kosztów utrzymania pacjentki. Uznali, że czterysta tysięcy dolarów to rozsądna kwota. Marion miała o dziewiątej zadzwonić do swojego banku i wydać polecenie przelewu całej sumy na konto Gregsona. Pieniądze będą czekały, kiedy jego bank zacznie urzędować. Nie znaczyło to, że lekarz jej nie ufał. Jak niemal wszyscy, wiele słyszał o Marion Hillyard.

- Może wejdiesz do środka i zjesz śniadanie? - Wickfield tracił już nadzieję, że uda mu się ją namówić do odpoczynku. W dodatku Calloway oznajmił, że może wylecieć z Nowego Jorku dopiero rano. Lekarz nie wie dział, że to sama Marion zabroniła mu wcześniej przyjeżdżać. Chciała wprowadzić w życie swoją „handlową” umowę. Wszystko poszło doskonale. - Marion? - odezwał się Wickfield.

- Hm?

- Śniadanie.

- Później, Wicky, później. Chcę zobaczyć Michaela.

- Ja też zaraz do niego zajrzę.

Marion skrzyła do toalety, a lekarz poszedł przodem do sali Michaela. Nie oczekiwał żadnych nagłych zmian. Godzinę temu sprawdzał stan chłopca.

W pokoju panowała dziwna cisza, kiedy Marion tam weszła pięć minut później. Wicky z poważnym wyrazem twarzy stał w pewnej odległości od łóżka, a pielęgniarka gdzieś zniknęła.

Jasne promienie słońca padały na pościel. Gdzieś z oddali dobiegało rytmiczne kapanie wody do umywalki. W sali panował nienaturalny spokój i nagle serce podeszło Marion do gardła. Wszystko wyglądało tak samo, kiedy Frederick... O, Boże... Bezwiednie położyła dłoń na piersi i znieruchomiała w drzwiach, spoglądając to na Wickfielda, to na łóżko. I wtedy go zobaczyła... swojego syna. Historia wcale się nie powtarzała. Szloch uwiązał Marion w gardle. Na drżących nogach podeszła do łóżka, pochyliła się i dotknęła twarzy Michaela.

- Cześć, mamó. - To najpiękniejsze słowa, jakie w życiu słyszała. Łzy płynęły po jej

uśmiechniętej twarzy.

- Kocham cię, Michael.

- Ja też cię kocham.

Nawet Wickfield miał łzy w oczach, kiedy patrzył na chłopca, tak młodego i przystojnego, który właśnie wrócił do życia, i na kobietę, która przez ostatnie dwa dni tyle z siebie dała. Żadne z nich nie zauważyło, kiedy cicho wymknął się z pokoju.

Przez długą chwilę Marion delikatnie obejmowała syna, a on głaskał ją po włosach.

- Nie denerwuj się, mamo. Już wszystko w porządku. Chryste, jaki jestem głodny.

Marion się roześmiała. Jak dobrze było słyszeć jego głos. Michael żył i należał do niej.

- Zaraz każę ci przynieść największe, najsmaczniejsze śniadanie pod słońcem, jeśli tylko Wicky się zgodzi.

- Do diabła z Wickym. Umieram z głodu.

- Michael! - Nie potrafiła jednak się na niego złościć. Mogła go tylko kochać. Nagle spostrzegła, że twarz mu spochmurniała, jakby dopiero teraz sobie przypomniał, dlaczego się tu znalazł. Przedtem zachowywał się jak chłopiec obudzony po operacji wycięcia migdałków. Pragnął tylko porcji lodów i uścisku matki. Teraz spoważniał i próbował usiąść w pościeli. Nie znajdował słów, ale musiał zadać jej to pytanie. Badawczo spojrzął na matkę, która nie odrywała od niego wzroku i nie wypuszczała jego dłoni z uścisku.

- Spokojnie, kochanie.

- Mamo... a inni... tej nocy... Pamiętam, że...

- Ben już wrócił z ojcem do Bostonu. Jest połamany, ale nic mu nie będzie. Jego stan jest o wiele lepszy niż twój - dokończyła z westchnieniem i mocniej ścisnęła jego rękę. Wiedziała, co zaraz nastąpi, i była do tego przygotowana.

- A... Nancy? - zapytał z twarzą bladą jak papier. - Co z Nancy? - Łzy już napływały mu do oczu. Matka ostrożnie usiadła na krześle obok łóżka i czule przesunęła dłonią po jego policzku. Wyczytał odpowiedź z jej twarzy.

- Ona nie żyje, kochanie. Lekarze zrobili wszystko, co możliwe, jednak obrażenia były zbyt ciężkie. - Za milkła na krótką chwilę. - Zmarła dzisiaj, o świcie.

- Widziałaś ją? - Wpatrywał na jej twarzy jeszcze jakiegoś znaku.

- W nocy przez jakiś czas siedziałam przy jej łóżku.

- O, Boże... A mnie tam nie było. Och, Nancy... - Ukrył twarz w poduszce i zapłakał jak dziecko. Marion trzy mała go za ramiona. Raz za razem powtarzał imię Nancy, aż w końcu zabrakło mu łez. Kiedy znowu podniósł głowę, matka zobaczyła w jego oczach coś, czego nigdy przedtem nie widziała. Wydało jej się, że płacząc po stracie ukochanej, Michael stracił jakiś



fragment same go siebie, jakby część jego duszy umarła, wykrwawiła się na śmierć.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nancy usłyszała zgrzyt wysuwających się z podwozia samolotu kół i po raz setny w czasie tego lotu po omacku poszukała wyciągniętej do niej ręki. Dotyk dłoni pielęgniarek ją uspokajał. Cieszyła się, że już potrafi je odróżnić. Jedna z nich miała delikatne ręce o wąskich palcach, zawsze chłodne, ale mocno obejmujące Nancy. Pod wpływem ich dotyku dziewczyna nabierała odwagi. Dłonie drugiej kobiety były ciepłe, pulchne i miękkie. Dzięki nim czuła się bezpieczna i kochana. Często poklepywały Nancy po ramieniu i to właśnie one dały jej dwa zastrzyki przeciwbólowe. Druga pielęgniarka mówiła łagodnym, kojącym głosem, pierwsza miała lekki akcent. Nancy zdążyła obie polubić.

- Już niedługo, kochana. Widzę zatokę. Za chwilę będziemy na miejscu.

Właściwie mieli wylądować za dwadzieścia minut. W tym samym czasie Peter Gregson mknął w czarnym Porsche po autostradzie. Na miejscu czekał na niego ambulans. Później jedna z sekretarek miała przyprowadzić jego samochód z lotniska. On wolał wrócić do miasta z pacjentką. Intrygowała go. Była chyba kimś ważnym dla Marion Hillyard, skoro milionerka się tak o nią troszczyła. Czteryście tysięcy dolarów to spora suma, a tylko trzysta z nich miało trafić do jego kieszeni. Pozostałe sto zapewni dziewczynie wygodne życie przez półtora roku. On tego dopilnuje, ponieważ tak obiecał Marion Hillyard. I bez tej obietnicy by to zrobił. Między innymi, na tym polegało jego zadanie. Musi dotrzeć do dna duszy tej dziewczyny. Zostaną czymś więcej niż znajomymi; przez najbliższe miesiące będą dla siebie wszystkim. To jest konieczne, ponieważ kiedy powstanie nowa twarz, osobowość jej właścicielki musi być do niej dopasowana. Po wielomiesięcznych przygotowaniach Peter Gregson sprowadzi na świat nową Nancy McAllister. Dziewczyna będzie musiała wykazać się odwagą. Na pewno wytrwa. On tego dopilnuje. Razem przezwyciężą wszystkie trudności. Ta myśl go ekscytowała. Kochał swoją pracę i w pewnym sensie już kochał Nancy, a raczej tę osobę, którą miał stworzyć. Da jej z siebie wszystko.

Zerknął na zegarek i mocniej nacisnął na gaz. Prowadzenie samochodu było jedną z jego ulubionych form relaksu. Pilotował też własny samolot, nurkował, kiedy tylko miał czas, jeździł na nartach i wspinał się na kilka szczytów w Europie. Lubiał pokonywać trudności, podejmować się niewykonalnych zadań i wygrywać. Właśnie dlatego kochał swoją pracę. Ludzie oskarżali go, że zabawia się w Boga. Ale jemu nie o to chodziło. Podniecały go wyzwania. Nikt go dotychczas nie pokonał, żadna kobieta, szczyt, podniebna przestrzeń ani żaden pacjent. Miał czterdzieści siedem lat i zawsze wygrywał. Teraz też zamierzał wygrać. Zrobi to razem z Nancy. Ciemne włosy Gregsona powiewały na wietrze, a jego oczy patrzyły bystro. Opalenizna po tygodniu spędzonym niedawno na Tahiti jeszcze nie zbladła. Miał na sobie szare spodnie i niebieski kaszmirowy sweter,

dokładnie w kolorze oczu. Zawsze ubierał się nienagannie, doskonale dobierając części garderoby. Był wyjątkowo przystojny, ale nie to go wyróżniało. Bardziej niż wygląd przyciągała uwagę jego witalność i energia. Zaparkował samochód przed lotniskiem dokładnie w tej samej chwili, kiedy samolot z Nancy na pokładzie dotknął ziemi. Chirurg pokazał policjantowi specjalną przepustkę, a ten skinął głową i obiecał przypilnować Porsche. Nawet policjanci uśmiechali się do Gregsona. Nikt nie przechodził obok niego obojętnie. Wszystkich uderzał jego nieodparty urok i siła, przejawiająca się w każdym ruchu. Ludzie do niego lgnęli.

Bez wahania wszedł do biur lotniska i zamienił kilka słów z kierownikiem personelu naziemnego. Mężczyzna gdzieś zadzwonił i już po chwili poprowadzono Petera schodami w dół, na płytę, gdzie czekał na niego mały samochód, który zawiózł go na pas. Stał już tam ambulans, a jego obsługa czekała, aż wyniosą z samolotu pacjentkę. Gregson podziękował kierowcy i szybko podszedł do karetki. Zajrzał do środka, żeby sprawdzić, czy została przygotowana według jego poleceń. Wszystko, czego potrzebował, było na swoim miejscu. Trudno przewidzieć, w jakim stanie po tak długim locie będzie pacjentka, ale chciał jak najszybciej sprowadzić ją do San Francisco, żeby na wszystko osobiście mieć baczenie. Teraz musiał sporządzić szczegółowy plan działania. Praca zacznie się za kilka dni.

Na kilka minut wstrzymano wyjście innych pasażerów i wyniesiono Nancy przednim lukiem. Stewardesy stały z boku z poważnymi minami, odwracając wzrok od kroplówek i rurek zwisających nad zabandażowaną dziewczyną. Jednak pielęgniarki cały czas z nią rozmawiały. Spodobały mu się, były młode, ale sprawnie wykonywały swoje zadania i tworzyły zgrany zespół. Tego właśnie potrzebował. Przez następne półtora roku będą pracowali razem i każdy będzie ważnym członkiem grupy. Nie ma tu miejsca na wahanie i niekompetencję. Każde z nich, włącznie z Nancy, da z siebie wszystko. Peter tego dopilnuje. Dziewczyna będzie gwiazdą tego przedstawienia. Patrzył, jak ją niosą do ambulansu. Czekał, aż sanitariusze ostrożnie włożą nosze do środka. Uśmiechnął się do pielęgniarek, ale nic nie powiedział, tylko gestem nakazał im milczenie. Potem usiadł na ławeczce obok Nancy. Sięgnął po jej dłoń i uściśnął ją.

- Witaj, Nancy. Nazywam się Peter. Jak minęła podróż? Rozmawiał z nią jak z normalnym człowiekiem, a nie z pozbawioną twarzy, owiniętą bandażami mumią. Słyszac jego głos Nancy poczuła ulgę.

- Wszystko w porządku. Pan jest doktor Gregson? -zapytała znużonym, ale pełnym ciekawości tonem.

- Tak, ale mów do mnie po prostu Peter. Przecież będziemy razem pracowali. Podobało jej się, że tak to ujął, i gdyby to było możliwe, uśmiechnęłaby się do niego.

- Wyjechałeś po mnie na lotnisko?

- A ty nie zrobiłabyś dla mnie tego samego?
- Zrobiłabym. - Chciała skinąć głową, ale nie mogła. - Dziękuję.
- Nie ma za co. Byłaś już kiedyś w San Francisco, Nancy?
- Nie.

- Spodoba ci się tu. Znajdziemy ci mieszkanie, które tak polubisz, że nie będziesz się stąd chciała wyprowadzić. Wielu ludziom się to zdarza. Kiedy się tu zdomowią, chcą tu zostać na zawsze. Ja przyjechałem tu piętnaście lat temu z Chicago i żadna siła nie zaciągnęłaby mnie tam z powrotem. - Jego ton ją rozśmieszył. Peter patrzył na nią pogodnie. - Pochodzisz z Bostonu? - Rozmawiał z nią, jakby właśnie przedstawiono ich sobie na jakimś przyjęciu. Chciał, żeby się trochę odprężyła po długiej podróży. Kilka minut odpoczynku przed dalszą jazdą dobrze jej zrobi. Pielęgniarki również się cieszyły, że mają czas rozprostować kości i porozmawiać z sanitariuszami. Co chwila zerkały na lekarza rozmawiającego z Nancy. Od razu go polubiły. Emanowało z niego ciepło i życzliwość.

- Nie. Pochodzę z New Hampshire. To znaczy, tam się wychowałam, w sierocińcu. Kiedy skończyłam osiemnaście lat, przeprowadziłam się do Bostonu.

- Brzmi to bardzo romantycznie. Jaki był ten sierociniec? Taki, jak w powieściach Dickensa? To pytanie znów rozbawiło Nancy. O wszystkim mówił tak radośnie i lekko.

- Nie, zupełnie inny. Zakonnice były wspaniałe. Tak bardzo je lubiłam, że sama chciałam zostać jedną z nich.

- O, Boże! Ani mi się waź! - Znowu musiała się roześmiać. - Kiedy już skończymy naszą pracę, będziesz się nadawała na gwiazdę filmową. Jeśli zaszyjesz się w jakimś klasztorze to ja... to ja... skoczę z mostu! Lepiej mi obiecaj, że nie wstąpisz do zakonu. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Przecież będzie czekała na Michaela. Już dawno zrezygnowała z zamiaru zostania siostrą Agnes Marie, ale chciała trochę podrażnić się z Gregsonem. Od pierwszej chwili go polubiła.

- No, dobrze - zgodziła się na pozór niechętnie, ale w jej głosie czaił się śmiech.

- To ma być obietnica? No, powiedz, że przyrzekasz.

- Przyrzekam.

- Co przyrzekasz? Teraz już oboje się śmiali.

- Przyrzekam, że nie wstąpię do zakonu.

- No, tak już lepiej. - Dał znak pielęgniarkom, żeby do nich podeszły. Sanitariusze wsiedli do szoferki. Nancy była gotowa do drogi i Gregson nie chciał jej męczyć dłuższą rozmową. - Może przedstawiś mnie swoim przyjaciółkom? - zaproponował.

- Zaraz, zaraz. Chłodne ręce to Lily, a ciepłe to Gretchen. - Wszyscy czworo wybuchnęli

śmiechem.

- Serdeczne dzięki, Nancy. - Lily łagodnie uścisnęła dłoń pacjentki. Dziewczyna czuła się bezpieczna z nowymi przyjaciółmi. Myślała teraz tylko o tym, jak będzie wyglądała, kiedy to wszystko się skończy i spotka się z Michaelem. Czuła sympatię do doktora Gregsona i nagle nabrała pewności, że uczyni z niej kogoś niezwykłego, ponieważ zależało mu na niej jak na człowieku.

- Witaj w San Francisco, mała. - Chłodne ręce Lily zostały zastąpione przez silne, zręczne dłonie lekarza. Nie rozluźnił uścisku przez całą drogę do miasta. W jego obecności Nancy czuła się tak, jakby wreszcie wróciła do domu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Drzwi ambulansu otworzyły się i sanitariusze sprawnie wnieśli nosze do hotelu. W drzwiach powitał ich kierownik. Czekał na nich zarezerwowany apartament na najwyższym piętrze. Zamierzali to zostać tylko parę dni. Hotel miał posłużyć jako krótki przerywnik między szpitalem a powrotem do domu. Marion chciała odbyć w Bostonie kilka spotkań w interesach, a poza tym Michael z niewiadomego powodu uparł się, żeby zatrzymać się w tym mieście. Matka gotowa była spełnić każdy jego kaprys.

Sanitariusze ostrożnie ułożyli go na łóżku, a Michael skrzywił się niezadowolony.

- Na litość boską, mamó, nic mi nie jest. Wszyscy lekarze mówią, że mój stan jest dobry.

- Ale nie powinienesz przesadzać.

- Przesadzać? - Rozejrzał się po apartamencie i jęknął. Marion dała napiwek sanitariuszom, którzy natychmiast wyszli. Cały pokój wypełniały kwiaty, a na stole przy łóżku stał kosz z owocami. Hotel należał do matki. Kupiła go wiele lat temu, jako inwestycję na przyszłość.

- Odpręż się, kochanie. Nie wolno ci się denerwować. Masz ochotę coś zjeść? - Chciała zatrzymać pielęgniarkę, ale nawet doktor stwierdził, że to zbędne, a w do datku drażniłoby Michaela. Przez następne kilka tygodni powinien się oszczędzać, a potem może wrócić do ML pracy. Przedtem jednak musiał jeszcze coś zrobić. -Może już pora na lunch? - zapytała Marion.

- Jasne. Poproszę ślimaki, ostrygi a la Rockefeller, szampana, żółwie jaja i kawior. - Usiadł na łóżku z miną psotnego chłopca.

- Co za obrzydliwy zestaw - odparła matka. Tak na prawdę już go nie słuchała. Spojrzała na zegarek. - Ale zamów sobie coś. George zaraz tu będzie. O pierwszej mamy spotkanie w mieście. - Wyszła z pokoju, w roztargnieniu szukając teczeki.

Mike usłyszał dzwonek do drzwi. Chwilę później do sypialni wszedł George Calloway.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Trochę mi głupio, że aż dwa tygodnie obijałem się w szpitalu. - Michael starał się lekko mówić o swojej sytuacji, ale jego oczy wciąż patrzyły z przygnębieniem. Matka również to zauważyła, ale tłumaczyła to zmęczeniem. Odsuwała od siebie każdy inny powód. Nigdy o tym z synem nie rozmawiała. Omawiali interesy, plany budowy centrum medycznego w San Francisco, ale nigdy nie wspominali o wypadku.

- Zajrzałem dziś rano do twojego biura. Prezentuje się po prostu wspaniale. - George usiadł z uśmiechem u stóp łóżka.

- Nie wątpię. - Popatrzył na wchodzącą do pokoju matkę. Miała na sobie jasnoszary kostium Chanel, błękitną jedwabną bluzkę, trzy sznury pereł na szyi i dobrane do nich kolczyki. - Mama

ma doskonały gust.

- O, tak. - George uśmiechnął się ciepło do Marion, ale ona tylko niecierpliwie machnęła ręką.

- Nie zasypujcie mnie komplementami. Już późno. George, masz wszystkie potrzebne dokumenty?

- Oczywiście.

- W takim razie, idziemy. - Szybko podeszła do Michaela i ucałowała go w czubek głowy. - Odpoczywaj, kochanie. I nie zapomnij zamówić sobie lunchu.

- Tak jest, proszę pani. Niech wam się poszczęści na spotkaniu.

Marion podniosła głowę i uśmiechnęła się na myśl o czekających ją interesach.

- Szczęście nie ma z tym nic wspólnego.

Obaj mężczyźni roześmiali się. Michael odprowadził wzrokiem do drzwi matkę i George'a. Potem usiadł.

Długo siedział, cierpliwie czekając i myśląc. Dobrze wiedział, co za chwilę zrobi. Planował to przez dwa tygodnie. Żył dla tej chwili. Tylko o niej potrafił myśleć. Właśnie dlatego zaproponował, a w zasadzie wymógł na matce, żeby osobiście wzięła udział w spotkaniach w sprawie budowy nowego gmachu biblioteki bostońskiej. Potrzebował tego popołudnia dla siebie. Nie chciał, żeby mu przeszkadzili i wszystko zepsuli. Musiał się upewnić, że już poszli. Siedział na łóżku dokładnie pół godziny. Wreszcie nabrał pewności. Tysiąc razy wyobrażał sobie, jak to zrobi. Szybko podszedł do walizki na półce w nogach łóżka i wyjął z niej szare spodnie, niebieską koszulę, skarpetki i bieliznę. Zdawało mu się, że ostatni raz miał na sobie normalne ubranie całe wieki temu. Ze zdziwieniem stwierdził, że ubieranie się sprawia mu trudność, tak był osłabiony. Parę razy siadał, żeby złapać oddech. Złościło go to i nie miał zamiaru się poddać. Nie będzie czekał ani dnia dłużej. Zaraz tam pojedzie. Minęło pół godziny, zanim się ubrał i uczesał. Potem zadzwonił po taksówkę. Z pobladłą twarzą dotarł do windy, ale myśl o tym, co za chwilę zrobi, dodawała mu sił. Nic od dwóch tygodni nie działało na niego tak ożywczo. Taksówka czekała przy krawężniku.

Podał kierowcy adres i usiadł na tylnym siedzeniu. Ogarnęło go uczucie uniesienia, jakby jechał na randkę, jakby Nancy na niego czekała. Przez całą drogę uśmiechał się do siebie i dał taksówkarzowi duży napiwek. Nie poprosił go, żeby zaczekał. Nie chciał się śpieszyć. Zostanie w mieszkaniu sam, tak długo, jak będzie miał ochotę. Zastanawiał się nawet, czy nadal go nie wynajmować, żeby móc tu przychodzić, kiedy dokuczy mu tęsknota. Do Bostonu z Nowego Jorku jest tylko godzina lotu. Zachowałby ich mieszkanie. Spojrzał na znajomy, przyjazny budynek i mimowolnie na głos powiedział słowa „Cześć, już jestem”. Wypowiadał je setki razy, stając w

drzwiach. Zwykle zastawał ją przy sztalugach, z ubrudzonymi farbą rękami, a czasem i twarzą. Jeśli była bardzo pochłonięta pracą, nie słyszała jego nadejścia.

Wolno wchodził po schodach. Był zmęczony, ale wrażenie, że wrócił do domu, dodawało mu energii. Chciał tylko wejść na górę i usiąść blisko niej... blisko jej rzeczy. Znajome zapachy unosiły się w powietrzu, słyszał szum lejącej się wody, głos dziecka, miauczenie kota na niższym piętrze, klakson samochodu na ulicy i płynącą z radia wioską piosenkę. Przez chwilę miał dziwne wrażenie, że radio gra w mieszkaniu Nancy. Wyjął klucz i na długą chwilę przystanął na podeście. Pierwszy raz dzisiaj poczuł pod powiekami gorące łzy. Przecież znał prawdę. Nancy tam nie będzie. Odeszła na zawsze. Umarła. Od czasu do czasu zmuszał się, żeby wypowiedzieć to słowo na głos. W ten sposób szybciej pogodzi się z tym faktem. Nie chciał się zamienić w szaleńca, który odpycha od siebie prawdę i udaje, że nic się nie zmieniło. Nancy by się to nie spodobało. Ale czasami zapominał o rzeczywistości, która potem raniła go jeszcze mocniej. Tak jak teraz. Przekręcił klucz w zamku i zaczekał, jakby się spodziewał, że jednak ktoś wyjdzie go powitać. Nikogo nie było. Wolno otworzył drzwi i osłupiał.

- O, mój Boże! Gdzie... gdzie są...

Wszystko zniknęło. Wszystko. Każdy stół, krzesło, kwiaty, obrazy, sztalugi, farby. Nawet jej ubrania. Nagle usłyszał własny płacz. Łzy wściekłości spływały mu po policzkach, kiedy otwierał kolejne drzwi. Wszędzie pusto. Nie było nawet lodówki. Oszołomiony stał przez chwilę w bezruchu, a potem zbiegł po schodach po dwa stopnie na raz do mieszkania nadzorcy budynku, w suterenie. Walił pięścią w drzwi, aż stary człowieczek je uchylił na długość łańcucha i wyjrzał przerażony na korytarz. Rozpoznał Michaela, uśmiechnął się i zamierzał go wpuścić do środka, ale chłopak chwycił go za kołnierz i mocno potrząsnął.

- Gdzie są jej rzeczy, Kawolski? Gdzie się wszystko podziało? Co, do cholery, z nimi zrobiłeś? Zabrałeś je? Kto je zabrał? Gdzie one są?

- Jakie rzeczy? Kto.. O, mój Boże... Nie, nie, ja nic nie zabrałem. Przyjechali po nie dwa tygodnie temu. Po wiedzieli mi... Staruszek trząśł się ze strachu, a Michael z gniewu.

- Co za oni?

- Nie wiem. Ktoś do mnie zapukał i powiedział, że mieszkanie się zwolni i że panna McAllister nie... że miała... - Dozorca spostrzegł łzy na twarzy Michaela i bał się dokończyć. - Tak mi powiedzieli. I że mieszkanie się zwolni pod koniec tygodnia. Dwie pielęgniarki zabrały trochę rzeczy, a po resztę następnego ranka przyjechała ciężarówka od Goodwilla.

- Pielęgniarki? Jakie pielęgniarki? - Michael nic z tego nie rozumiał. Ciężarówka ze sklepu Goodwilla? Kto ją wezwał?

- Nie wiem, kto to był. Wyglądały jak pielęgniarki. Miały białe fartuchy. Nie wzięły wiele.



Tylko jedną małą torbę i obrazy. Resztę zabrał Goodwill. Ja nic nie wzięłem. Przysięgam. Nie zrobiłbym czegoś podobnego, szczególnie takiej miłej dziewczynie... -Ale Michael nie słuchał. Już, półprzytomny, wychodził na ulicę. Stary człowiek patrzył na niego kręcąc głową. Biedaczek. Pewnie niedawno się dowiedział. - Hej, hej! - Michael odwrócił się, a starzec powiedział cicho: - Bardzo mi przykro.

- Chłopak tylko skinął głową i wyszedł. Skąd pielęgniarki się dowiedziały? Jak mogły coś takiego zrobić? Pewnie zabrały skromną biżuterię Nancy, jakieś drobiazgi, obrazy. Może ktoś ze szpitala im powiedział. Sępy żywiące się odpadkami. Chryste, gdyby je spotkał, to... Zaciśnął pięści, a potem pomachał na taksówkę. Może... przynajmniej... Warto spróbować. Wszedł do samochodu, nie zwracając uwagi na ból, który zaczął mu pulsować w tyle głowy.

- Gdzie jest najbliższy Goodwill?

- Jaki Goodwill? - Kierowca żuł pokruszone cygaro. Jego mina świadczyła o tym, że nie jest zbyt przychylnie nastawiony do świata.

- Sklep Goodwilla. No, wie pan, taki z używaną odzieżą i meblami.

- A, tak! Niedaleko. Ten dzieciak nie wyglądał na klienta takiego sklepu, ale dopóki płacił za przejazd, taksówkarza nic nie dziwiło. Z mieszkania Nancy jechało się do sklepu pięć minut. Świeże powietrze owiewające twarz pomogło Michaelowi otrząsnąć się z szoku, jakim był widok opustoszałego mieszkania. Czuł się tak, jakby szukał swojego pulsu i stwierdził, że już nie bije.

- Jesteśmy na miejscu. Z roztargnieniem podziękował taksówkarzowi, zapłacił dwa razy więcej, niż wskazał licznik, i wysiadł. Nie był nawet pewien, czy chce wejść do sklepu. Pragnął zobaczyć jej rzeczy, ale w mieszkaniu, tam gdzie ich miejsce, a nie w jakimś dusznym, zakurzonym magazynie, z przyklejonymi cenami. I co robi, jeśli je odnajdzie? Kupi wszystko? A potem co? Z dojmującym poczuciem samotności i zagubienia wszedł do sklepu. Nikt się nie pojawił, żeby go obsłużyć, więc krążył bez celu po pomieszczeniach. Nie spostrzegł nic znajomego. Nagle ogarnęła go tęsknota, nie za rzeczami, które jeszcze rano wydawały mu się tak ważne, ale za ich właścicielką. Ona odeszła i to, czy znajdzie jej rzeczy czy nie, nie miało żadnego znaczenia. Łzy popłynęły mu po twarzy i wolno wyszedł ze sklepu.

Tym razem nie przywołał taksówki. Ruszył na piechotę. Szedł, nic nie widząc, a nogi same wybierały kierunek. Umysł nie brał w tym udziału. Wydawało mu się, że w głowie ma zupełną pustkę. Jego ciało też było puste, tylko serce zamieniło się w kamień. Nagle, w tym dusznym sklepie ze starociami, życie się dla niego skończyło. Wreszcie wszystko do niego dotarło. Stał przy czerwonym świetle i czekał, aż się zapali zielone, chociaż nic go już nie obchodziło. Nie widział, kiedy zmieniły się światła, ponieważ zemdlał.

Kiedy się ocknął po dłuższej chwili, wokół zgromadził się tłum ludzi, a on leżał na małym

trawniku, gdzie ktoś go zaniósł. Nad nim stał policjant i uważnie spoglądał mu w oczy.

- Jak się czujesz, synu? - Widział, że chłopak nie jest pijany ani naćpany, ale jego twarz przybrała niepokojący, ziemisty kolor. Pewnie był chory, wygłodzony albo coś w tym rodzaju. Jednak wyglądał dość zamożnie, więc chyba nie zemdlął z głodu.

- Nic mi nie jest. Dziś rano wyszedłem ze szpitala i pewnie trochę przesadziłem. - Michael uśmiechnął się ponuro. Twarze wokół niego zawirowały, kiedy usiłował wstać.

Policjant zauważył, co się z nim dzieje, i nakazał ludziom się rozejść. Potem znów spojrzał na Michaela.

- Sprowadzę wóz patrolowy, żeby cię zabrał do domu.

- Naprawdę nic mi nie jest.

- Dobra, dobra. Wolisz wrócić do szpitala?

- Nie!

- W takim razie odwieziemy cię do domu. - Powie dział coś do małego walkie-talkie i przykucnął obok Michaela. - Zaraz przyjadą. Długo chorowałeś? Michael potrząsnął głową i spuścił wzrok.

- Dwa tygodnie. - Na jego skroni wciąż widniała niewielka blizna, ale policjant jej nie dostrzegł.

- Uważaj na siebie.

Obok nich zatrzymał się radiowóz i policjant pomógł Michaelowi wstać. Chłopak poczuł się lepiej. Nadal był blady, ale pewniej trzymał się na nogach. Obejrzał się przez ramię i postarał się przywołać na twarz uśmiech.

- Dzięki.

Ten wymuszony uśmiech jeszcze bardziej zaniepokoił policjanta. W oczach nieznanego chłopaka dostrzegł rozpacz.

Michael podał policjantom w radiowozie nazwę ulicy nieopodal hotelu. Kiedy go tam dowieźli, podziękował im i wysiadł. Ostatni odcinek drogi przeszedł piechotą. Apartament wciąż był pusty. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić do łóżka, ale doszedł do wniosku, że to nie ma sensu. Zrealizował swój plan. Nic mu to nie dało, ale przynajmniej zrobił, co zamierzał. Tak naprawdę szukał Nancy. Powinien wiedzieć, że w mieszkaniu jej nie zastanie. Mógł ją odnaleźć tylko w jednym miejscu, gdzie wciąż jeszcze żyła - w swoim sercu.

Stał przy oknie, kiedy drzwi do apartamentu się otworzyły. Nawet się nie odwrócił. Nie chciał ich widzieć, wysłuchiwać opowieści o spotkaniu ani udawać, że nic mu nie jest. Czuł się źle i być może nigdy już nie poczuje się lepiej.

- Dlaczego wstałeś, Michael?

Matka przemówiła do niego tak, jakby za kilka dni miał skończyć siedem lat, a nie dwadzieścia pięć. Odwrócił się wolno, chwilę milczał, a potem uśmiechnął się do George'a zmęczonym uśmiechem.

- Mamo, już czas, żebym wstał z łóżka. Nie mogę leżeć do końca życia. Właściwie to dzisiaj wieczorem chcę wracać do Nowego Jorku.

- Co takiego?

- Wracam do Nowego Jorku.

- Ale dlaczego? Chciałeś parę dni tu zostać. - Nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Odbylaś już swoje spotkanie - a ja odbyłem swoje. Nie mamy po co tu marudzić. Jutro wybieram się do biura. Dobrze, George?

Calloway spojrział na niego nerwowo. Przeraził go ból i rozpacz, które dostrzegł w oczach chłopaka. Może będzie lepiej, jeśli zajmie się pracą. Widać było, że jeszcze jest słaby, ale wielodniowe leżenie w łóżku na pewno mu nie pomoże. Da mu zbyt wiele czasu na rozmyślanie.

- Chyba masz rację, Michael. Na początku możesz pracować tylko pół dnia.

- Zdaje się, że obaj zwariowaliście. Przecież Michael dopiero rano wyszedł ze szpitala.

- A ty, mamo, jesteś słynna z tego, że bardzo dbasz o swoje zdrowie, prawda? - Spojrział na nią zaczepnie. Marion powoli usiadła na kanapie.

- Dobrze już, dobrze - odparła z opanowanym uśmiechem.

- Jak się udało spotkanie?

Michael usiadł naprzeciw matki i starał się przywołać na twarz wyraz zainteresowania. Będzie musiał się tego nauczyć, ponieważ właśnie podjął decyzję. Od dzisiaj postanowił żyć wyłącznie pracą. Nic więcej mu nie pozostało.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Gotowa? - Chyba tak.

Powyżej ramion nic nie czuła, jakby odcięto jej głowę. Jaskrawe światła sali operacyjnej raziły ją w oczy, ale nie mogła zmrużyć powiek. Widziała wyraźnie jedynie pochyloną nad nią twarz Petera. Jego starannie przyciętą brodę przykrywała maska chirurgiczna. Oczy spoglądały z ożywieniem. Przez ostatnie trzy tygodnie studiował zdjęcia rentgenowskie, mierzył, szkicował, rysował, opracowywał plany, przygotowywał się do zabiegów i rozmawiał z Nancy. Miał tylko jedno jej zdjęcie, to zrobione w wesołym miasteczku, w dniu wypadku. Na nim twarz dziewczyny, wystająca z otworu w dykcie z jarmarcznym obrazkiem, była częściowo przesłonięta. Jednak dzięki tej fotografii zyskał ogólne wyobrażenie, jakiś punkt zaczepienia. Rzecz jasna, zamierzał pójść wiele dalej. Po skończonej serii operacji Nancy będzie inną dziewczyną, o twarzy, której każdy mógłby jej pozazdrościć. Uśmiechnął się do pacjentki i zobaczył, że opadają jej powieki.

- Postaraj się teraz nie zasypiać. Rozmawiaj ze mną. Będziesz senna, ale nie wolno ci zasnąć. - Mogłaby się wtedy zakrztusić własną krwią, ale tego nie zamierzał jej mówić. Zabawiał ją anegdotami i żartami, zadawał pytania, kazał zastanawiać się na różnymi problemami i przypominać sobie imiona wszystkich zakonnic, które знаła w dzieciństwie. - Jesteś nadal pewna, że nie chcesz zostać siostrą Agnes Marie?

- Przecież obiecałam.

Spierali się żartobliwie przez całe trzy godziny operacji. Dłonie lekarza ani na chwilę nie przestały się poruszać. Nancy miała wrażenie, że ogląda jakiś balet.

- Pomyśl tylko, za kilka tygodni wynajmiemy ci mieszkanie, pewnie z jakimś pięknym widokiem, i wtedy... Hej, Śpiąca Królowo, jaki chciałabyś mieć widok z sypialni? Może na zatokę?

- Dobrze. Dlaczego nie?

- Dobrze? Chyba widok, jaki masz ze szpitalnego okna, trochę przewrócił ci w głowie. Już nic cię nie zachwyca.

- Nieprawda. Ten widok bardzo mi się podoba.

- W takim razie oboje poszukamy odpowiedniego mieszkania. Dobrze?

- Jasne. - Głos miała senny, ale słyhać było, że jest zadowolona. - Mogę już zasnąć?

- Wytrzymaj jeszcze chwilę, Królowo. Za kilka mi nut kończymy. Odwieziemy cię do sali i będziesz mogła spać, jak długo zechcesz.

- Wspaniale.

- Czy to znaczy, że cię nudzę? - Nancy zachichotała, słysząc jego niby urażony ton. - No,

już gotowe. - Skinął głową asystentce, odstąpił o krok, a pielęgniarka szybko zrobiła pacjentce zastrzyk w udo. Potem chirurg znowu do niej podszedł i uśmiechnął się patrząc w oczy, które tak dobrze poznał. Nie widział jeszcze reszty twarzy. Ale znał jej oczy, i to bardzo blisko. Ona równie blisko znała jego twarz. - Wiesz, że dzisiaj jest szczególny dzień?

- Tak.

- Naprawdę? A skąd?

Dzisiaj były urodziny Michaela, ale nie chciała mu o tym mówić. Mike kończy dwadzieścia pięć lat. Ciekawe, co teraz robi.

- Po prostu wiem, i tyle.

- Dla mnie ten dzień jest szczególny, bo to początek. Dziś odbyła się nasza pierwsza operacja, pierwszy krok na wspaniałej drodze do nowej Nancy. Jak ci się to podoba?

Uśmiechnął się, a dziewczyna zamknęła oczy i zapadła w sen. Zastrzyk podziałał. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, szefie.

- Nie nazywaj mnie tak, osłe. Okropnie wyglądasz, Ben.

- Serdeczne dzięki. - Z pomocą sekretarki, wsparty na kulach, Ben wkuśtykał do wspaniale umeblowanego, wyłożonego boazerią gabinetu przyjaciela. Sekretarka usadziła go w fotelu i wyszła. - Przygotowali ci niezły gabinet. Czy mój będzie tak samo wyglądał?

- Mogę ci oddać swój. Nie znoszę go.

- Fajnie. Co nowego? - Rozmowy między nim wciąż przebiegały sztywno. Od czasu powrotu Bena z Bostonu spotkali się dwa razy i unikali jakiegokolwiek wzmianki o Nancy, co dla obu było trudne do zniesienia. Przecież każdy z nich cały czas o niej myślał. - Doktor mówi, że w przyszłym tygodniu mogę zacząć pracę. Michael roześmiał się i potrząsnął głową.

- Chyba upadłeś na głowę!

- A ty nie? Ciemna chmura przesłoniła oczy Michaela.

- Ja sobie nic nie złamałem. - Przynajmniej nic, co widać na zewnątrz. - Już ci mówiłem, że masz miesiąc wolnego. Nawet dwa, jeśli to konieczne. Dlaczego nie wybierzesz się z siostrą do Europy?

- I co bym tam robił? Siedział w fotelu na kółkach i marzył o panienkach w bikini? Chcę zacząć pracować. Może za dwa tygodnie?

- Zobaczymy. - Zapadła długa cisza, aż nagle Mike ze zgorzkniałym wyrazem twarzy spojrział na przyjaciela. - A co potem?

- O co ci chodzi?

- Dokładnie o to, o co pytałem. Co potem? Przez następne pięćdziesiąt lat będziemy tyrać jak osły, przechytrzymy tylu ludzi, ilu się da, zarobimy kupę forsy, ale co z tego? Co z tego, do

cholery?

- Widzę, że jesteś w świetnym nastroju. Co się stało? Przyciąłeś sobie palec szufladą biurka?

- Na litość boską, chociaż raz przestań żartować, dobrze? Mówiłem poważnie. Ty nigdy się nad tym nie zastanawiałeś? Jaki to wszystko ma sens?

Ben wiedział, o co przyjacielowi chodzi. Teraz nie mógł już dłużej udawać, że problem nie istnieje.

- Nie wiem, Mike. Po wypadku ja też wiele o tym myślałem. Pytałem się, co jest w moim życiu najważniejsze i w co wierzę.

- I znalazłeś odpowiedź?

- Nie jestem pewien. Po prostu się cieszę, że żyję. Wypadek pomógł mi zrozumieć, jakie ważne jest życie, jak dobrze się nim cieszyć. - W jego oczach zabłyśły łzy.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego stało się to, co się stało. Żałuję... żałuję... - Głos mu się załamał. - Żałuję, że to nie ja zginąłem.

Mike spuścił powieki, żeby zatrzymać łzy, które i jemu napłynęły do oczu. Wolno podszedł do przyjaciela. Przez chwilę stali, mocno się obejmując, z wilgotnymi od łez policzkami. Dziesięcioletnia przyjaźń dawała im większe pocieszenie niż cokolwiek innego.

- Dzięki, Ben.

- Hej, słuchaj! - Ben rękawem marynarki otarł łzy z twarzy. - Może pójdziemy na wódkę? W końcu dzisiaj są moje urodziny, więc dlaczego nie?

Mike roześmiał się jak mały chłopiec, wciągnięty w jakąś tajną awanturę, i skinął głową.

- Dobra. Już prawie piąta. Nie mam dzisiaj żadnych spotkań. Pójdziemy do Oak Room.

Wyszli razem z biura, wsiedli do taksówki i pół godziny później już siedzieli za barem, pijąc kolejnego drinka, na najlepszej drodze do zalania się w pestkę.

Mike wrócił do mieszkania matki po północy. Schody pokonał przy wydatnej pomocy portiera. Następnego ranka, kiedy do jego sypialni weszła pokojówka, zastała go śpiącego na podłodze. Przynajmniej udało mu się przeżyć urodziny.

Ledwie patrzył na oczy, kiedy zasiadł za stołem do śniadania. Matka już tam była; ubrana w czarną suknię czytała „The New York Times”. Zapach kawy i słodkich bułek przyprawił Michaela o mdłości.

- Zdaje się, że spędziłeś wczoraj bardzo interesujący wieczór - przemówiła Marion lodowatym tonem.

- Spotkałem się z Benem.

- Tak mi powiedziała twoja sekretarka. Mam nadzieję, że to ci nie wejdzie w nawyk. O,

Chryste. A dlaczego nie?

- Co takiego? Picie?

- Nie. Wczesne wychodzenie z pracy. W zasadzie to drugie też mi się nie podoba. Z pewnością zjawileś się w domu we wspaniałym stanie.

- Nie pamiętam. - Koncentrował się na tym, żeby nie zakrztusić się kawą.

- Jeszcze o czymś zapomniałeś. - Odłożyła gazetę i spojrzała na syna groźnie. - Wczoraj byliśmy umówieni na kolację w „21”. Czekałam na ciebie dwie godziny, razem z dziewięciorgiem zaproszonych gości. Chyba nie wyleciało ci z głowy, że to były twoje urodziny.

Tylko tego mu było potrzeba. Przyjęcia urodzinowego.

- Nie wiedziałem, że mają tam być jacyś ludzie. Nic mi nie powiedziałaś. Po prostu zaprosiłaś mnie na kolację. Myślałem, że będziemy tylko we dwoje. - Teraz, oczywiście, nie miało to już znaczenia.

- I wydawało ci się, że mnie możesz wystawić do wiatru, tak?

- Nie, na litość boską, po prostu zapomniałem. Wcale nie miałem ochoty na świętowanie urodzin.

- Przykro mi. - Jej głos brzmiał tak, jakby nie wie działa, dlaczego te urodziny różniły się od innych, jakby niewiele ją to obchodziło. Była urażona.

- A właśnie, mam. Chciałbym się wyprowadzić i wy nająć własne mieszkanie. Zaskoczona podniosła wzrok.

- Dlaczego?

- Bo mam dwadzieścia pięć lat. Pracuję u ciebie, ale nie muszę z tobą mieszkać.

- Nic nie musisz. - Zastanawiała się, czy ten młody Avery nie wywiera na jej syna złego wpływu- To wyglądało na jego pomysł.

- Mamo, teraz się o to nie spierajmy- Strasznie boli mnie głowa.

- Masz kaca. - Spojrzała na zegarek i wstała. - Zobaczymy się w biurze za pół godziny. Nie zapomnij o spotkaniu z tymi ludźmi z Houston. Będziesz w formie, żeby z nimi porozmawiać?

- Zaraz dojdę do siebie. I mam... przepraszam, że tak nagle powiedziałem ci o nowym mieszkaniu, ale to już najwyższy czas.

Spojrzała na niego srogim wzrokiem i cicho westchnęła.

- Może masz rację. A tak przy okazji, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. - Pocałowała go, a on, mimo przeszywającego bólu głowy, uśmiechnął się do niej. - Na biurku zostawiłam ci mały prezent.

- Dziękuję, ale to niepotrzebne.

Prezenty nie miały już dla niego znaczenia. Ben to rozumiał i nic mu nie dał.

- Urodziny to w końcu urodziny. Do zobaczenia w biurze.

Kiedy wyszła, długo siedział w jadalni i spoglądał przez okno. Wiedział, jakiego mieszkania potrzebuje. Tego w Bostonie. Ale zrobi wszystko, żeby znaleźć podobne w Nowym Jorku. Nie do końca porzucił swoje marzenia. Choć rozumiał, że to szaleństwo, nie chciał się ich wyrzekać. ...



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cześć, Sue. Pan Hillyard jest u siebie? Dochodziła piąta, kiedy nieco wymięty Ben stanął pod drzwiami gabinetu Michaela. Cieszył się, że praca dobiega już końca. Przez cały dzień nie miał czasu, żeby choć na chwilę usiąść, nie mówiąc już o odpoczynku.

- Tak, jest u siebie. Czy mam pana zapowiedzieć? - Uśmiechnęła się do niego, a Ben nie potrafił oderwać wzroku od jej zgrabnej figury, starannie zamaskowanej luźnym strojem. Marion Hillyard nie lubiła seksownych sekretarek, nawet w biurze syna. A może zwłaszcza w biurze syna? Ben nie był pewien, czy „nawet”, czy „zwłaszcza”.

- Nie, dziękuję. Sam się zapowiem. - Miał ze sobą teczek z dokumentami, które służyły mu za pretekst do tej wizyty. Wyminął biurko sekretarki i zapukał w grube dębowe drzwi. - Jest tam kto? - Nie padła żadna odpowiedź, więc zapukał jeszcze raz. Znowu nic. - Jesteś pewna, że nigdzie nie wyszedł? - zwrócił się do sekretarki.

- Najzupełniej.

- Dobrze. - Spróbował jeszcze raz i tym razem odpowiedział mu schrypnięty głos. Ostrożnie uchylił drzwi i rozejrzał się po gabinecie. - Spałeś, czy co?

- Niestety, nie. Spójrz tylko na ten bałagan. - Mike siedział otoczony folderami, makietami, rysunkami, planami i raportami, które dziesięciu ludziom dostarczyłyby pracy na cały rok. - Siadaj, Ben.

- Dzięki, szefie. - Nie mógł się powstrzymać, żeby się z nim trochę nie podrażnić.

- Przymknij się. Co to za dokumenty? - Mike przeczesał włosy palcami i opadł na oparcie skórzanego dyrektorskiego fotela, do którego zdążył się już przyzwyczaić. Przyzwyczaił się nawet do bezosobowych akwafort na ścianach. Nie patrzył na nie. Nie zwracał uwagi na ściany, biuro, sekretarkę... ani na swoje życie. Liczyła się tylko praca i nic innego. Tak było od czterech miesięcy.

- Tylko mi nie mów, że przychodzisz do mnie w sprawie tego cholernego centrum handlowego w Kansas City. To mnie zaczyna doprowadzać do szału.

- Właśnie za to kochasz swoją pracę. Powiedz mi, Mike, na czym ostatnio byłeś w kinie? Na „Moście na rzece Kwai”? Na „Fantazji”? Czy ty w ogóle wychodzisz z biura?

- Jeśli mam okazję, to nie - odparł Mike, przeglądając jakieś papiery. - Więc co to za dokumenty?

- To tylko pretekst. Chciałem do ciebie wpaść i trochę porozmawiać.

- Nie możesz tego zrobić bez żadnego pretekstu? - Michael uśmiechnął się. Znowu czuli się jak mali chłopcy, wymykający się do kolegi pod pozorem wspólnego odrabiania lekcji.

- Ciągle zapominam, że twoja matka to nie stary Sanders od świętego Judy.

- Dzięki Bogu. - Obaj dobrze wiedzieli, że Marion jest jeszcze gorsza, ale żaden z nich nie odważył się tego powiedzieć. Nie znosiła ludzi, którzy „włóczą się” po korytarzach, i zwykle sprawdzała, czy rzeczywiście mają coś ważnego do załatwienia. - Co u ciebie, Ben? Jak ci upłynęło lato z Hamptonami?

Ben siedział chwilę bez ruchu i przyglądał się przyjacielowi, zanim odpowiedział.

- Naprawdę cię to interesuje?

- Co? Ty czy Hamptonowie? - Uśmiech Michaela wyglądał sztucznie. A jego cera miała tak ziemisty kolor, jakby to był grudzień, a nie wrzesień. Widać było, że w lecie nigdzie nie wyjeżdżał.

- Ty mnie obchodzisz, Ben.

- Ale nie obchodzi cię własne życie. Spoglądałeś ostatnio w lustro? Nawet matka Frankensteina by się ciebie przestraszyła. Zapraszamy cię na weekend nad morze. Ja cię zapraszam. Oni cię zapraszają. Wszyscy cię zapraszamy. Jeśli odmówisz, wyciągnę cię zza tego biurka siłą. Musisz się stąd wyrwać.

- Bardzo bym chciał, ale nie mogę. Mam na karku Kansas City i tysiące związanych z tym problemów, których jakoś nikt inny nie umie rozwiązać. Sam wiesz, jak jest. Byłeś wczoraj na zebraniu.

- Tak jak i dwudziestu trzech innych ludzi z firmy. Niech one się tym martwią. Przynajmniej przez weekend. A może woda sodowa tak ci uderzyła do głowy, że nie chcesz nikomu pozwolić się dotknąć do swojej pracy?

Obaj wiedzieli, że nie o to chodzi. Praca stała się dla Michaela narkotykiem. Znieczuliła go na wszystko inne. Przepracowywał się od pierwszego dnia w biurze.

- Daj spokój, Mike. Chociaż raz zrób sobie przerwę.

- Nie mogę.

- Cholera, co jeszcze mam ci powiedzieć? Spójrz na siebie. Nic cię nie obchodzi? Zabijasz się, i po co to? - Głos Bena zadudnił w gabinecie i uderzył w Michaela z niemal namacalną siłą. Jego twarz wykrzywiła się ze wzburzenia. - Czy to ma jakiś sens? Jeśli się wykończysz, to i tak nie przywrócisz jej życia. Ty żyjesz, do cholery. Masz dwadzieścia pięć lat i marnujesz życie, zapracowujesz się tak samo jak matka. O to ci właśnie chodzi? Chcesz być taki jak ona? Żyć, jeść, spać, pić i umrzeć dla tej przeklętej firmy? To ci wystarczy? Taki właśnie jesteś? Nie wierzę w to. Wiem, że siedzi w tobie zupełnie inny człowiek, i właśnie jego kocham. Ale ty traktujesz go po prostu podle. Nie mogę na to pozwolić. Powinieneś zacząć naprawdę żyć. Zabaw się z tą zgrabną sekretarką, która siedzi przed twoim gabinetem, albo z jakimiś innymi dziewczynami, które możesz poznać na każdym przyjęciu. Rusz się wreszcie i wyjdź z tej trumny, bo inaczej...

Mike nie pozwolił mu skończyć. Rozdygotany wstał i pochylił się nad biurkiem. Był teraz

jeszcze bledszy.

- Wynoś się z mojego biura, Ben, zanim cię zabiję! Wynoś się! - ryknął jak zraniony lew. Przez chwilę obaj stali wpatrując się w siebie, wstrząśnięci i przerażeni tym, co przed chwilą powiedzieli. - Przepraszam. - Mike usiadł i ukrył twarz w dłoniach. - Może na dzisiaj skończymy tę rozmowę? - Nie podniósł wzroku, kiedy Ben wolno się do niego zbliżył, uściśnął mu ramię i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Nic więcej nie było do powiedzenia.

Sekretarka spojrzała na niego pytająco, ale nic jej nie wyjaśniał. Słyszała krzyki Mike'a pod koniec rozmowy. Całe piętro mogło je słyszeć. W drodze do swojego gabinetu Ben minął Marion na korytarzu, ale pochłaniała ją rozmowa z Callowayem, a on nie był w nastroju do zwykłej wymiany uprzejmości. Miał dość tej kobiety i tego, co robiła swojemu synowi. Pewnie jej odpowiadało, że tak ciężko pracuje. To było dobre dla firmy, dla jej imperium, dla dynastii. Ben Avery miał tego dosyć.

Wyszedł z biura o szóstej trzydzięci i kiedy na ulicy podniósł głowę, zobaczył, że w biurze Mike'a wciąż pali się światło. Wiedział, że o jedenastej czy dwunastej też się będzie paliło. Dlaczego nie? Po co Mike miał wracać do domu, do tego pustego mieszkania, które wynajął trzy miesiące temu? Znalazł niewielkie, miłe mieszkanko na Central Park South. Coś w jego rozkładzie przypominało Benowi mieszkanie Nancy w Bostonie. Mike z pewnością również to zauważył. Może właśnie dlatego je wybrał. Ale potem coś się stało, jakby z przyjaciela uszły resztki życia. Zaczął pracować jak szaleniec, jakby brał udział w jakimś wariackim maratonie. Nie zawracał sobie głowy urządzeniem mieszkania. Nadal było puste i smutne. Umeblowanie składało się jedynie z dwóch składanych krzeseł, łóżka i starej brzydkiej lampy na podłodze. Od ścian odbijało się głucho echo. Wyglądało to tak, jakby niedawno eksmitowano z niego lokatora. Na samą myśl o powrocie do takiego wnętrza Ben wpadał w przygnębienie i potrafił sobie wyobrazić, jak ono wpływa na Mike'a, jeśli w ogóle zwracał uwagę na otoczenie, w co Ben zaczynał wątpić. Na początku lipca podarował mu dwa doniczkowe kwiaty, ale oba zwiędły już pod koniec miesiąca. Stały nie kochane i zapomniane, tak samo jak brzydka lampa.

Benowi nie podobała się taka sytuacja, ale nikt nie mógł nic na nią poradzić. Nikt, oprócz Nancy, ale ona nie żyła. Na myśl o niej Ben nadal odczuwał niemal fizyczny ból, podobny do klucia w kostce i biodrze, które nękało go, kiedy był zmęczony. Jego złamania szybko się zagoiły. Bardzo pomogła mu młodość. Ale rany Mike'a, chociaż z zewnątrz niewidoczne, były bardziej skomplikowane. Można je było zauważyć patrząc mu w oczy albo na twarz pod koniec dnia... albo na zaciśnięte usta, kiedy nieobecny duchem siedział za biurkiem i wpatrywał się w odległy horyzont za oknem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- No i co, młoda damo? Czy dotrzymałem obietnicy? Masz najwspanialszy widok w mieście?

Peter Gregson siedział na tarasie z Nancy. Spojrzeli na siebie promiennie. Jej twarz wciąż przesłaniały opatrunki, ale między bandażami widać było żywo patrzące oczy, a ręce odzyskały całkowitą sprawność. Wyglądały inaczej, ale były śliczne i Nancy z przyjemnością wykonywała nimi szerokie gesty. Z tarasu widzieli całą zatokę, most Golden Bridge po lewej, Alcatraz po prawej, a w oddali na wprost okręg Marin. Z drugiej części tarasu rozciągał się równie imponujący widok na południową i wschodnią część miasta. Z wychodzącego na dwie strony tarasu mogła obserwować wschody i zachody słońca i z przyjemnością siadywała tam w dzień. Od kiedy się tu sprowadziła, utrzymywała się wspaniała pogoda. Peter znalazł jej mieszkanie, tak jak obiecywał.

- Wiesz, robię się strasznie rozpieszczona.

- Zaslugujesz na to. A, właśnie. Mam coś dla ciebie. Klasnęła w ręce jak mała dziewczynka. Ciągle jej coś przynosił: zabawne powiedzonko, śliczną apaszkę, żeby okryła nią bandażę, cudowne, brzęczące bransolety dla podkreślenia pięknych dłoni. Obsypywał ją prezentami, ale dzisiejszy podarek miał być wyjątkowy. Peter wstał z tajemniczą, zadowoloną miną i wszedł do mieszkania. Przyniósł dość duże pudło, które robiło wrażenie ciężkiego. I rzeczywiście było ciężkie. Nancy przekonała się o tym, kiedy spoczęło na jej kolanach.

- Co to jest? Chyba kamień. - Roześmiała się pod bandażami.

- Tak, największy szafir, jaki mieli w sklepiku na rogu.

- Świetnie! - Jednak nawet nie podejrzewała, jaki cudowny prezent przyniósł jej tym razem.

W pudle znajdował się skomplikowany i drogi aparat fotograficzny.

- Peter! To jest wspaniałe! Ale ja nie mogę...

- Oczywiście, że możesz. I oczekuję, że zabierzesz się z tym aparatem do poważnej pracy.

Oboje wiedzieli, jak bardzo przeżywa to, że całkowicie straciła zapał do malowania. Zabandażowane ręce już nie mogły być wymówką. Jednak nadal nie mogła tworzyć. Coś w niej zamierało za każdym razem, kiedy o tym myślała. Obrazy, które pielęgniarki wzięły z bostońskiego mieszkania, wciąż spoczywały na dnie wielkiej szafy, zamknięte w czarnej malarskiej teźce. Nie chciała ich nawet oglądać, nie mówiąc już o dokończeniu zaczętych prac. Była nadzieja, że aparat coś zmieni. Peter dostrzegł błysk w jej oczach i modlił się w duchu, żeby w Nancy coś się przełamało. Może otworzą się przed nią jakieś nowe drzwi. Bardzo tego potrzebowała. Dawne zamiłowania straciły sens. Powinna zająć się czymś nowym.

- Jest tam też wyjątkowo skomplikowana instrukcja obsługi. Nie mogę jej pojąć, chociaż

przez dziesięć lat studiowałem na akademii medycznej. Może ty coś z niej zrozumiesz.

- Pewnie! - Zajrzała do grubej broszury i natychmiast zatopiła się w lekturze, nie wypuszczając z ręki aparatu. Zupełnie zapomniała o Peterze. Po chwili ode rwała wzrok od instrukcji. - Zobacz, to wspaniały aparat. Tutaj się ustawia... A kiedy to naciśniesz...

Aparat pochłonął ją całkowicie. Peter przyglądał się jej z pełnym zadowolenia uśmiechem. Zauważyła go dopiero po pół godzinie. Podniosła na niego rozradowane oczy, w których widać było wdzięczność.

- To najpiękniejszy prezent, jaki w życiu dostałam. - Oczywiście, z wyjątkiem niebieskich koralików, które Michael wygrał dla niej w wesołym miasteczku... Szybko odsunęła od siebie tę myśl. Peter znał już ten nagły smutek, który czasami przelotnie pojawiał się w jej oczach, kiedy nachodziły ją wspomnienia. Wiedział, że to zaraz minie. - Przyniosłeś film?

- Jasne. - Rozpakował mniejsze pudełko i rzucił jej na kolana. - Jak mógłbym zapomnieć o filmie?

- Ty o niczym nie zapominasz. - Szybko włożyła film do aparatu i zaczęła robić Peterowi zdjęcia. Potem sfotografowała widok z tarasu i ptaka, który przelatywał obok. - Zdjęcia pewnie będą okropne, ale to dopiero początek.

Długo patrzył na nią w milczeniu. W końcu ją objął i weszli do mieszkania.

- Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent.

- Pewnie Mercedesa. Zgadłam, prawda?

- Nie. To poważna sprawa. - Spojrzał na nią z łagodnym, ostrożnym uśmiechem. - Chcę, żebyś poznała moją przyjaciółkę, wspaniałą kobietę. - Przez jedną chwilę Nancy poczuła ukłucie dziwacznej zazdrości, ale wyraz twarzy Petera powiedział jej, że niepotrzebnie się obawia. Zdawał sobie jednak sprawę, że dziewczyna nadal przygląda mu się czujnie. - Nazywa się Faye Allison. Razem studiowaliśmy. Ona jest bez wątpienia jednym z najwybitniejszych psychiatrów na Zachodnim Wybrzeżu, a może nawet w całym kraju. Jest moją dobrą przyjaciółką i wyjątkowym człowiekiem. Myślę, że ją polubisz.

- I? - Nancy czekała, napięta, ale zaciekawiona.

- I... byłoby chyba dobrze, gdybyś przez jakiś czas odbywała z nią regularne spotkania. Kiedyś już o tym rozmawialiśmy.

- Wydaje ci się, że niezbyt dobrze radzę sobie z nową sytuacją? - Nancy była chyba urażona. Odłożyła aparat i spojrzała na Petera z powagą.

- Nie. Moim zdaniem, świetnie sobie radzisz. Ale mimo to potrzebujesz kogoś, z kim mogłabyś porozmawiać. Masz Lily, Gretchen i mnie, ale to wszystko. Nie chciałybyś mieć jeszcze kogoś?

Owszem. Michaela. On od długiego czasu był jej najlepszym przyjacielem. Na razie jednak wystarczał jej Peter.

- Nie jestem pewna, czy mi to potrzebne.

- Kiedy poznasz Faye, przekonasz się, że tak. Jest niezwykle ciepła i życzliwa. Od początku z wielkim zrozumieniem odnosi się do twojej sprawy.

- Wie o mnie?

- Od pierwszego dnia. - Faye była u niego, kiedy zatelefonowali Marion Hillyard i doktor Wickfield, ale Nancy nie musiała o tym wiedzieć. Od wielu lat, chociaż z przerwami, Faye i Petera łączył romans, opierający się bardziej na potrzebie bliskości drugiej osoby i sprzyjających okolicznościach, niż na wielkiej namiętności. Przede wszystkim byli przyjaciółmi. - Dzisiaj wpadnie tu do nas na kawę. Nie masz nic przeciwko temu? Nancy wiedziała, że nie może odmówić.

- Chyba nie. - Zamyślona usiadła w fotelu. Nie była pewna, czy chce dołączyć do grona najbliższych kogoś nowego, zwłaszcza kobietę. Poczula się zagrożona i bała się współzawodnictwa.

Wszelkie wątpliwości zniknęły, kiedy poznała Faye Allison. Chociaż Peter tak ją zachwalał, Nancy zaskoczyła wyjątkowa życzliwość i ciepło promieniujące z nowej znajomej. Faye była wysoką, szczupłą blondynką o nieco kanciastej sylwetce, ale o miękkich rysach twarzy. Oczy spoglądały łagodnie, ale żywo. Widać było, że w każdej chwili jest gotowa do żartu, szybkiej riposty lub śmiechu. Wyczuwało się też, że zawsze jest zdolna do powagi i współczucia. Po godzinie Peter zostawił je same, z czego Nancy była zadowolona.

Rozmawiały o najróżniejszych sprawach, o Bostonie, malarstwie, San Francisco, dzieciach, ludziach, akademii medycznej, ale ani razu nie wspomniały o wypadku. Faye opowiedziała Nancy kilka zdarzeń ze swojego życia, a Nancy zdradziła jej wiele z własnej przeszłości. Dawno już z nikim tak szczerze nie rozmawiała, przynajmniej od czasu pierwszych dni znajomości z Michaeliem. Opowiadała o sierocińcu, o tym, jak naprawdę wyglądał, a nie tylko śmieszne historyjki, którymi zabawiała Petera. Mówiła o samotności, wątpliwościach, kim właściwie jest, dlaczego ją tam zostawiono, o samotności i zagubieniu. Sama nie wiedziała dlaczego, ale wyznała wszystko o umowie, jaką zawarła z Marion Hillyard. Faye nie była tym wstrząśnięta ani oburzona, słuchała życzliwie i ze zrozumieniem. Nagle Nancy zdała sobie sprawę, że dzieli z tą kobietą uczucia, które ukrywała od lat, nie tylko przez ostatnie kilka miesięcy. Kiedy przyznała się do umowy z Marion, poczuła wielką ulgę.

- Nie wiem, może to zabrzmie dziwnie, ale... - Zawahała się. Czując się niezręcznie i jak bezbronne dziecko spojrzała na nową przyjaciółkę. - Wiesz, dorastałam w sierocińcu i nigdy nie

miałam rodziny. Matka przełożona była dla mnie jedyną namiastką prawdziwej matki, ale bardziej przypominała zasuszoną w staropanieństwie ciotkę. Mimo tego, co wiedziałam o Marion od Michaela i jego przyjaciela Bena, mimo tego, co sama wyczuwałam, nawiedzały mnie takie szalone marzenia, że ona mnie polubi, że zostaniemy przyjaciółkami. -Nieoczekiwanie jej oczy wypełniły się łzami, więc odwróciła wzrok.

- Wyobrażałaś sobie, że mogłaby zostać twoją matką tak?

Nancy w milczeniu skinęła głową i zaśmiała się chrypliwie.

- Czy to nie wariactwo?

- Wcale nie. To zupełnie normalne oczekiwanie. Kochałaś Michaela, nie masz żadnych krewnych. Trudno się dziwić, że chciałaś wejść do jego rodziny. Czy to dlatego ta umowa tak bardzo cię zraniła? - Faye знаła już odpowiedź, równie dobrze jak Nancy.

- Tak. Udowodniła mi, jak bardzo Marion mnie nienawidzi.

- Nie wyciągałabym aż tak daleko idących wniosków. Można powiedzieć, że Marion wiele dla ciebie zrobiła. Przesłała cię do Petera po nową twarz. Nie wspominając już o zapewnieniu dostatniego życia przez czas konieczny na operację.

- Pod warunkiem, że się wyrzeknę Michaela. Odrzuciła mnie, osobiście i w imieniu syna. Wtedy się dowiedziałam, że nigdy mnie nie akceptowała. To była strasz na chwila. - Nancy westchnęła i dodała łagodniejszym głosem: - Cóż, nie raz już przegrywałam, teraz też jakoś to przeżyję.

- Pamiętasz, jak straciłaś rodziców?

- Raczej nie. Byłam zbyt mała, żeby zapamiętać ojca, i niewiele starsza, kiedy matka oddała mnie do domu dziecka. Pamiętam dzień, kiedy dowiedziałam się o jej śmierci. Płakałam, chociaż nie bardzo wiem, dlaczego. Przecież jej nawet nie pamiętałam. Pewnie po prostu czułam się opuszczona.

- Tak jak teraz? - Faye trafnie się domyśliła.

- Chyba tak. Teraz też czasem chciałabym krzyczeć jak dziecko „kto się mną zaopiekuje?” Czasami o tym myślę. Wtedy wiedziałam, że zakonnice się mną zajmą, dopóki nie dorosnę. Teraz wiem, że zrobi to Peter, no i mam do dyspozycji pieniądze Marion. Przynajmniej do czasu zakończenia zabiegów. Ale co potem?

- A Michael? Myślisz, że do ciebie wróci?

- Czasami tak mi się wydaje. Przeważnie. Nastąpiła długa przerwa.

- Nie zawsze?

- Zaczynam się nad tym zastanawiać. Z początku tłumaczyłam sobie, że się obawia widoku mojej zniekształconej twarzy i tego, co by do mnie czuł. Ale teraz pewnie już wie o operacjach i

chyba się domyślił, że wyglądam już lepiej. Więc dlaczego jeszcze go tu nie ma? - Spojrzała Faye prosto w oczy. - Nad tym się właśnie zastanawiam.

- I do jakich dochodzisz wniosków?

- Do niezbyt miłych. Czasami myślę, że matka go przekonała i teraz wierzy, że dziewczyna z takim „nie ciekawym pochodzeniem” zaszkodziłaby mu w interesach. Marion Hillyard przyczyniła się do budowy swojego imperium i teraz się spodziewa, że Michael przejmie po niej firmę i poprowadzi ją według najlepszej tradycji rodzinnej. W takim razie nie może poślubić jakiejś przybłądy bez nazwiska, malarki wychowanej w sierocińcu. Ona chce, żeby się ożenił z bogatą panną z dobrego domu, która coś wniesie do tej rodziny.

- Sądzisz, że to ma dla niego znaczenie?

- Kiedyś nie miało, ale teraz... Sama nie wiem.

- Co będzie, jeśli go stracisz? - Nancy drgnęła, ale nic nie odparła. Za to jej oczy powiedziały wiele. - Może nie był w stanie znieść tego, przez co teraz przechodzisz? To możliwe, Nancy. Niektórzy mężczyźni nie są tacy silni, jak się nam wydaje.

- Nie wiem. Może czeka, aż to wszystko się skończy.

- Czy potem nie miałabyś do niego żalu? Nie miała byś mu za złe, że go przy tobie nie było, kiedy go potrzebowałaś? Nancy głęboko westchnęła.

- Może. Trudno mi teraz powiedzieć. Często o tym myślę, ale nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

- Tylko czas da ci odpowiedź. Teraz musisz tylko wiedzieć, co czujesz. To wszystko. Co czujesz do siebie, do tej nowej Nancy. Jesteś przejęta? Wystraszona? Zła, że wyglądasz inaczej? Czujesz ulgę?

- Wszystko po trochu. - Obie roześmiały się na tę szczerą odpowiedź. - Prawdę mówiąc, trochę mnie to przeraża. Wyobrażasz sobie, co to znaczy, po dwudziestu dwóch latach spojrzeć w lustro i zobaczyć tam kogoś obcego. Można zwariować! - Śmiała się, ale w jej głosie słychać była strach.

- Wydaje ci się, że zwariujesz?

- Czasami. Ale nie myślę o tym.

- A o czym myślisz?

- Szczerze?

- Jasne.

- O Michaelu. Czasami o Peterze. Ale przeważnie o Michaelu.

- Zaczynasz się kochać w Peterze? - Zadała to pyta nie bez wahania. Teraz mówiła doktor Allison, a nie Faye. Myślała tylko o Nancy.



- Nie, nie mogłabym się zakochać w Peterze. To miły człowiek, dobry przyjaciel. Kojarzy mi się z idealnym ojcem, którego nigdy nie miałam. Często przynosi mi prezenty. Ale... wciąż kocham Michaela.

- Musimy po prostu poczekać i zobaczyć, co się stanie.

- Faye Allison spojrzała ze zdziwieniem na zegarek. Rozmawiały prawie trzy godziny. Minęła siódma. - Masz pojęcie, która godzina?

Nancy też zerknęła na zegarek i oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia.

- Ojej! Jak nam się to udało zrobić? Odwiedzisz mnie jeszcze kiedyś? - zapytała z uśmiechem. - Peter miał rację. Jesteś niezwykłą kobietą.

- Dziękuję. Z przyjemnością się z tobą spotkam. W zasadzie... mogłybyśmy to robić regularnie. Co o tym sądzisz?

- Bardzo bym chciała częściej tak z kimś rozmawiać, jak dzisiaj z tobą.

- Nie zawsze będę mogła poświęcić na to aż trzy godziny. - Faye roześmiała się i Nancy odprowadziła ją do drzwi. - Może spotykałybyśmy się trzy razy w tygodniu, w moim gabinecie? Poza tym mogłybyśmy się widywać prywatnie, jak przyjaciółki. Podoba ci się ten plan?

- Jest wspaniały.

W progu uściśniły sobie dłonie. Nancy ze zdziwieniem stwierdziła, że już z niecierpliwością czeka na pierwsze oficjalne spotkanie, zaledwie za dwa dni.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nancy usadowiła się wygodnie w fotelu przy kominku, westchnęła i odchyliła głowę do tyłu. Przyszła pięć minut wcześniej i już się nie mogła doczekać rozmowy z Faye. Usłyszała stukanie jej szpilek w korytarzu prowadzącym do gabinetu, w którym przyjmowała pacjentów. Dziewczyna uśmiechnęła się i usiadła prosto. Chciała, żeby Faye zobaczyła ją w całej okazałości.

- Dzień dobry, ranny ptaszku. Bardzo ładnie ci w tej czerwonej sukni. - Doktor Allison zatrzymała się w progu. - Suknia nieważna. Pokaż mi swój podbródek. - Zbliżyła się wolno, patrząc na dolną część twarzy Nancy. W końcu z pełnym satysfakcji uśmiechem spojrzała jej w oczy.

- Jak ci się podoba?

Nie musiała pytać. Widziała na twarzy Nancy podziw dla pracy Petera i domyślała się, że jej pacjentka jest szczęśliwa.

- Nancy, wyglądasz pięknie. Po prostu wspaniale. - Teraz widać było śliczną młodą szyję, wdzięcznie osadzoną na szczupłych ramionach, delikatny zarys pod bródką i łagodne, zmysłowe usta. Te rysy były wręcz doskonale i świetnie pasowały do osobowości dziewczyny. Peter nie na darmo godzinami szkicował i rzeźbił. - Ja też bym chciała mieć taki podbródek! Nancy prychnęła wesoło, usiadła wygodniej w fotelu, ukrywając resztę zabandażowanej twarzy pod brązowym miękkim kapeluszem, który kupiła parę tygodni temu. Pasował do brązowych butów i wełnianego płaszcza, który wychodząc z domu włożyła na czerwoną dżersejową sukienkę. Zawsze miała zgrabną figurę, a kiedy dostanie nową piękną twarz, zmieni się w dziewczynę oszałamiającą urodą. Nawet teraz czuła się piękna, bo widziała zapowiedź swojego przyszłego wyglądu. Peter dotrzymywał obietnicy.

- Aż mi trochę wstyd, Faye. Jestem taka szczęśliwa, że mam ochotę piszczeć z radości. Dziwne, bo to, co widzę, nie przypomina dawnej mnie, ale bardzo mi się podoba.

- Cieszę się. Ale czy to, że będziesz wyglądała zupełnie inaczej, nie niepokoi cię?

- Nie tak bardzo, jak myślałam. Być może dlatego, że wciąż w głębi duszy się spodziewam, że reszta będzie taka jak dawniej. To dopiero mała część twarzy, a poza tym nigdy nie lubiłam swoich ust. Może poczuję się dziwnie, kiedy zobaczę, że pozostałe fragmenty wyglądają zupełnie inaczej.

- Wiesz co, Nancy? Chyba powinnaś się rozluźnić i po prostu cieszyć się tym, co się dzieje. Może nawet trochę poeksperymentować. Wykorzystaj wszystkie możliwości.

- Co chcesz powiedzieć?

- Starasz się zachować dawną Nancy. My z Peterem pracujemy nad tym, żebyś pogodziła się z tym, że coś stracisz z dawnej siebie. Może powinnaś spojrzeć na to z dystansu i zastanowić się

nad pewnymi sprawami. Na przykład, czy podobał ci się twój dawny sposób poruszania się?

Zdezorientowana Nancy zamyśliła się. To był zupełnie nowy pomysł. Spotykały się już od czterech miesięcy, ale nigdy jeszcze o tym nie rozmawiały.

- Sama nie wiem, Faye. Nigdy nie zwracałam uwagi na to, jak się poruszam - Pomyślmy o tym. A twój sposób mówienia? Nie chciałaś nigdy brać lekcji u kogoś, kto ustawiłby ci głos? Masz piękną barwę głosu, taką ciepłą i miłą. Może po kilku lekcjach potrafiłabyś to lepiej wyeksponować. Mogłybyśmy wykorzystać to, co już masz, i jeszcze to trochę udoskonalić. Tak robi Peter. Nie chcesz spróbować?

Oczy Nancy rozbłysły na tę myśl i widać było, że udziela się jej entuzjazm Faye.

- Mogłabym popracować na różnych zdolnościach, prawda? Nauczyłabym się grać na pianinie... ładnie chodzić... a nawet zmienić nazwisko.

- Nie róbmy nic pochopnie. Przecież nie chcemy, żebyś się zupełnie zatraciła. Najlepiej będzie, jeśli po czujesz, że dodajesz coś nowego do swojej własnej osobowości. Ale zastanowimy się nad twoimi pomysłami. Mam przeczucie, że efekty będą bardzo interesujące.

- Chcę inaczej brzmieć. - Nancy wyprostowała się i zachichotała. - Na przykład tak - powiedziała, obniżając głos o kilka oktaw. Faye roześmiała się.

- Jeśli tak będziesz mówiła, to Peter pewnie zechce wszczepić ci zarost. Cudownie. Nagle wpadły w wakacyjny nastrój. Nancy wstała i zaczęła krążyć po gabinecie. W takich chwilach Faye przypominała sobie, jaka młoda jest ta dziewczyna. Skończyła zaledwie dwadzieścia trzy lata. Niedawno minęły jej urodziny. Musiała dorosnąć szybciej niż inni. Jednak w głębi duszy wciąż była bardzo młoda. Z jednego musisz sobie jasno zdawać sprawę - oświadczyła poważnie Faye. Z czego?

Myślę, że powinnaś wiedzieć, dlaczego z taką łatwością decydujesz się na zmiany w samej sobie. To się często zdarza dzieciom pozbawionym rodziców, takim jak ty. Nie są pewne własnej tożsamości. Nie wiedzą, jacy byli ich rodzice, i w rezultacie czują, że czegoś im brakuje, że nie są tak ściśle związane z rzeczywistością. Łatwiej ci wyrzec się części swojej dawnej tożsamości niż komuś, kto zachował wyraźne wspomnienie rodziców i wynikające z niego poczucie odpowiedzialności. Tobie jest w pewien sposób łatwiej.

Nancy w milczeniu opadła na wygodny fotel przy kominku. Faye uśmiechnęła się do niej ciepło. Ten pokój wspaniale nadawał się do przyjmowania pacjentów. Każdy czuł się tu rozluźniony. Na podłodze leżały perskie dywany babki Faye, trochę zbyt drogie jak na wyposażenie gabinetu. Ściany wyłożono boazerią i zawieszono na nich mosiężne kinkiety. Kominek również był obramowany mosiężnymi listwami. W oknach wisiały stare koronkowe firanki, na półkach stało mnóstwo książek, a w najbardziej nieoczekiwanych miejscach wisiały

małe obrazki. Wokół zieleniły się gęste paprocie. Patrząc na ten pokój miało się wrażenie, że mieszka tu interesująca kobieta, i taki był zamysł Faye, kiedy go urządzała. No, dobrze - odezwała się w końcu. - Potrzebujesz więcej czasu do namysłu. Teraz zastanówmy się nad innym poważnym zagadnieniem. Co ze świętami? Ze świętami? - Oczy Nancy zamknęły się jak ciężkie drzwi. Już się nie śmiała, jak zaledwie chwilę temu. Faye przewidziała tę reakcję, i tym bardziej chciała porozmawiać z dziewczyną na ten drażliwy temat. Co myślisz o nadchodzących Świętach? Boisz się ich? Nie. - Twarz Nancy była nieruchoma. Jest ci smutno? Nie. No, dobrze. Koniec zgadywanki. Po prostu powiedz mi, co czujesz. Chcesz wiedzieć, co czuję? - Nancy niespodziewanie spojrzała jej śmiało prosto w oczy. - Chcesz wiedzieć? - Wstała, przeszła na drugi koniec pokoju i wróciła na miejsce. - Jestem wściekła.

- Wściekła?

- Wściekła jak cholera. Wściekła jak nigdy w życiu.

- Na kogo?

Nancy znów usiadła w fotelu i spojrzała w ogień. Tym razem przemówiła łagodnym, smutnym głosem.

- Na Michaela. Myślałam, że do tej pory już mnie odnajdzie. Minęło ponad siedem miesięcy. Powinien już tu być. - Zamknęła oczy, żeby powstrzymać łzy.

- Na kogo jeszcze jesteś wściekła? Na siebie?

- Tak.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim dlatego, że zgodziłam się na ten układ z Marion Hillyard. Nienawidzę jej, ale jeszcze bardziej nienawidzę siebie. Sprzedałam się.

- Naprawdę?

- Tak uważam. Oddałam wszystko za ten nowy podbródek - powiedziała z pogardą, chociaż jeszcze kilka minut temu była z niego taka dumna. Jednak teraz dotarły do głębiej ukrytych uczuć.

- Nie zgadzam się z tobą, Nancy. Nie zrobiłaś tego dla nowego podbródka, tylko dla nowego życia. Czy to w twoim wieku taki wielki błąd? Co byś myślała o kimś innym, kto postąpiłby tak samo?

- Nie wiem. Może uznałabym, że jest głupi, a może bym go zrozumiała.

- Kilka minut temu rozmawialiśmy o nowym życiu, nowym głosie, ruchach, twarzy, nazwisku. Wszystko będzie nowe, oprócz jednego.

Nancy czekała, co będzie dalej, chociaż wcale nie chciała tego usłyszeć.

- Oprócz Michaela - ciągnęła Faye. - Może pomyślisz o nowym życiu bez niego? Przyszło

ci to kiedyś do głowy?

- Nie. - Jednak jej oczy napelniły się łzami i obie wiedziały, że kłamię.

- Nigdy?

- Nie myślę o innych mężczyznach. Czasami tylko się zastanawiam, jak to będzie bez Michaela.

- I co czujesz?

- Wolałabym umrzeć. - Obie zdawały sobie sprawę, że to nieprawda.

- Ale przecież teraz nie ma przy tobie Michaela. I wcale nie jest tak źle, prawda? - Nancy w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami. Faye ciągnęła łagodniejszym głosem: - Chyba powinnaś głębiej się nad tym wszystkim zastanowić.

- Nie wierzysz, że on do mnie wróci, tak? - Dziewczyna znowu wpadła w gniew. Tym razem rozzłościła ją Faye, ponieważ nikogo innego nie było pod ręką.

- Nie wiem. Nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie, tylko Michael.

- Tak. Sukinsyn. - Wstała i znów zaczęła nerwowo krążyć po pokoju, stopniowo zwalniając, jak nakręcana zabawka, której sprężyna powoli się rozkręca. W końcu z zaciśniętymi pięściami stanęła przed kominkiem. Łzy spływały jej po twarzy. - Och, Faye. Tak się boję.

- Czego? - zapytała łagodnie Faye.

- Samotności. Tego, że już nie będę sobą. Zastanawiam się, czy nie zostanę ukarana, bo popełniłam coś strasznego. Wyrzekłam się miłości za cenę nowej twarzy.

- Ale przecież myślałaś, że i tak już wszystko straciłaś. Nie możesz się obwiniać za to, że dokonałaś takiego wyboru. Może się okazać, że będziesz z niego zadowolona. Tak... Może... - Znowu załkała. Faye patrzyła na drżące, szczupłe ramiona dziewczyny. - Boję się tych świąt. To gorsze niż pobyt w domu dziecka. Tym razem nie mam nikogo. Lily i Gretchen wróciły do Bostonu w zeszłym miesiącu, ty jedziesz na narty, Peter wyjeżdża na tydzień do Europy, a... - Nie mogła powstrzymać łez. Jednak takie były teraz realia jej życia. Musiała się z nimi pogodzić. Nie powinna wpędzać Faye i Petera w poczucie winy z powodu wyjazdu. Mieli przecież własne sprawy, nie zajmowali się jedynie nią.

- Może już czas, żebyś poszukała sobie jakichś przyjaciół.

- W tym stanie? - Stanęła twarzą do Faye i zdjęła kapelusz, ukazując spowitą bandażami twarz. - Jak mam gdzieś wyjść i kogoś poznać z takim wyglądem? Wszyscy by się mnie bali.

- Nie wyglądasz strasznie, a poza tym niedługo bandaże znikną. To tylko stan tymczasowy. Ludzie to rozumieją.

- Być może. - Nancy w to nie wierzyła. - W każdym razie, nie potrzebuję przyjaciół. Jestem zajęta robieniem zdjęć. - Prezent Petera był dla niej wybawieniem.

- Wiem. Niedawno widziałam twoje ostatnie zdjęcia u Petera. Jest z nich taki dumny, że każdemu je pokazuje. To wspaniałe prace.

- Dziękuję. - Kiedy mówiła o fotografowaniu, jej gniew trochę złagodniał. - Och, Faye... - Usiadła w fotelu i wyciągnęła przed siebie nogi. - Co mam zrobić ze swoim życiem?

- Przecież właśnie się nad tym zastanawiamy. A tym czasem pomyśl, o czym tu dzisiaj rozmawialiśmy. O pracy nad głosem, lekcjach muzyki, czymś, co by cię trochę rozerwało i pomogło stworzyć nową Nancy.

- Tak, chyba o tym pomyślę. A kiedy wracasz z nart?

- Za dwa tygodnie. Zostawię numer telefonu, żebyś się mogła ze mną skontaktować w razie pilnej potrzeby.

- Faye nie dawała po sobie poznać, że się martwi, jak Nancy przetrwa jej wyjazd. Święta to czas sprzyjający depresjom, a nawet samobójstwom, ale dziewczyna nie była chyba w najgorszej formie. Faye nie chciała, żeby samotność doprowadziła Nancy do hysterii. Pechowo się złożyło, że oboje z Peterem wyjeżdżali w tym samym czasie, ale z drugiej strony, powinna się nauczyć polegać na sobie samej i uniezależnić się od nich. - Umówmy się na wizytę za dwa tygodnie. Po powrocie chcę zobaczyć całą górę pięknych zdjęć, które przez ten czas zrobisz.

- Coś sobie przypomniałam. - Nancy zerwała się z fotela i zniknęła w korytarzu. Zostawiła tam płaską paczkę, owiniętą w szary papier. Po chwili wróciła i wręczyła pakunek Faye. - Wesołych Świąt.

Faye rozpakowywała paczkę z zadowoloną miną. Kiedy zdjęła z niej papier, zamarła ze zdziwienia. Zobaczyła swoje zdjęcie portretowe, które wyglądało tak, jakby godzinami do niego pozowała. Wspaniale został na nim uchwycony nastrój chwili. Było w nim coś impresjonistycznego, jak ze snu. Stała na tarasie Nancy, z rozwianymi na wietrze włosami. Barwy odległego zachodu słońca kładły się refleksami na jasnoróżowej bluzce. Pamiętała ten dzień, ale nie zauważyła, żeby Nancy ją wtedy fotografowała.

- Kiedy zrobiłaś to zdjęcie? - zapytała oszołomiona.

- Kiedy na mnie nie patrzyłaś. - Dziewczyna była wyraźnie zadowolona z siebie. Sama wykonała i powiększyła odbitkę, a potem oddała do oprawienia w elegancką ramkę. Zdjęcie było piękne jak obraz.

- Nancy, jesteś niewiarygodna. To wspaniały prezent.

- Miałam dobrą modelkę. Uścisnęły się i Nancy z żalem włożyła płaszcz.

- Życzę ci miłego wypoczynku.

- Dzięki. Przywiozę ci trochę śniegu.

- Wariatka.

Nancy znowu uściskała przyjaciółkę, złożyła jej życzenia świąteczne i wyszła. Faye coś chwyciło za serce. Nancy była taką piękną dziewczyną - w środku, a to przecież najważniejsze.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Panie Hillyard, pan Calloway na linii.

Na pokryte rozmiękłym błotem ulice Nowego Jorku od paru godzin padał śnieg, ale Michael nic nie zauważył. Od szóstej rano siedział za biurkiem, a teraz minęła piąta po południu. Chwycił słuchawkę, nie przestając podpisywać listów przeznaczonych na dzisiaj do wysłania. Przynajmniej miał już z głowy ten projekt w Kansas City. Teraz martwił się o Houston, a wiosną będzie dorabiał się wrzodów żołądka pracując nad centrum medycznym w San Francisco. Jego praca stale przyprawiała go o ból głowy, była jednym pasmem wyrzeczeń, kontraktów, problemów do rozwiązania i konferencji. Dziękował za to Bogu.

- George? Tu Mike. Co się dzieje?

- Twoja matka jest właśnie na zebraniu, ale prosiła mnie, żebym cię zawiadomił, że jeśli przestanie padać śnieg, wracamy dzisiaj z Bostonu. Jeśli nie, to jutro.

- W Bostonie pada? - zapytał zaskoczony, jakby to było w grudniu coś nadzwyczajnego.

- Nie. - George trochę się zdziwił. - Podobno to w Nowym Jorku jest śnieżycą. Czy to prawda? Mike wyjrzał przez okno i uśmiechnął się.

- Tak. Przepraszam, nie zauważyłem.

Ten chłopak się przepracowuje, tak samo jak jego matka. George przez chwilę zastanawiał się, co jest w tej rodzinie, że wszyscy jej członkowie są tacy twardzi wobec siebie i wobec ludzi, którzy ich kochają.

- No, dobrze, że sobie to wyjaśniliśmy. - Rozbawiony parsknął śmiechem. - Marion prosiła, żebym ci przypomniiał o jutrzejszej świątecznej kolacji. Zaprosiła kilkoro przyjaciół i chce, żebyś też tam był.

Słyszac te słowa, Mike głęboko wciągnął powietrze. „Kilkoro przyjaciół” oznaczało dwadzieścia albo i trzydzieści osób, które były mu albo obojętne, albo zupełnie nieznane, i oczywiście jedną pannę z dobrej rodziny, zaproszoną specjalnie dla niego. Święta w takim gronie nie zapowiadały się zachęcająco. Tak jak i każdy inny dzień jego życia.

- Przykro mi, George. Obawiam się, że będę musiał mamę przeprosić. Już jestem umówiony.

- Naprawdę? - Calloway był zaskoczony.

- Zamierzałem jej to powiedzieć w zeszłym tygodniu, ale na śmierć zapomniałem. Byłem zajęty tym centrum w Houston i po prostu wyleciało mi z głowy. - Dokonywał cudów w rozmowach z klientami z Houston, więc matka powinna mu wybaczyć. Michael właśnie na to liczył.



- Cóż, oczywiście będzie rozczarowana, ale się ucieszy, że masz jakieś plany. Mam nadzieję, że... że to coś atrakcyjnego.

- O tak. Już się nie mogę doczekać.

- Czy to jakaś poważna sprawa? - zapytał George z niepokojem. Chryste, ich chyba nigdy nie zadowolili.

- Nie, nie masz się o co martwić. Po prostu się trochę zabawię w przyzwoitym towarzystwie.

- Świetnie. W takim razie, wesołych Świąt.

- Nawzajem. Przekaż moje życzenia mamie. Jutro do niej zadzwonię.

- Powtórzę jej. - George odłożył słuchawkę, szeroko się uśmiechając, zadowolony, że chłopak wreszcie dochodzi do siebie. Od pewnego czasu prowadził bardzo dziwny tryb życia. Marion też będzie uszczęśliwiona, chociaż niewątpliwie trochę się zdenerwuje, że syn nie przyjdzie na kolację z jej znajomymi. Ale przecież to młody człowiek, ma prawo się trochę rozerwać. George uśmiechnął się do siebie i pociągnął łyk szkockiej. Przypomniał sobie pewne Świąta w Wiedniu, dwadzieścia pięć lat temu. Potem, jak zwykle, jego myśli wróciły do matki Michaela.

W biurze Mike'a nie przestawał dzwonić telefon. Ben upewniał się, że przyjaciel ma jakieś plany na Świąta. Michael powiedział mu, że pójdzie na świąteczne przyjęcie do matki, nudne, ale nie do uniknięcia. Telefonowali klienci, żeby się na coś poskarżyć, pogratulować mu sukcesu lub złożyć życzenia.

- Idź do diabła - wymamrotał, odkładając słuchawkę po ostatniej rozmowie i zaskoczony podniósł wzrok, słysząc od drzwi nieznamy śmiech. W progu stała zatrudniona przez Bena nowa projektantka wewnątrz. Była to ładna dziewczyna, o jasnej cerze, niebieskich oczach i gęstych kasztanowych włosach, spadających bujnymi falami na ramiona. Mike, rzecz jasna, tego nie zauważał. Na nic już nie zwracał uwagi, chyba że był to leżący na jego biurku dokument, który wymagał podpisania.

- Zawsze tak składasz ludziom życzenia?

- Tylko tym, których lubię. - Uśmiechnął się do niej zastanawiając się, po co tu przyszła. Nie wzywał jej, a poza tym pracowali nad zupełnie innymi projektami, tak mu się przynajmniej zdawało. - Czy mogę coś dla ciebie zrobić... - Cholera. Nie pamiętał, jak jej na imię.

- Wendy Townsend. Przyszłam życzyć ci wesołych Świąt.

Aha. Po prostu wazeliniara. Rozbawiony Michael wskazał jej krzesło.

- Nie powiedzieli ci, że jestem jak dickensowski Scrooge?

- Sama się tego domyśliłam, kiedy nie pojawiłeś się ani na biurowym przyjęciu, ani na wczorajszej przedświątecznej kolacji. Mówią też, że zbyt ciężko pracujesz.

- To mi dobrze robi na cerę.

- Inne rzeczy też tak działają. - Założyła nogę na nogę. Michael zauważył, że jest bardzo zgrabna, ale nie wywarło to na nim wrażenia, tak jak wszystko inne od majowego wypadku. - Chciałam ci też podziękować za podwyżkę. - Ukazała w uśmiechu rząd doskonale równych zębów.

Odwzajemnił się uśmiechem. Ciekawiło go, czego naprawdę chce. Premii? Kolejnej podwyżki?

- Za to powinnaś dziękować Benowi Avery. Obawiam się, że nie miałem z nią nic wspólnego.

- Rozumiem. - Wendy doszła do wniosku, że ta rozmowa zaprowadzi ją do nikąd. Z zalem wstała i zerknęła przez okno. Na zewnętrznym parapecie zgromadziło się prawie dwadzieścia centymetrów śniegu. - Zdaje się, że będziemy w końcu mieli białe Święta. Pewnie nie będzie dzisiaj można dotrzeć do domu.

- Chyba masz rację. Nie zamierzam nawet próbować.

- Wskazał na skórzaną kanapę. - Zapewne wstawili ją tu po to, żeby na dobre uwięzić mnie w biurze.

Miała ochotę powiedzieć, że sam się tu więzi, ale tylko się uśmiechnęła i złożyła mu życzenia. Michael wrócił do podpisywania dokumentów i tak jak zapowiedział, spędził noc na kanapie. Następną noc również przespał w gabinecie. Bardzo mu to odpowiadało. W tym roku Święta wypadały w sobotę i niedzielę, więc nikt nie widział, że Mike nie wrócił do domu. Nawet dozorca i sprzątaczkę mieli wolne. Tylko nocny stróż domyślił się, że Michael nie wychodził z biura od piątku do niedzieli wieczór, ale wtedy było już po świętach. Kiedy wrócił do pustego mieszkania, nie miał się już czego obawiać. Święta Bożego Narodzenia i związanie z nimi wspomnienia i duchy przeszłości już przeminęły. Przed drzwiami wędła olbrzymia kolorowa gwiazda betlejemska, przysłana tu przez matkę. Postawił ją przy koszu na śmieci. W San Francisco, Nancy spędziła Święta trochę wygodniej niż Michael, ale równie samotnie. Upiekła sobie małego kurczaka, po powrocie z pasterki sama śpiewała kolędy na tarasie, a w pierwszy dzień Świąt długo spała. Miała nadzieję, że ten dzień nigdy nie nadejdzie, ale przecież nie mogła przed nim uciec. Wokół widziała przystrojone choinki, świąteczne obietnice i kłamstwa. Przynajmniej klimat w San Francisco nie przypominał Świąt spędzanych na Wschodnim Wybrzeżu. Zdawało jej się, że ludzie wokół tylko udają, że nadeszło Boże Narodzenie, a ona wie, że to nieprawda. Zmienione otoczenie pomogło jej przetrwać trudny czas. Dostała w tym roku dwa prezenty: Peter podarował jej piękną torebkę od Gucciego, a Faye zabawną książkę. Po południu, kiedy już zjadła kurczaka z nadzieniem i żurawinowym sosem, zwinęła się z nią w fotelu. Przypominało jej to celebrowanie Świąt u Schraffta, gdzie przychodzą starsze damy, których wszystkie życiowe nadzieje mieszczą

się w torbie na zakupy. Zawsze się zastanawiała, co noszą w tych torbach. Może stare listy, fotografie, drobiazgi, zdobyte w konkursach nagrody, albo marzenia. Minęła szóstą, kiedy w końcu odłożyła książkę i rozprostowała nogi. Miło byłoby się przejść i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Włożyła płaszcz, wzięła kapelusz i aparat i uśmiechnęła się do siebie w lustrze. Lubiła swój nowy uśmiech, był wspaniały. Ciekawiło ją, jak będzie wyglądała reszta twarzy, kiedy Peter wykona ostatnią operację. Wydawało jej się, że staje się jego „kobietą z marzeń”. Kiedyś powiedział, że zrobi z niej swój ideał. Myśląc o tym czuła się dziwnie, ale mimo to nowy uśmiech bardzo jej podobał. Przewiesiła aparat przez ramię i zjechała windą na dół.

Było chłodne, wietrzne popołudnie, bez mgły - wspaniałe do robienia zdjęć. Wolno poszła niemal pustymi ulicami w stronę nabrzeża. Ludzie dochodzili do siebie po Świętach, wypoczywali w fotelach i na kanapach albo cicho pochrapywali przed telewizorami. To wyobrażenie wywołało uśmiech na ustach Nancy. Nagle potknęła się i cicho pisnęła. Peter ją ostrzegał, żeby się wystrzegała gwałtownych upadków. Z tego powodu nie mogła jeszcze uprawiać żadnych sportów, a terazomal nie przewróciła się na ulicy. Dla ochrony wyciągnęła przed siebie ramiona i udało jej się odzyskać równowagę. Nagle zdała sobie sprawę, że nie tylko ona pisnęła. Potknęła się o małego kudłatego pieska, który teraz spoglądał na nią z urazą. Usiadł, poruszył w powietrzu łapką i zaskomlał. Wyglądał jak kulka splątanej sierści w beżowe i brązowe łaty. Popatrzył na nią i zaszczekał.

- No, dobrze, dobrze. Przepraszam. Ty też mnie wystraszyłeś. - Nachyliła się, pogłaskała go, a piesek jeszcze raz zaszczekał. Był niewiele większy od szczeniaka i wyglądał bardzo śmiesznie. Zrobiło jej się przykro, że nie ma dla niego nic do jedzenia. Wyglądał na głodnego. Poklepała go, uśmiechnęła się i wstała. Cieszyła się, że nie rozbiła aparatu. Pies znowu szczekał. - Wracaj do domu, piesku. No, już... - Jednak stworzenie szło za nią krok w krok, a kiedy się zatrzymywała, przysiadało na tylnych łapach, z zadowolona miną czekając, aż ruszy dalej. Rozbawiło ją zachowanie zwierzaka. Był bardzo śmieszny, ale uroczy. Znowu go poklepała i sprawdziła, czy ma obrozę. Na szyi nic nie wyczuła. Pies nie miał na sobie nic, co by świadczyło, że do kogoś należy. W pewnej chwili postanowiła zrobić mu kilka zdjęć. Okazał się urodzonym modelem. Podskakiwał, zastygał w pozach, machał ogonem i świetnie się przy tym bawił. Nancy zdobyła nowego przyjaciela, który po półtoragodzinnym wspólnym spacerze wcale nie zamierzał jej opuszczać.

- No dobrze. Idziemy razem - zdecydowała i ruszyli na nabrzeże, gdzie zrobiła zdjęcia straganów z krabami, handlarzy krewetek, turystów i pijanego świętego Miko łaja, statków i ptaków, i jeszcze kilka fotografii psa. Dobrze się bawiła, a nowy przyjaciel nie odstępował jej ani na krok. Trzymał się blisko, aż wstąpiła na kawę. Nauczyła się już wchodzić z pochyloną głową do

kawiarni i barów, tak że większa część twarzy kryła się pod włosami, i zamawiać, co tylko chciała. Teraz mogła się nawet uśmiechnąć do sprzedawcy i wcale nie było to takie trudne, jak się kiedyś obawiała. Tym razem zamówiła dla siebie czarną kawę i hamburgera dla swojego towarzysza. Postawiła czerwony papierowy talerz na chodniku tuż przed psem, a ten szybko pochłonął jedzenie i wyraził wdzięczność szczekaniem.

- To jest podziękowanie czy prośba o więcej? - Za szczekał jeszcze raz, a ona się roześmiała. Jakiś przechodzień poklepał go i zapytał, jak się nazywa. - Nie wiem. Przed chwilą się do mnie przyłączył.

- Zgłosiła pani jego znalezienie?

- Nie. Chyba powinnam to zrobić.

Nieznajomy wyjaśnił jej, jak to załatwić. Jeśli pies nie zgubi się po drodze, zadzwoni w jego sprawie z mieszkania. Piesek doszedł z nią do samego domu. Zatrzymał się przed drzwiami frontowymi, jakby i on tu mieszkał, więc zabrała go na górę i zatelefonowała do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Nikt nie zgłosił zaginięcia podobnego psa, więc zasugerowano jej, żeby go zatrzymała albo oddała do schroniska, gdzie by go uśpiono. Ta druga propozycja bardzo ją oburzyła. Opiekuńczo przygarnęła pieska ramieniem. Siedzieli obok siebie na podłodze.

- Okropnie wyglądasz, wiesz? Co powiesz na kąpiel? Wystawił język i jednocześnie pomachał ogonem, a ona zaniósła go do wanny. Musiała uważać, żeby nie pochłapać się wodą i nie zamoczyć opatrunków, ale pies spokojnie poddał się kąpieli. Odkryła przy tym, że wcale nie jest beżowo-brązowy, tylko brązowo-biały. Ciemniejsze łaty były koloru mlecznej czekolady, a białe - śniegu. Był to naprawdę śliczny pies i Nancy miała nadzieję, że nikt się po niego nie zgłosi. Nigdy jeszcze nie miała psa, ale w tym już się zakochała. W sierocińcu dzieciom nie wolno było ich trzymać, a w jej bostońskim mieszkaniu nie można było hodować żadnych zwierząt. Tutaj właściciel budynku nie miał nic przeciwko czworonogom. Nancy przysiadła na piętach i wytarła psa ręcznikiem, a on przewrócił się na grzbiet i przebierał w powietrzu wszystkimi czterema łapami. Zastanawiała się, jak go nazwać. Przyszło jej do głowy imię, które nosił pierwszy szczeniak, jakiego Michael miał w dzieciństwie. Tak, świetnie się nadawało dla tego niezależnego psiaka.

- Jak ci się podoba imię Fred, przyjacielu? Ładne? Pies zaszczekał dwa razy i Nancy uznała to za zgodę.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nancy wsunęła głowę przez uchylone drzwi i uśmiechnęła się do Faye, która już na nią czekała, usadowiona w fotelu przy kominku.

- Co tam dzisiaj chowasz w zanadru, młoda damo?

- Faye ucieszyła się, że dziewczyna tak świetnie wygląda.

- Przyprowadziłam ze sobą przyjaciela.

- Naprawdę? Wyjeżdżam na dwa tygodnie, a ty już poznajesz kogoś nowego? Coś podobnego! - W tej samej chwili Fred w podskokach wbiegł do pokoju, wyraźnie dumny z nowej czerwonej obroży i smyczy. Nikt się po niego nie zgłosił i od tego poranka oficjalnie należał do Nancy. Wyrobiła mu papiery, kupiła posłanie, miskę i kilkanaście zabawek. Obsypywała go czułością.

- Faye, poznaj Freda. - Spojrzała na niego z wręcz macierzyńską dumą, a Faye się roześmiała.

- Prześliczny piesek. Skąd go masz?

- Wybrał sobie mnie w pierwszy dzień Świąt. W za sadyie powinnam go nazwać Noel, ale Fred jakoś mi bardziej do niego pasuje. - Wstydziła się przyznać, dlaczego wybrała to imię. Czuliła się głupio, że tak łąnie do wspomnień o Michaelu. - Przyniosłam ci tez moje nowe prace do obejrzenia.

- Wygląda na to, że byłaś bardzo zajęta. Może powinnam częściej wyjeżdżać.

- Proszę cię, nie rób tego.

Wystarczyło jedno spojrzenie w oczy Nancy a Faye wiedziała, jak bardzo dziewczyna czuła się samotna. Ale przynajmniej udało się jej samodzielnie przetrwać Święta. Dla każdego jest to nie lada wyczyn.

- Umówiłam się też z nauczycielką wymowy - ciągnęła z dumą dziewczyna. - Peter mówi, że włączy te lekcje w koszty leczenia. Zaczynam jutro o trzeciej. Jeszcze nie mogę chodzić na lekcje tańca, bo twarz nie jest skończona, ale zrobię to w lecie.

- Jestem z ciebie dumna.

- Ja też jestem z siebie dumna.

Odbyły wyjątkowo udaną sesję i pierwszy raz od ośmiu miesięcy nie rozmawiały o Michaelu. Ku zdumieniu Faye, Nancy wspomniwała jego imię dopiero na wiosnę, jakby sobie postanowiła, że wcześniej tego nie zrobi. Przedtem mówiła tylko o planach na przyszłość, lekcjach wymowy, fotografowaniu i pracach, jakie ma zamiar wykonać, gdy udoskonali swoje umiejętności. Kiedy się ociepliło, chodziła z Fredem na długie spacerunki po parku, przez ogród różany, aż do

najdalej położonych zakątków przy nabrzeżu. Czasami wybierała się na przejażdżki z Peterem na dzikie plaże, gdzie nikt nie zwracał uwagi na jej opatrunki. Jej twarz powoli wyłaniała się spod bandażu, razem z jej osobowością. Peter modelując jej kości policzkowe, czoło i nos, odsłaniał prawdziwy charakter dziewczyny, skrywany dotychczas pod młodzieńczą niedojrzałością. Przez rok, który upłynął od czasu wypadku, bardzo wydojrzała.

- To już naprawdę rok? - zdziwiła się Faye pewnego popołudnia. Peter pracował teraz nad okolicami oczu Nancy, więc górną część jej twarzy przesłaniały wielkie ciemne okulary.

- Tak. To się stało w zeszłym roku w maju. Spotykamy się od ośmiu miesięcy. Jak sądzisz, czy robię jakieś postępy? - Widać było, że dziewczyna jest zniechęcona. Może jeszcze nie doszła do siebie po ostatniej operacji, która się odbyła trzy dni wcześniej.

- Wątpisz w to?

- Czasami, kiedy zbyt dużo myślę o Michaelu. - Ciężko jej było to wyznać. Wciąż trzymała się resztek nadziei, że Michael w końcu ją odnajdzie i unieważni umowę z Marion. - Nie wiem, dlaczego wciąż się tym zadręczam, ale nic nie potrafię na to zaradzić.

- Zaczekaj, aż zaczniesz prowadzić bardziej aktywne życie. Teraz możesz tylko wspominać albo rozmyślać o przyszłości, której jeszcze nie znasz. To naturalne, że często wracasz myślami do przeszłości. Teraz nie ma w twoim życiu innych ludzi, ale to się z czasem zmieni. Bądź cierpliwa. Nancy westchnęła ze znużeniem.

- Moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu. Wydaje mi się, że te operacje będą trwały całą wieczność. Czasami nienawidzę za to Petera, a przecież wiem, że to nie jego wina. Stara się wszystko robić tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Przekonasz się, że warto poświęcić na to tyle czasu. i teraz widać efekty.

Uśmiechnęły się do siebie. Delikatny zarys twarzy dziewczyny już zaczynał być widoczny, a każdy tydzień przynosił nowe zmiany. Nauczycielka wymowy również świetnie spełniała swoje zadanie. Nancy mówiła teraz niżej ustawionym, pięknie modulowanym głosem i wiele lepiej kontrolowała intonację niż ktoś, kto nie pobierał takich lekcji. To nasunęło Faye pewien pomysł.

- Nie myślałaś nigdy o tym, żeby zostać aktorką? Twoje doświadczenia bardzo by w tym pomogły. Nancy z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Mogłabym reżyserować, ale nie grać. To takie sztuczne. Wolę pozostać po jednej stronie obiektywu.

- Dobrze. Tak sobie tylko pomyślałam. Co masz w planach w tym tygodniu?

- Obiecałam Peterowi, że zrobię dla niego parę zdjęć, więc na niedzielę lecimy do Santa Barbara. Ma tam spotkanie z jakimiś ludźmi i zaproponował, że zabierze mnie ze sobą.

- Żałuję, że ja nie prowadzę takiego życia. Cóż... - Spojrzała na zegarek. - Do zobaczenia w

środe.

- Tak jest! - Nancy żartobliwie zsalutowała. Fred w podskokach wybiegł za nią z gabinetu, trzymając w zębach smycz. Przyzwyczał się już do wizyt w gabinecie Faye. Nancy nigdy go nie zostawiała w domu.

Po wyjściu od Faye postanowiła wstąpić do pobliskiego parku, żeby sfotografować dzieci na placu zabaw. Od dawna już nie robiła zdjęć dzieciom. Kiedy dotarła na miejsce, zobaczyła gromadkę odpowiednich modeli. Malcy wspinali się na drabinki, przepychali i biegali wkoło. Usiadła na ławce i przez chwilę przyglądała się im, żeby poznać ich zabawy i wyczuć charakter. Był piękny dzień, a ją ogarnął pogodny nastrój. Często tu przychodzisz? Michael siedział na parkowej ławce. Zaskoczony podniósł głowę. Na godzinę uciekł do parku, żeby wyrwać się z biura i popatrzeć na zieleń. W pierwszych wiosennych dniach jest coś magicznego. Nowy Jork z szarej pustyni zamienia się w miasto zieleni. Krzewy, drzewa i kwiaty wybuchają życiem. Był pewien, że w tym odludnym zakątku, gdzie udało mu się znaleźć pustą ławkę, nikt nie zakłóci jego samotności. Zdziwił go nieoczekiwany głos. Przed sobą zobaczył Wendy Townsend, projektantkę z biura.

- Nie... W zasadzie, prawie nigdy. Dzisiaj miałem rzadki atak wiosennej gorączki.

- To tak jak ja. - Spojrzała na niego zakłopotana. W rękę trzymała rozpuszczającego się loda na patyku. Szybko go oblizwała, żeby uratować duży kawałek czekolady.

- Wygląda smakowicie - powiedział Michael z uśmiechem. Wokół było ciepło i wiosennie.

- Chcesz trochę? - Wyciągnęła loda w jego stronę, jak przyjazna trzecioklasistka. Potrząsnął głową.

- Nie, ale dziękuję za propozycję. Może usiądziesz?

- Czuł się trochę głupio, że przyłapała go w parku, ale tego pięknego dnia nie miał nic przeciwko towarzystwu, a Wendy była taką miłą dziewczyną. Od czasu tej przed świątecznej rozmowy, pięć miesięcy temu, ich ścieżki nie raz się skrzyżowały. Usiadła obok i dokończyła loda.

- Nad czym teraz pracujesz? - zapytał Michael.

- Nad Houston i Kansas City. Zawsze mam kilka miesięcy opóźnienia w stosunku do ciebie. Ale to interesujące, tak podążać po twoich śladach.

- Nie wiem, jak to rozumieć - powiedział, chociaż wcale go to nie obchodziło.

- Jako komplement. - Uśmiechnęła się do niego spod długich, ciemnych rzęs.

- Dziękuję. Czy Ben dobrze cię traktuje? A może posłuchał moich poleceń i zachowuje się jak poganiacz niewolników?

- Nawet by nie wiedział, jak to robić.

- Chyba tak. - Michael uśmiechnął się na myśl o tym.

- Znamy się od dzieciństwa. Jest dla mnie jak brat.

- To bardzo miły człowiek.

W milczeniu skinął głową. Uświadomił sobie, że przez ostatni rok bardzo rzadko widywał przyjaciela. Nie miał na to czasu, albo raczej nie starał się go znaleźć. Nawet nie wiedział, co u Bena słyhać. Pytał go o to kilka miesięcy temu. Poczł się winny. Siedział obok dziewczyny, pochłonięty własnymi myślami. W jego życiu przez ten rok wiele się zmieniło. On sam się zmienił.

- Odbiegłeś myślami gdzieś daleko. Mam nadzieję, że to pogodne myśli. Wzruszył ramionami. Wiosna wyprawia ze mną dziwne rzeczy. Zawsze wtedy staram się na chwilę zatrzymać i podsumować miniony rok. Chyba właśnie to dzisiaj robię.

- Świetny pomysł. Ja zawsze dokonuję podsumowania we wrześniu, sama nie wiem dlaczego. Może to pozostałość z lat szkolnych, bo wtedy zaczynał się nowy rok nauki. Wielu ludzi zastanawia się nad swoim życiem w styczniu. Ale wiosną ma to chyba większy sens. Wszystko się odradza, więc dlaczego nie mielibyśmy na wiosnę zaczynać życia od nowa?

Wymienili uśmiechy. Michael spojrział na jeziorko, po którego gładkiej powierzchni pływało kilka zadowolonych z siebie kaczek. Wokół nie było widać żadnych spacerowiczów.

- Co robiłeś w zeszłym roku o tej porze? - zapytała Wendy.

To niewinne pytanie wbiło się w jego serce jak ostry nóż. Rok temu, tego dnia...

- Robiłem prawie to samo co teraz. - Zmarszczył brew, zerknął na zegarek i wstał. - Za dziesięć minut mam zebranie. Muszę już wracać. Miło mi było z tobą porozmawiać. Odszedł z chłodnym uśmiechem, a dziewczyna została sama na ławce. Zastanawiała się, co takiego powiedziała. Musi kiedyś zapytać Bena, co gryzie Michaela. Nie można się do niego zbliżyć ani na krok.



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ku zaskoczeniu Michaela, Wendy również pojawiła się na zebraniu. Ben polecił jej wziąć w nim udział. Mieli omawiać wstępne plany centrum medycznego w San Francisco, a wystrój wnętrz był ich ważnym elementem. Zamierzali wykorzystać prace miejscowych artystów, żeby wzbogacić podstawowy projekt. Ben miał sam wynaleźć dzieła sztuki, a Wendy przypadło zadanie koordynowania prac w biurze, ponieważ jej szef zamierzał wiele czasu spędzać na miejscu budowy. Oczywiście, projekt znajdował się dopiero w początkowej fazie, ale trzeba już było omówić wszystkie szczegóły.

Zebranie okazało się długie i trudne, ale interesujące. Prowadziła je przeważnie Marion, z pomocą Georga Callowaya. Jednak Michael niemal równie często przejmował inicjatywę. On był odpowiedzialny za ten projekt. Tak zdecydowała matka. Każda licząca się firma architektoniczna marzyła o tym zleceniu i Marion postanowiła je wykorzystać dla ugruntowania nazwiska i reputacji syna.

Dochodziła szósta, kiedy spotkanie dobiegło końca. Wendy czuła się wyczerpana. Dobrze przedstawiła swoje pomysły, a kiedy było trzeba, ostro dyskutowała z Marion. Mike'owi spodobało się to, co mówiła. Przy wyjściu Ben z dumą poklepał ją po ramieniu.

- Świetna robota. Naprawdę doskonała. - W tej samej chwili sekretarka odwołała go na bok i Wendy sama poszła korytarzem. Zdziwiła się, kiedy zatrzymał ją Michael.

- Jestem pod wrażeniem twoich projektów, Wendy. Wydaje mi się, że razem stworzymy wspaniałą budowlę.

- Ja też mam taką nadzieję. - Promieniała z dumy. Nie spodziewała się takich pochwał, i to w dodatku od niego. - Ja... Przykro mi, że cię dzisiaj zdenerwowałam. Nie chciałam się wtrącać w nie swoje sprawy. Jeśli moje pytanie było nie na miejscu, to przepraszam...

Widząc zmieszanie dziewczyny poczuł wyrzuty sumienia. Uspokoił ją gestem dłoni i łagodnie się uśmiechnął.

- Zachowałem się niegrzecznie i to ja cię przepraszam. Zdaje się, że wiosenna gorączka nie tylko skłania mnie do zadumy, ale i wytrąca z równowagi. Czy mógłbym się zrehabilitować zapraszając cię dzisiaj na kolację? - Kiedy wypowiedział te słowa, był równie zaskoczony jak Wendy. Kolacja? Od roku nie umówił się z kobietą na kolację. Ale to była miła dziewczyna, miała dobre intencje, a w dodatku świetnie pracowała.

Patrzyła teraz na niego skrępowana, z rumieńcem na policzkach.

- Nie musisz...

- Wiem, ale chciałbym cię zaprosić. - Mówił prawdę.

- Masz wolny wieczór?

- Tak. I z przyjemnością się z tobą spotkam.

- Świetnie. Przyjadę po ciebie za godzinę. - Zapisał jej adres na ostatniej stronie notatnika i pośpiesznie wrócił do swojego gabinetu. To był szalony pomysł, ale dlaczego miał się z nią nie umówić?

Godzinę później zjawił się w jej mieszkaniu. Spodobało mu się to, co zobaczył. Mieszkała w niewielkim domu z cegły, do którego prowadziły czarne błyszczące drzwi z wielką mosiężną kołatką. Dom podzielono na cztery mieszkania. Wendy zajmowała najmniejsze, ale za to ze starannie utrzymanym ogródkiem na tyłach. Umeblowanie stanowiło mieszaninę starego i nowego. Część mebli pochodziła ze sklepów z antykami lub z drugiej ręki, inne były nowoczesne, ale w dobrym stylu. Wnętrza urządziła w ciepłych, pastelowych kolorach. Wszędzie było dużo kwiatów i świec. Widać było, że lubi stare srebra, ponieważ wszystkie miała wypolerowane i lśniące jak lustro. Michael rozejrzał się z przyjemnością po pokoju, usiadł i spróbował smakowitych przekąsek, przygotowanych przez Wendy. Wypili koktajl Bloody Mary i wymienili żartobliwe uwagi o projektach, nad którymi właśnie pracowali. Na niewymuszonej pogawędce szybko upłynęła godzina i Michael z przykrością przerwał rozmowę. Zarezerwował stolik w pobliskiej francuskiej restauracji, gdzie nigdy nie czekali na spóźnialskich dłużej niż pięć minut.

- Chyba musimy się pośpieszyć, jeśli mamy zdążyć na czas. A może wcale nam na tym nie zależy? - zapytała Wendy.

Mike ze zdziwieniem zauważył, że głośno wypowiedziała jego własne myśli. Zastanawiał się, co znaczą figlarne błyski w jej oczach. Już dawno z nikim się nie umawiał, więc nie pamiętał, jak należy się zachować. Bał się, że źle odczyta jej intencje i zrobi jakiś fałszywy ruch.

- Co właściwie masz na myśli? Sądząc po twojej minie, coś zupełnie szalonego.

- Nawet się nie spodziewasz, jak bardzo. Pomyślałam sobie, że moglibyśmy zapakować jedzenie do koszyka i pójść nad East River, popatrzeć na łodzie.

Wyglądała jak dziecko, któremu właśnie przysłała do głowy jakaś psota. Oboje siedzieli w eleganckich strojach, on w ciemnym garniturze, ona w czarnej jedwabnej sukni, i planowali wyprawę nad rzekę!

- Cudowny pomysł. Masz masło orzechowe?

- Oczywiście, że nie - odparła urażona. - Za to mam pasztet własnej roboty i razowy chleb - oznajmiła z dumą, ku zadowoleniu Michaela.

- Spodziewałem się raczej masła orzechowego z dżemem, albo hot-dogów.

- Nie ma mowy. - Z uśmiechem zniknęła w kuchni, gdzie w dziesięć minut zapakowała do piknikowego koszyka wysmienitą kolację. Miała jeszcze trochę zapiekanki, zapowiadany pasztet,

bochenek świeżego razowe go chleba, duży kawał sera brie, trzy dojrzałe gruszki, winogrona i małą butelkę wina. - Czy to wystarczy? - zatroskała się. Michael wybuchnął śmiechem.

- Chyba żartujesz. Ostatni raz jadłem taką dobrą kolację, kiedy miałem dwanaście lat. Żywię się głównie kanapkami z pieczoną wołowiną i tym, co podsunie mi sekretarka, kiedy się na chwilę zagapię. Pewnie jakieś resztki. Nigdy nie zwracam na to uwagi.

- To okropne. Dziwię się, że jeszcze nie umarłeś z głodu. - Z pewnością nie głodował, ale ostatnio bardzo schudł. - Wszystko gotowe?

Rozejrzała się po pokoju i narzuciła na siebie cienki beżowy szal, a Michael wziął koszyk z jedzeniem. Wyruszyli. Piechotą doszli nad East River, znaleźli ławkę i zadowoleni usadowili się na niej, żeby popatrzeć na łodzie. Noc była ciepła i gwiazdzista. Dostrzegli nawet kilka żaglówek, które wypłynęły na wieczorny rejs. Nie tylko Mike'a i Wendy dopadła wiosenna gorączka.

- Czy to twoja pierwsza praca? - zapytał z ustami pełnymi pasztetu. Od roku nie wyglądał tak młodo. Radośnie skinęła głową.

- Tak. I w dodatku pierwsza, o którą się ubiega łam. Bardzo się cieszyłam, kiedy ją dostałam. Przyszłam do was zaraz po ukończeniu szkoły projektantów Parsons.

- Wspaniale. Dla mnie to też pierwsza praca. - Miał ochotę zapytać, co sądzi o jego matce, ale się nie odważył. To nie byłoby zręczne pytanie. Poza tym, jeśli ta dziewczyna jest normalna, to pewnie nie znosi Marion. Michael zdawał sobie sprawę, że matka jako szefowa jest po prostu potworem.

- Czuję, że zrobisz tu karierę - zakpiła. Roześmiał się głośno.

- Jakie masz plany na przyszłość? Wyjdiesz za męża i urodzisz dzieci?

- Nie wiem. Może. Ale nie za szybko. Na razie najważniejsza jest dla mnie praca. Dzieci mogą mieć później, po trzydziestce.

- Ależ to wszystko się zmienia. Dawniej wszystkie dziewczyny chciały jak najszybciej założyć rodzinę.

- Niektóre nadal tego chcą. - Uśmiechnęła się do niego i zjadła plasterek sera ułożony na kawałku gruszki. Kolacja była pyszna. - A ty chciałbyś się ożenić? - Spojrzała na niego z ciekawością, a on tylko potrząsnął głową i popatrzył w dal, na rzekę. - Nigdy?

Odwrócił się do niej i znowu potrząsnął głową. Było coś w jego oczach, co poruszyło serce Wendy. Nie wiedziała, czy drążyć dalej ten temat. Postanowiła dowiedzieć się tego od samego Mike'a.

- Mogę zapytać, dlaczego, czy raczej powinnam zmienić temat?

- To chyba już nie ma znaczenia. Przez cały rok uciekałem od tego pytania. Nawet od ciebie uciekłem, dzisiaj w parku. Nie mogę przez całe życie uciekać. - Przerwał na chwilę, spuścił wzrok i

znów spojrzął na Wendy. - W zeszłym roku chciałem się ożenić, ale w drodze na ślub Ben Avery, moja... moja narzeczona i ja mieliśmy wypadek. Zginął kierowca drugiego samochodu i... i ona. - Nie płakał, ale czuł, że coś rozrywa go od środka.

Dziewczyna patrzyła na niego rozszerzonymi z przerażenia oczami.

- O, Boże. Michael, to straszne. To musiał być dla ciebie koszmar.

- Tak. Po wypadku na dwa dni zapadłem w śpiączkę, a kiedy się obudziłem, jej już nie było. Ja... - To wyznanie przychodziło mu z trudem, ale wiedział, że musi to komuś powiedzieć. Dotychczas nie zdradził się nawet przed Benem. - Kiedy po dwóch tygodniach wypisali mnie ze szpitala, poszedłem do jej mieszkania, ale było już puste. Ktoś oddał wszystko do Goodwilla, a jakieś dwie pielęgniarki... ukradły jej obrazy. Była malarką... - Długą chwilę siedzieli w milczeniu. Potem znowu zaczął mówić, jakby dzięki słowom miał lepiej zrozumieć to, co się wydarzyło. - Nic nie zostało. Ze mnie chyba też nic nie zostało. - Podniósł głowę i zobaczył łzy spływające po twarzy Wendy.

- Michael, tak mi przykro. Skinął głową, a potem po raz pierwszy od roku się rozplakał. Łzy mu się toczyły wolno po policzkach, kiedy wziął dziewczynę w ramiona.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Mike, co sądzisz o tej kobiecie, która prowadzi biuro w Kansas City...

Leżał wyciągnięty na leżaku w ogródku. Wcale jej nie słuchał.

- Mike?

Wpatrywał się w niedzielną gazetę. Było gorący letni dzień i oboje siedzieli w słońcu w kostiumach kąpielowych. Wendy wiedziała, że Michael nie zwraca uwagi ani na nią, ani na gazetę.

- Mike...

- Hm? Co takiego?

- Pytałam cię o tę kobietę, która prowadzi biuro w Kansas City. - Ale znów nie zwracał na nią uwagi. Popatrzyła na niego z irytacją. - Chcesz jeszcze jedną Bloody Mary?

- Co? Dobrze. Chyba zaraz pójde do biura. - Patrzył gdzieś w dal, ponad jej ramieniem.

- Cudownie.

- Co to ma znaczyć? - Teraz już spoglądał na nią z uwagą, ale nie wiedział, jak rozumieć wyraz jej twarzy. Pojąłby go z łatwością, gdyby się trochę postarał. Jednak nigdy nie zadawał sobie tego trudu.

- Nic.

- Zrozum, że przez następne dwa lata będę pracował jak wariat nad tym centrum medycznym w San Francisco. To największa tego typu inwestycja w kraju.

- A gdybyś nie budował akurat tego centrum, zawsze znalazłoby się coś innego. Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Wszystko w porządku.

- Więc dlaczego masz taką minę, jakby wysiadywanie tutaj było moim obowiązkiem. - Odsunął nogą gazetę i spojrzał groźnie na zdenerwowaną Wendy.

- Obowiązkiem? Wczoraj wróciłeś o wpół do pierwszej w nocy. Byliśmy umówieni na kolację z Thompsonami, a ty zadzwoniłeś dopiero o wpół do dziesiątej. Powinnam pójść sama.

- Więc dlaczego tego nie zrobiłaś? Nie musisz siedzieć w domu i na mnie czekać.

- Nie, ale tak się składa, że cię kocham, więc robię to z własnej woli. Ale ty się tym nie przejmujesz. Co, u diabła, się z tobą dzieje? Czujesz się bezpiecznie tylko za biurkiem? Boisz się, że ktoś cię usidli? Tak cię przeraża, że też mógłbyś się we mnie zakochać? To byłoby takie straszne?

- Nie bądź śmieszna. Przecież wiesz, jak wygląda moja praca. Orientujesz się w moim rozkładzie dnia lepiej niż ktokolwiek inny.

- Owszem. I właśnie dlatego zdaję sobie sprawę, że mógłbyś spędzać w biurze połowę tego czasu. Praca służy ci jako kryjówka, sposób na życie. Używasz jej jako wymówki, żeby mnie

unikać. Uciekasz w pracę przed samym sobą. - I przed Nancy. Ale tego już nie powie działa.

- Bzdura. - Wstał i wykładaną kamieniami ścieżką zaczął się przechadzać po małym zadbanym ogrodzie. Nastał już wrzesień, ale w Nowym Jorku wciąż panował upał. Po kilku pierwszych szczęśliwych tygodniach romansu Michael i Wendy spędzili razem niezbyt udane lato. On przeważnie pracował, ale raz na sobotę i nie dzielę udało im się pojechać na Long Island.

- A poza tym, czego do cholery ode mnie oczekujesz? Myślałem, że już na początku wszystko sobie wyjaśniliśmy. Powiedziałem ci, że nie zamierzam się...

- Powiedziałeś mi, że zamierzasz się z nikim zbyt blisko wiązać i że się boisz, że znowu zostaniesz zraniony. Nie wiesz, czy kiedykolwiek zdecydujesz się na małżeństwo. Ale nie uprzedziłeś mnie, że boisz się żyć, że nie chcesz, żeby ci na kimkolwiek zależało, że nie chcesz być normalnym człowiekiem. Michael, więcej czasu spędzasz z dyktafonem niż ze mną. I pewnie jesteś dla niego miłszy.

- I co z tego?

Zimny dreszcz przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa, kiedy spojrzała na twarz Michaela. Jemu rzeczywiście na niczym nie zależało. A ona bardzo chciała przy nim zostać. Było w nim jakieś piękno, siła, dzikość i smutek, które przyciągały ją jak magnes. Co więcej, rozumiała, jak wielki jest jego ból i tęsknota. Chciała mu pomoc, pokazać mu, że jest kochany. Ale jego to nic nie obchodziło, ponieważ ona nie była Nancy. Oboje zdawali sobie z tego sprawę.

Cicho wstała i weszła do mieszkania, żeby nie widział łez błyszczących w jej oczach. W kuchni przyrządziła sobie kolejną Bloody Mary i przez chwilę stała drżąc, z zamkniętymi oczami. Bolało ją, że nie potrafi do -niego dotrzeć. Powoli dochodziła do wniosku, że nigdy jej się to nie uda. On nie pozwoli na to ani jej, ani komukolwiek innemu.

Wypiła drinka długimi, rytmicznymi łykami i odstawiła pustą szklaneczkę na blat stołu. Poczula ręce Michaela na swojej opalanej skórze. Soboty i niedziele spędzała w ogródku, opalając się w samotności. Stał tuż za nią, ale ona się nie odezwała. Czula żar bijący od jego ciała i bardzo go pragnęła, ale przecież dawała mu to do zrozumienia przy każdej okazji. Uznała, że nie powinna mu ułatwiać tej sytuacji.

- Pragnę cię, Wendy.

Cale jej ciało wrywało się do niego, ale opanowała się. Nadal stała od niego odwrócona, nienawidząc tych dłoni, które łagodnie przesuwają się po jej plecach.

- Powtórzę twoje słowa. I co z tego?

- Wiesz, że nie umiem się zachować w takich trudnych sytuacjach. -Jego głos był tak miękki i gładki, jak jej skóra.

- To nie jest trudna sytuacja, Michael, tylko miłość. To przykre, że nie potrafisz tego

rozróżnić. Czy przy niej też się tak zachowywałeś? - Poczula, że dłonie Michaela znieruchomiały, a ramiona zrobiły się sztywne. Nie umiała się jednak powstrzymać. Też chciała go zranić.

- Ją też bałeś się pokochać? Czy teraz, kiedy nie żyje, jest ci łatwiej? Nie musisz już nikogo kochać, przez resztę życia będziesz się chował za tą tragedią. To wiele spraw załatwia, prawda? - Wolno odwróciła się do niego i zobaczyła w jego oczach nienawiść.

- Jak możesz coś takiego mówić? Jak śmiesz? - Przez chwilę przypominał jej Marion. Był niemal równie twardy i zimny. Ale nie tak bardzo, jak ona. Z nią nikt nie mógł się równać. - Jak możesz tak wypaczać to, co ci kiedyś wyznałem?

- Niczego nie wypaczam, po prostu pytam. Jeśli się mylę, to przepraszam. Ale zaczynam wierzyć, że mam rację. - Oparła się o blat i patrzyła na niego. Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Michael...

Dziesięć minut później, kiedy leżeli ciężko dysząc, Wendy słyszała w ciszy tykanie kuchennego zegara. Michael nie odezwał się ani słowem. Patrzył na ogród z dziwnym, smutnym wyrazem twarzy.

- Nic ci nie jest? - To on powinien ją o to zapytać, a nie ona jego. Wiedziała, że ich związek to zupełne szaleństwo, ale nie potrafiła go zakończyć. Czasami się zastanawiała, co będzie, kiedy się rozstaną. Może Mike każe Benowi Avery ją zwolnić. Nie zdziwiłaby się. -Mike?

- Co? Tak. Przepraszam cię, Wendy. Czasami zachowuję się jak ostatni drań. - W jego oczach błyszczały łzy.

- Chyba muszę przyznać ci rację. - Spojrzała na niego ze smutnym uśmiechem i pocałowała go w czubek brody. - Ale zdaje się, że mimo to cię Kocham.

- Mogłabyś sobie znaleźć kogoś wiele lepszego. - Po raz pierwszy od wielu miesięcy spojrzał na nią przytomnie i z zainteresowaniem. - Czasami samego siebie nienawidzę za to, co ci robię. Ja... - Urwał, a ona położyła mu palec na ustach.

- Wiem.

Skinął głową w milczeniu i wstał. Obserwowała go leżąc na kuchennej podłodze.

- Michael?

- Tak?

Jego głos brzmiał teraz łagodniej niż pół godziny temu. Może jednak miała na niego jakiś wpływ.

- Wciąż za nią tęsknisz?

Długą chwilę milczał, a potem przytaknął. W oczach miał ból. Bez słowa poszedł do sypialni i się ubrał. Wendy wolno podniosła się z podłogi. Przysiadła na jednym ze stołków przy

kuchennym blacie i zamyśliła się nad tym, co spostrzegła w jego oczach. Kiedy po kilku minutach wrócił do kuchni, wciąż siedziała bez ruchu, zatopiona w myślach. Zaskoczona podniosła wzrok i z żalem zauważyła, że Michael ma już na sobie dzinsy i białą koszulę, rozpiętą pod szyją. W jednej ręce trzymał teczkę, w drugiej sweter. Widząc teczkę, Wendy domyśliła się, że Mike jednak zdecydował się pójść do biura, chociaż to była niedziela. Sweter jej zdradził, że ma zamiar siedzieć tam do późnego wieczora. Żadna z tych wiadomości jej nie ucieszyła.

- Zobaczmy się później? - Nienawidziła się za to, że zadaje takie pytania. Nie pytała... zebrała. Do cholery z tym wszystkim. Co gorsza, Mike pokręcił głową.

- Pewnie będę pracował do drugiej albo trzeciej, a potem wrócę do siebie. I tak rano musiałbym tam pójść, żeby się przebrać.

Zniknęła gdzieś łagodność, która kilka minut temu się w nim na chwilę pojawiła. Znowu był dawnym Michaelem, który nie przestawał uciekać. Kochali się zaledwie piętnaście minut temu, a już go utraciła. Ta sytuacja była beznadziejna, a jednak Wendy nie chciała się poddawać. Im silniej ją odpychał, tym bardziej się starała i więcej z siebie dawała.

- W takim razie zobaczymy się jutro w biurze.

Z wysiłkiem nadała głosowi rzeźkie brzmienie, a nawet z uśmiechem odprowadziła Michaela do drzwi. Cieszyła się, że wyszedł szybko, na pożegnanie przelotnie cmoknął ją w policzek i nawet się obejrzał. Kiedy zniknął za progiem, ona już płakała. Michael Hillyard to była przegrana sprawa.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Krajobraz szybko umykał, kiedy Peter dociskał do podłogi pedał gazu czarnego Porsche. Mieli wspaniałe uczucie, jakby frunęli w powietrzu. Poza nimi nikogo nie było na drodze. Ostatnio niemal w każdą niedzielę urządzali sobie takie przejażdżki. Peter zabierał ją z domu o jedenastej i jechali na południe tak daleko, jak mieli ochotę. W końcu zatrzymywali się gdzieś na lunch, a potem szli na spacer, opowiadali sobie zabawne historie z przeszłości, a w końcu wolno wracali do domu. Nancy pokochała te wspólne niedziele. W pewien szczególny sposób pokochała też Petera. Był w jej życiu kimś bardzo ważnym. Zwracał jej dawne marzenia i dawał nowe.

Dzisiaj zatrzymali się w pobliżu Santa Cruz, w małej wiejskiej restauracji, urządzonej na wzór francuskiej gospody. Zamówili quiche i sałatkę nicejską, a do tego bardzo wytrawne białe wino. Nancy nawykła już do takich posiłków. Bardzo się oddaliła od Nowej Anglii, wesołych miasteczek i niebieskich koralii. Peter Gregson był człowiekiem światowym. Między innymi, właśnie to Nancy w nim lubiła. Przy nim czuła się jak elegancka dama, mimo bandaży i śmiesznych kapeluszy. Jednak teraz widać było spod nich więcej twarzy. Dolna jej część została ukończona, tylko okolice oczu kryły się pod opatrunkami i przyciemnianymi okularami. Czoło również było zabandażowane. Jednak już było widać, że Peter wspaniałą pracą dokonał wręcz cudu. Nancy była tego świadoma i samo przeczucie ostatecznego efektu dawało jej większą pewność siebie. Nosiła kapelusze bardziej zawadiacko zsunięte na tył głowy, kupowała śmielsze stroje o bardziej wyszukanym kroju niż te, w które się ubierała przed wypadkiem. Schudła o następne dwa kilogramy i była teraz smukła i gibka jak piękny dziki kot. Nauczyła się też korzystać z brzmienia głosu. Podobała jej się ta nowa Nancy.

- Wiesz, Peter, myślałam o zmianie imienia - oznajmiła z nieśmiałym uśmiechem, dopijając wino. Nie wie działa dlaczego, ale ten pomysł wydawał się jej mądrzejszy kiedy rozmawiała o nim z Faye. Pożałowała, że o tym wspomniała, ale reakcja Petera natychmiast ją uspokoiła.

- Nie dziwię się. Jesteś teraz zupełnie innym człowiekiem. Dlaczego nie miałabyś zmienić imienia? Masz jakieś konkretne na myśli? - Spojrzał na nią czule i zapalił cienkie cygaro.

Nancy polubiła ich aromat, szczególnie po dobrym posiłku. Peter wprowadzał ją w elegancki świat. Bardzo się z tego cieszyła.

- Więc kim jest moja nowa przyjaciółka? Jak jej na imię? - dopytywał się.

- Jeszcze nie jestem pewna, ale może Marie Adamson. Jak ci się podoba? Zastanawiał się chwilę, po czym skinął głową.

- Niezłe... Podoba mi się. Nawet bardzo. Jak na nie wpadłaś?

- To nazwisko panińskiego mojej matki, a imię ulubionej zakonnicy.

- Co za oryginalne połączenie.

Roześmiali się oboje i Nancy z zadowoloną miną usadowiła się wygodniej na krześle. Marie Adamson. Bardzo ładnie.

- Kiedy chcesz dokonać tej zmiany? - Obserwował ją przez cienką zasłonę błękitnego dymu.

- Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałam.

- Może od razu zaczniesz używać nowego imienia? Sprawdzisz, czy ci się podoba. Mogłabyś podpisywać nim swoje prace. - Ten pomysł wprowadził go w ożywienie. Zawsze się ożywiał, kiedy mówił o Nancy albo o jej fotografiach.

Nadal przyjemnie ją zaskakiwało, że rozmawia o jej pracy równie poważnie jak o własnej, jakby były jednakowo ważne. Bardzo poważał jej talent.

- Mówię serio, Nancy. Może byś spróbowała.

- Miałabym się podpisywać jako Marie Adamson na zdjęciach, które ci daję? - Nancy była rozbawiona tym, że Peter traktuje ją z taką powagą. Tylko on i Faye oglądali jej fotografie.

- Mogłabyś trochę poszerzyć swoje horyzonty.

To nie był nowy temat w ich rozmowach. Uciszyła go gestem dłoni i potrząsnęła głową ze stanowczym uśmiechem.

- Proszę, nie zaczynaj od nowa.

- Będę do tego wracał, dopóki się nad tym głębiej nie zastanowisz. Nie możesz w nieskończoność ukrywać swojego talentu. Jesteś artystką, bez względu na to, czy tworzysz na płótnie czy na błonie fotograficznej. To zbrodnia ukrywać takie dzieła. Musisz zorganizować wystawę swoich prac.

- Nie. - Wypiła łyk wina i spojrzała na krajobraz. - Wystarczą mi te wystawy, które kiedyś miałam.

- Cudownie. Poskładałem cię tylko po to, żebyś przez resztę życia się ukrywała i robiła zdjęcia tylko dla mnie.

- Czy to taki straszny los?

- Nie dla mnie. - Uśmiechnął się łagodnie i ujął jej dłonie. - Ale dla ciebie tak. Masz tyle talentu, nie skąp go, nie chowaj przed światem. Nie rób sobie takiej krzywdy. Może wystawiłabyś swoje zdjęcia jako Marie Adamson? W ten sposób zachowałabyś anonimowość. Jeśli wystawa albo jej skutki ci się nie spodobają, zapomnisz o Marie Adamson i znów będziesz fotografowała tylko dla mnie. Ale przynajmniej spróbuj. Nawet Greta Garbo najpierw odniosła sukces, a dopiero potem stała się odludkiem. Daj sobie szansę.

W jego głosie pojawiła się błagalna nuta i serce Nancy zmiękło. Miał rację mówiąc, że

nowe nazwisko w pewnym stopniu pomoże jej zachować anonimowość. Mogłaby spróbować. Ale przecież omawiali ten temat już niemal setki razy. Coś się w niej zacięło na myśl, że znów miałaby zostać zawodową artystką. Czowała się wtedy bezbronna i... myślała o Michaelu.

- Zastanowię się.

To była najbardziej obiecująca odpowiedź, jaką z niej na ten temat dotychczas wydobył, więc przyjął ją z zadowoleniem.

- Zrób to, Marie. - Spojrzał na nią z szerokim uśmiechem.

- To takie dziwne, nagle inaczej się nazywać - zauważyła chichocząc.

- Dlaczego? Masz teraz inną twarz. Czy to też jest dla ciebie dziwne?

- Już nie. Dzięki Faye i dzięki tobie. Już się do niej przyzwyczaiłam. - Większość kobiet za taką twarz wiele by oddało. Dobrze o tym wiedziała.

- Mam się do ciebie zwracać Marie? - zapytał żartem, ale spostrzegł w oczach dziewczyny jakieś figlarne, radosne błyski.

- W zasadzie... tak. Zobaczę, jak się będę z tym czuła.

- Świetnie. Marie. Jeśli się pomylę, kopnij mnie w kostkę.

- Nie ma problemu. Po prostu przyłożę ci aparatem.

Dał kelnerowi znak, żeby przyniósł rachunek. Wymienili z Nancy długi, czuły uśmiech. Po lunchu wędrowali ulicami nadmorskiego miasteczka, zaglądali do sklepów i ciasnych zaułków, wchodzili do galerii, kiedy spostrzegli coś interesującego. Fred biegł obok nich krok w krok, również przyzwyczajony do tych niedzielnych wyjazdów. Zawsze czekał w samochodzie, kiedy jedli lunch, ale potem spacerował razem z nimi. Po godzinie wędrówki, Peter spojrzał na nią uważnie.

- Zmęczona?

Chociaż jej wytrzymałość stopniowo wzrastała, jak nikt inny wiedział, jak łatwo dziewczyna się męczy. W ciągu ostatnich siedemnastu miesięcy przeszła czternaście operacji. Upłynie jeszcze rok, zanim wróci do dawnej formy, chociaż ktoś, kto jej dobrze nie znał, nigdy by nie podejrzewał, że nie ma wiele sił. Zawsze kipiała energią. Jednak godzinny spacer wymagał od niej wiele wysiłku.

- Gotowa do powrotu? - spytał Peter. Smutno skinęła głową.

- Z niechęcią muszę przyznać, że tak. Wziął ją za rękę.

- Za rok bez trudu mnie prześcigniesz, Marie. Roześmiała się. Rozbawiła ją ta przepowiednia, a także łatwość, z jaką używał jej nowego imienia.

- Przyjmuję to jako wyzwanie.

- Obawiam się, że łatwo ze mną wygrasz. Masz jeden wspaniały atut.

- Jaki?

- Młodość.

- Ty też masz ten atut - stwierdziła poważnie. Z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Obyś zawsze patrzyła na mnie tak łaskawym okiem, kochana.

Mimo niefrasobliwego tonu, w jego oczach Nancy dostrzegła cień smutku. Widziała go tylko przez chwilę, ale wiedziała, że tam jest. Niewątpliwie dzieliła ich różnica wieku. Bez względu na to, jak bardzo lubili swoje towarzystwo, jak bardzo byli sobie bliscy, między nimi istniała przepaść dwudziestu czterech lat. Jej to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie. Już mu to mówiła, a on czasami nawet jej wierzył, w zależności od tego, jaki miał humor. Nigdy nie przyznawał, jak bardzo ta różnica go dręczy. Ta dziewczyna sprawiła, że chciał być znowu młody, odrzucić dziesięć albo dwadzieścia lat. Kiedyś bardzo sobie je cenił i dopiero teraz zaczęły mu ciążyć.

- Nancy... - Zapomniał o jej nowym imieniu. Spojrzał na nią poważnie, pytającym wzrokiem.

- Słucham?

- Czy... wciąż za nim tęsknisz?

W oczach Petera czaił się taki ból, że zapragnęła go objąć i ukoić. Ale też nie mogła go okłamywać. Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że ma łzy w oczach, ale tylko wzruszyła ramionami i skinęła głową.

- Tak, czasami za nim tęsknię. Ale nie zawsze. - To była szczerą odpowiedź.

- Nadal go kochasz? Zanim odpowiedziała, popatrzyła mu twardo w oczy.

- Nie wiem. Pamiętam go takiego, jakim był, pamiętam nas oboje sprzed wielu miesięcy. Ale to wszystko należy już do przeszłości. Ja jestem inna, więc i on nie mógł pozostać taki sam. Wypadek na pewno go zmienił. Może gdybyśmy się teraz spotkali, doszlibyśmy do wniosku, że nic już nas nie łączy. Ale nie wiem tego na pewno. Zostały mi tylko wspomnienia. Czasami chciałabym go zobaczyć tylko po to, żeby definitywnie zerwać z tym, co było. Już... już chyba zrozumiałam, że... że go nigdy więcej nie spotkam. - Powiedziała to z trudem, ale stanowczo. - Po prostu muszę pożegnać się z marzeniami.

- To nie jest takie proste. - W jego oczach znów pojawił się ból.

Nancy zaczęła się zastanawiać, czy Peter nie przeżył podobnych doświadczeń. Może właśnie dlatego tak świetnie rozumiał jej uczucia.

- Jak to się stało, że się nie ożeniłeś? - Szli wolno w stronę plaży, a zapomniany Fred podskakiwał wokół nich. - A może nie powinnam pytać?

- Ależ skąd, możesz pytać. Złożyło się na to wiele przyczyn. Jestem zbyt samolubny i

wiecznie zajęty. Praca pochłania większą część mojego życia. Poza tym, nie potrafię spokojnie usiedzieć w miejscu i trudno by mi się było ustatkować.

- Jakoś w to nie wierzę. - Spojrzała na niego badawczo.

- Ja też nie. Ale jest w tym trochę prawdy. - Umilkł na długą chwilę, a potem westchnął. - Są też inne powody. Przez dwanaście lat kochałem pewną kobietę. Kiedy się poznaliśmy, była moją pacjentką i bardzo mi się podobała, ale unikałem wszelkich bliższych kontaktów z nią. Dopiero później się dowiedziała, co do niej czuję. Los chciał, że ciągle się spotykaliśmy, na przyjęciach, obiadach, na wielu towarzyskich i zawodowych imprezach. Jej mąż też był lekarzem. Tak, była mężatką. Przez rok opierałem się pokusie. Ale dłużej nie potrafiłem wytrzymać. Pokochaliśmy się i spędziliśmy razem wiele cudownych chwil. Często rozmawialiśmy o ślubie, chcieliśmy uciec, mieć dziecko. Ale nigdy się na to nie zdecydowaliśmy. Przez dwanaście lat nic się między nami nie zmieniło. Nie rozumiem, jak mogliśmy tak długo żyć w takim stanie zawieszenia, ale widocznie tak w życiu bywa. Mija dzień za dniem, a pewnego ranka się budzisz i stwierdzasz, że upłynęło już dziesięć, jedenaście albo dwanaście lat. Ciągle wynajdowaliśmy nowe powody, dla których ona nie mogła się rozwieść, żeby wyjść za mnie; jej mąż, moja kariera zawodowa, jej rodzina. Zawsze znajdzie się jakiś powód. Może po prostu woleliśmy taką sytuację, jak była. Sam nie wiem.

Nigdy nikomu tego nie wyznał. Nancy przysłuchiwała mu się z uwagą. Spoglądał w dal i chyba był gdzieś daleko, chociaż cały czas zwracał się do niej.

- Dlaczego już się nie spotykacie? - A może cały czas się widują? Poczula, że się rumieni. Chyba wtrąca się w nie swoje sprawy. Przecież w życiu Petera może być wiele spraw, o których nic nie wie i nie ma prawa wiedzieć. Nigdy przedtem nie przyszło jej to do głowy.

- Przepraszam. Nie powinnam o to pytać.

- Nie żartuj. - Znowu wrócił myślami do Nancy i patrzył na nią przytomnym wzrokiem. - Możesz mnie o wszystko pytać. Ona umarła, cztery lata temu, na raka. Towarzyszyłem jej przez większość czasu, z wyjątkiem ostatniego dnia. Richard, jej mąż, chyba w końcu się wszystkiego domyślił. Ale to nie miało już żadnego znaczenia. Obaj ją straciliśmy. Był jej wdzięczny, że nie opuściła go wiele lat przedtem. Tak mi się teraz wydaje. Obaj płakaliśmy po jej śmierci. To była wspaniała kobieta... Bardzo podobna do ciebie.

Spojrzał na nią mokrymi od łez oczami. Nancy również poczuła pod powiekami łzy. Nie zastanawiając się, ostrożnie sięgnęła do policzka Petera i starła z niego jasne krople. Nie cofnęła dłoni, tylko wolno przysunęła się do niego i czule pocałowała go w usta. Długo stali w milczeniu, z zamkniętymi oczami. Potem poczuła wokół siebie ramiona Petera. Ogarnął ją taki spokój, jakiego nie zaznała od lat. W jego ramionach była bezpieczna. Obejmował ją tak bardzo długo.

- Wiesz, że cię kocham? - powiedział w końcu.

Odstąpił o krok i spojrzał na nią z dziwnym uśmiechem. Była jednocześnie szczęśliwa i smutna, ponieważ nie miała pewności, czy już jest gotowa dać mu wszystko, tak jak on jej. Kochała go, ale... ale nie była to miłość, którą widziała w jego oczach.

- Ja też cię kocham, Peter, tylko trochę inaczej.

- To na razie wystarczy. - Livia też mu z początku tak mówiła. Czasami go przerażało, że są takie podobne. - Faye bardzo mi pomogła, kiedy Livia zmarła. Dlatego właśnie przyszło mi do głowy, że i tobie pomoże. - Pomogła mu też w inny sposób, ale w tej chwili nie miało to znaczenia.

- Miałeś rację. Faye jest cudowna. Oboje jesteście wspaniali. - Wzięła go za rękę i ruszyli plażą z powrotem. - Peter... nie wiem, jak to powiedzieć, ale... nie chciałabym cię zranić. Kocham cię, ale wciąż rozliczam się ze swoją przeszłością, krok po kroku. Nie jestem jeszcze pewna samej siebie.

- Nie śpieszy mi się. Jestem człowiekiem obdarzonym wielką cierpliwością. Nie martw się.

Powiedział to tak, że znowu poczuła się szczęśliwa i bezpieczna. Może jednak kocha go bardziej, niż przypuszcza? Kiedy szli do samochodu, nagle wpadła na pewien pomysł. Przestraszył ją i jednocześnie ożywił. Już wiedziała, że na pewno chce to zrobić. Peter zauważył błysk w jej oku, kiedy doszli do samochodu.

- Co tam sobie wymyśliłaś?

- Nieważne.

- O, Chryste. Co teraz? - Kilka tygodni temu zadzwoniła do niego przed świtem, by mu oznajmić, że musi natychmiast wstać i obejrzeć cudowny wschód słońca.

- Nancy... nie, Marie. Od dzisiaj będziesz tylko i wyłącznie Marie. Powiedz mi tylko, czy Marie jest równie szalona jak Nancy.

- Jeszcze bardziej. Przychodzą jej do głowy różne nowe pomysły.

- Och, oszczędź mi tego! - Jednak wcale nie wyglądał na człowieka, który ma ich już dość. - Może mi coś podpowiesz? Chociaż jedno słowo.

Potrząsnęła tylko głową i roześmiała się. Fred wskoczył jej na kolana, a Peter uruchomił silnik.

- Ja też mam dla ciebie pewien pomysł - powiedział.

- Pod koniec roku skończymy pracę nad twoją twarzą. Może nowy rok zaczniemy wystawą dzieł fotograficznych Marie Adamson? Zgadzasz się?

- Być może. - Ta propozycja zaczynała ją kusić. Dzisiejszego popołudnia zdarzyło się coś, co znowu dodało jej odwagi. Może to dlatego, że powiedziała Peterowi, co czuje do Michaela, i wysłuchała opowieści o kobiecie, którą kochał. - Pomyślę o tej wystawie.

- Nie. Obiecuj mi. Właściwie... - Wyjął klucz ze stacyjki i wsunął pod fotel. - Nie zawiozę cię do domu, dopóki się nie zgodzisz na wystawę. Mam nadzieję, że jesteś zbyt elegancką damą, żeby się ze mną bić o kluczyki.

- W porządku. Wygrałeś. - Wzburzyła dłonią sierść Freda i roześmiała się. - Poddaję się. Zrobię wystawę.

- Tak łatwo się zgadzasz? - zapytał oszołomiony.

- Tak łatwo. Ale jak, według ciebie, mam się do tego zabrać?

- Zostaw to mnie. Umowa stoi?

- Tak jest. - Powierzała mu swoje prace z takim samym zaufaniem jak twarz.

- Kochanie, nie pożałujesz tego. - Delikatnie wziął jej twarz w dłonie i pocałował. Znowu zapalił samo chód. Dzień był taki piękny.

Wolno jechali do domu wzdłuż wybrzeża i Peter z żalem zatrzymał się o szóstej przed jej domem. Nie cieszyło go, że wycieczka dobiegła końca, ale chciał, żeby dziewczyna wypoczęła.

- Dobrze się wyśpij, młoda damo. Chcę cię jutro widzieć rano w moim gabinecie w świetnej formie. - Miał jej usunąć kolejne opatrunki, a w ciągu nadchodzących dwóch miesięcy zaplanował dwie następne operacje. W grudniu zakończy cały cykl, a w styczniu nastąpi „odsłonięcie” nowego oblicza.

- Chcesz wejść na górę? - Nie była pewna, czy ona sama tego chce, więc z ulgą przyjęła jego odmowę.

- W przyszłym tygodniu umówimy się na kolację. Wtedy pewnie już będę miał dla ciebie jakieś wieści na temat wystawy.

- Jeśli nie, to wcale mnie nie rozczarujesz.

Uśmiechnął się, a ona wysiadła z Fredem z samochodu, pomachała mu i zniknęła w drzwiach domu. Myślała już o czymś innym. Przyszło jej to do głowy, kiedy wracali plażą do samochodu, i teraz już wiedziała, że musi to zrobić. Chciała to zrobić. Nie zdejmując płaszcza podeszła do szafy, sięgnęła pod wiszące tam ubrania i znalazła, czego szukała. Wyjęła to i długo na to patrzyła, zanim otworzyła zamek. Czarna powierzchnia była zakurzona, tak że niemal bała się jej dotknąć. Wolno pociągnęła za suwak i wielka malarska teczka otworzyła się u jej stóp. Zobaczyła w niej szkice, kilka obrazów i trochę nie dokończonych prac. Na samym wierzchu spostrzegła to, na czym jej najbardziej zależało. Usiadła na podłodze i popatrzyła uważnie. Półtora roku temu miał to być ślubny prezent dla Michaela. Krajobraz z chłopcem ukrytym na drzewie. Siedziała trzymając obraz w rękach, a łzy wolno toczyły się po jej twarzy. Trzeba było osiemnastu miesięcy, żeby znowu odważyła się na niego spojrzeć. Ale wreszcie się odważyła i teraz skończy go malować. Dla Petera.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Był rześki, chłodny dzień. Marie nasunęła głębiej na czoło rondo białego filcowego kapelusza i podniosła kołnierz jaskrawoczerwonego płaszcza. Szła na spotkanie z Faye Allison. Fred, jak zwykle, biegł obok. Jego obroża i smycz były dokładnie w tym samym kolorze co jej płaszcz. Marie uśmiechnęła się do niego, kiedy skręcali w ulicę, przy której znajdował się gabinet Faye. Była w świetnym nastroju i nawet mgła nie mogła jej go popsuć. Wbiegła po schodach i weszła do Faye bez pukania.

- Już jestem! - Głos Marie rozległ się dźwięcznie w ciepłym, przytulnym domu i Faye natychmiast jej odpowiedziała. Marie zdjęła płaszcz. Pod spodem miała prostą suknię z białej wełny, w którą wpięła złota szpilkę, prezent sprzed kilku miesięcy, od Petera. Z roztargnieniem spojrzała w lustro, bardziej zawadiacko nasunęła kapelusz i uśmiechnęła się do swojego odbicia. Okulary wreszcie zniknęły i widziała teraz swoje oczy. Kilka małych opatrunków jeszcze przesłaniało czoło. Za parę tygodni również one znikną. Praca nad jej twarzą dobiegała końca.

- Podoba ci się to, co widzisz, Nancy?

Nie zauważyła, kiedy Faye stanęła za nią z życzliwym uśmiechem na ustach. Skinęła głową.

- Chyba tak. Już się nawet przyzwyczaiłam do tych zmian. Ale widzę, że ty nie! - W jej oczach błyskały wesołe ogniki. Z łobuzerką miną spojrzała na przyjaciółkę.

- Co masz na myśli?

- Wciąż nazywasz mnie Nancy. Jestem Marie. Nie pamiętasz? To oficjalne postanowienie.

- Przepraszam. - Faye potrząsnęła głową i poprowadziła ją do zacisznego pokoju, w którym zawsze odbywały się ich rozmowy. - Ciągle zapominam.

- Zauważyłam. - Marie wcale nie wyglądała na po irytowaną, kiedy usadowiła się w swoim ulubionym fotelu. - Trudno zerwać ze starymi przyzwyczajeniami. - Kiedy wypowiedziała te słowa, twarz jej spoważniała. Faye czekała na dalszy ciąg zwierzeń.

- Wiele o tym ostatnio myślałam. Już się chyba po godziłam z tym, że go przy mnie nie ma - powiedziała cicho Marie, spoglądając w ogień.

- Michaela? - Dziewczyna skinęła głową i spojrzała poważnie na Faye. - Skąd ta pewność, że już się z tym pogodziłaś?

- Po prostu tak postanowiłam. Nie mam wielkiego wyboru. Od wypadku minęły już prawie dwa lata. Taka jest prawda. Ściśle mówiąc, dziewiętnaście miesięcy. Nie odnalazł mnie. Nie posłał matki do diabła, nie powiedział jej, że chce być ze mną za wszelką cenę. Po prostu o mnie zapomniał. - Spojrzała twardo w oczy Faye. - Teraz ja muszę o nim zapomnieć.

- To nie takie łatwe. Wiele się po nim spodziewałaś, i to przez bardzo długi czas.



- Zbyt długi. A on o mnie zapomniał.
- Co czujesz do siebie samej, kiedy o tym myślisz?
- Nic złego. Jestem wściekła na Michaela, a nie na siebie.
- Nie jesteś już zła, że zawarłaś umowę z jego matką?
- Faye wiedziała, że drażny bolesny temat, ale musiały go omówić.
- Nie miałam wyboru. - Głos Marie był spokojny i stanowczy.
- Nie wyrzucasz sobie tego?

- A powinnam? Czy myślisz, że Michael miał wyrzuty sumienia, kiedy postanowił ze mnie zrezygnować? Czy dręczy go myśl, że po wypadku nawet mnie nie odwiedził? Myślisz, że spędza bezsenne noce?

- A czy ty spędzasz bezsenne noce, Nancy? Tylko to mnie interesuje.

- Nazywam się Marie, do diabła. Nie, nie spędzam bezsennych nocy. Postanowiłam odrzucić marzenia. Zbyt długo już żyję mrzonkami.

Mówiła przekonująco, ale Faye wciąż nie była pewna, jakie są prawdziwe uczucia dziewczyny.

- I co teraz? Co zajmie miejsce Michaela? Albo raczej kto? Peter?

- Teraz pracuję. Przedtem jednak wyjadę na Święta na południowy wschód. To piękne okolice i zamierzam je sfotografować. Już zrobiłam plany. Odwiedzę Arizonę, Nowy Meksyk. Może nawet polecę na kilka dni do Meksyku. - Mówiła z zadowoloną miną, ale jej twarz nadal miała twardy wyraz, jakby Marie chciała ukryć smutek. Poniosła kolejną stratę. Wreszcie pogodziła się z utratą Michaela. Wyzwolila się od niego. Zajęło jej to bardzo dużo czasu. - Wyjadę na trzy tygodnie. To pomoże mi przeżyć Święta.

- A co potem?

- Praca, praca i jeszcze raz praca. Tylko to mnie teraz obchodzi. Peter załatwił mi już wystawę. Odbędzie się w styczniu. Radzę ci, żebyś się na nią wybrała!

- Myślisz, że bym sobie tego odmówiła?

- Mam nadzieję, że nie. Wybrałam prace, które na prawdę lubię. Ani ty, ani Peter nie widzieliście większości z nich. Chciałabym, żeby mu się spodobały.

- Na pewno się spodobają. On się zachwyca wszystkimi twoimi zdjęciami. W ten sposób doszliśmy do kolejnego pytania, Nan... przepraszam, Marie. Co z Peterem? Jaki jest twój stosunek do niego? Marie westchnęła i znów popatrzyła w ogień.

- Żywię do niego wiele różnych uczuć.

- Kochasz go?

- W pewien sposób.

- Czy kiedykolwiek zastąpi ci Michaela?

- Może. Chciałabym, żeby zajął jego miejsce, ale cały czas coś mnie przed tym powstrzymuje. Nie jestem gotowa. Sama nie wiem, Faye... Czuję się winna, że nie daję mu więcej z siebie. On tyle dla mnie zrobił. Wiem, jak mu na mnie zależy...

- To bardzo cierpliwy człowiek.

- Chyba nawet zbyt cierpliwy. Boję się, że go zranię.

- Marie znowu spojrzała przyjaciółce w oczy, tym razem z niepokojem. - Bardzo mi zależy na jego przyjaźni.

- W takim razie zaczekaj i przekonaj się, co się wydarzy. Może teraz, kiedy usunęłaś Michaela ze swojego życia, poczujesz się bardziej wolna. - Faye zauważyła, że na te słowa napięły się mięśnie na szyi dziewczyny.

- Marie? Nie masz chyba zamiaru odtrącić wszystkich ludzi, prawda? Nie chcesz zrezygnować z miłości?

- Nie. Dlaczego miałabym to zrobić? - Odpowiedź padła zbyt szybko i gładko.

- Nie powinnaś. Michael cię zawiódł, ale to jeden mężczyzna, a nie wszyscy ludzie. Nie zapominaj o tym. Ktoś gdzieś na świecie na ciebie czeka. Może Peter, a może ktoś inny, ale na pewno ktoś czeka. Jesteś piękną dziewczyną i nie skończyłaś jeszcze dwudziestu pięciu lat. Całe życie przed tobą.

- To samo mówi mi Peter. - Jednak widać było, że nie do końca wierzy tym słowom. Spojrzała na Faye z nerwowym uśmiechem, którym chciała zamaskować strach i smutek. - Podjęłam jeszcze jedną decyzję.

- Jaką?

- To dotyczy nas. Chyba nie potrzebuję już wsparcia, Faye. Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia. Chcę sama stanąć na nogach, pracować do upadłego i podbić świat.

- Dlaczego nie chcesz po prostu cieszyć się życiem?

- Nadal coś w tej dziewczynie ją niepokoiło. Marie z czegoś zrezygnowała, przestała w coś wierzyć. Została zdradzona i teraz w pewnym sensie uciekała przed samą sobą. Gotowa była walczyć o swoją pracę, ale nie o siebie. - Dostałaś wspaniały dar, Marie. Jesteś piękna. Nie ukrywaj się za aparatem fotograficznym. Marie patrzyła na nią twardym jak granit wzrokiem.

- To nie jest dar, Faye. Zapłaciłam za niego wszystkim, co miałam.

Wymieniły życzenia świąteczne i Marie wyszła. Jej życzenia zabrzmiały trochę sztucznie i pusto. Długo po tym, kiedy nasunęła na czoło biały kapelusz i odeszła, wesoło machając przyjaciółce, z którą widywała się regularnie od dwóch lat, Faye czuła niepokój. Miała wrażenie, że dziewczyna żegnała się z tymi latami i wkraczała w nowe życie, zostawiając za sobą wszystko, co

kiedyś kochała.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Po wyjściu od Faye Marie zatrzymała taksówkę i pojechała prosto na Union Square. Już zarezerwowała bilety; teraz musiała tylko za nie zapłacić. Będzie to jej pierwsza podróż od wielu lat, od czasu, kiedy spędziła z Michaelem weekend na Bermudach. Wtedy była Wielkanoc i... Odsunęła od siebie wspomnienia. Taksówka mknęła po Post Street. Fred siedział na kolanach Marie i spoglądał na jadące obok samochody, od czasu do czasu zerkając na swoją panią. Wyczuł, że coś jest inaczej. Wyjęła z torebki papierosa i zapaliła. Nawet takie małe stworzenie jak Fred wyczuwało, że jest jakaś inna, bardziej napięta.

- Tutaj, proszę pani?

Kierowca zatrzymał się przed hotelem Saint Frances i Marie skinęła głową.

- Tak, dziękuję.

Zapłaciła, otworzyła drzwi taksówki i wypuściła Freda na chodnik. Szybko wysiadła, zgasiła papierosa i rozejrzała się. Biuro sprzedaży biletów znajdowało się kilka metrów dalej, więc szybko znalazła się w środku. Zapewne z powodu wczesnej pory nie było tym razem kolejki. Spotkania z Faye zawsze zaczynają się o ósmej czterdzieści pięć... Zaczynały się... Niespodziewanie do niej dotarło, że pewien etap się zakończył. Była teraz wolna. Terapia dobiegła końca. Marie nie musiała się już spotykać z psychiatrą. Ta myśl trochę ją przerażała. Czuła się jednocześnie wyzwolona i samotna. Miała ochotę śmiać się z radości i płakać ze smutku.

- Słucham panią? - Dziewczyna w okienku spojrzała na nią z uśmiechem. - Odbiera pani bilety?

- Tak. Zarezerwowałam je w zeszłym tygodniu. Adams... nie, McAllister.

Dziwnie było znów wypowiedzieć swoje dawne nazwisko. Marie nie używała go od dwóch miesięcy. Ta podróż miała znaczenie symboliczne. Prawnie jej nazwisko zostanie zmienione pierwszego stycznia. Po powrocie będzie się już na dobre nazywała Marie Adamson. Na razie jeszcze jest Nancy. Można powiedzieć, że wybiera się w samotną podróż poślubną. To był ostatni krok w dłużącym się, dwuletnim procesie zmian. Wreszcie oficjalnie miała się narodzić Marie Adamson. Nancy McAllister zostanie na zawsze zapomniana. Do diabła, przecież Michael o niej zapomniał, więc i ona sama wyrzuci ją z pamięci. Nikt nie będzie o niej pamiętał. Peter się o to postarał. Nikt z dawnych znajomych teraz by jej nie poznał. Nowa twarz o pięknych, delikatnych rysach należała do kobiety, której wszyscy mogli pozazdrościć urody, a nie do tej dawnej Nancy. Nie wydawała się już sobie obca, ale nie była też Nancy McAllister. Jej głos również się zmienił, stał się łagodniejszy, głębszy, bardziej opanowany. Brzmiał intrygująco, były w nim jakieś zmysłowe nuty. Ludzie słuchali jej uważniej, jakby dzięki nowemu głosowi miała więcej

interesujących rzeczy do powiedzenia. Ręce wyglądały delikatnie i wdzięcznie, ruchy były płynniejsze i bardziej dojrzałe, dzięki zajęciom baletowym, na które w końcu zgodził się Peter, kiedy dotarli do ostatniej fazy operacji. Lekcje jogi dopełniły całości. Wszystko razem złożyło się na obraz Marie Adamson.

- Sto dziewięćdziesiąt sześć dolarów. Dziewczyna z kasy spojrzała na ekran komputera, a potem na klientkę. Nie potrafiła oderwać od niej oczu - doskonale rysy, olśniewający uśmiech i gracia ruchów przyciągały uwagę wszystkich. Chciało się zapytać: „Kim ona jest?” Marie wypisała czek, odebrała potwierdzenie i wyszła na oświetlony grudniowym słońcem Union Square. Wzięła Freda na ręce, żeby nikt na niego nie nadepnął, i uśmiechając się do siebie poszła przez plac. Dzień był piękny, a ona prowadziła takie wspaniałe życie. Wyjeżdżała w podróż, skomplikowane operacje już się skończyły, wszystko zaczynała od nowa. Miała nową pracę, wymarzone mieszkanie i mężczyznę, który ją kochał. Trudno żądać więcej. Rażnym krokiem weszła do wielkiego domu towarowego. Postanowiła, że kupi sobie jakiś ładny prezent gwiazdkowy albo coś na drogę. Wędrowała po piętrach, przymierzając kapelusze, bransoletki, apaszki, zakiety, oglądając torby i zimowe buty. Przymierzyła nawet parę zabawnych szpilek ze złotego brokatu. W końcu zdecydowała się na miękki sweter z białego kaszmiru, który podkreślał jej nieskazitelną cerę i ciemne włosy. Wyglądała w nim jak Królowna Śnieżka. Ta myśl ją rozbawiła. Spodoba się w nim Peterowi. Sweter bardzo ładnie opinał figurę. W ciągu ostatniego roku nawet jej kształty się zmieniły, dzięki baletowi i jodze. Ciało miała teraz jędrniejsze i sprawniejsze. Zeszczupiała i nabrała zwinności.

Schodziła na parter oglądając wystawy i obserwując ludzi. Zatrzymała się, żeby kupić bombonierkę dla Faye. To będzie odpowiedni prezent z okazji zakończenia terapii. Na bileciku napisała tylko: „Dziękuję. Z wyrazami miłości, Marie.” Co jeszcze można powiedzieć? Dziękuję, że pomogłaś mi zapomnieć o Michaelu? Dziękuję, że pomogłaś mi przeżyć? Dziękuję... Nagle zamarła w pół gestu. Minę miała taką, jakby zobaczyła ducha. Kiedy sprzedawczyni oddała jej kartę kredytową, nic nie powiedziała, tylko patrzyła oszołomiona. Parę metrów od niej stał Ben Avery i oglądał kosztowne damskie torby podróżne. Marie chyba przez całą wieczność stała bez ruchu, a potem wolno przysunęła się do niego. Musiała go zobaczyć, dotknąć, usłyszeć, co mówi. Przez jedną szaloną chwilę zastanawiała się, czy Ben jej nie rozpozna. Modliła się w duchu, żeby to zrobił. Natychmiast jednak dotarło do niej, że to niemożliwe, i przekonywała się, że tak jest lepiej. Może stanąć tuż obok i obserwować go tak długo, jak tylko zechce. Ciekawe, kiedy ostatnio widział Michaela i czy przyjął pracę w jego firmie. Powoli zbliżyła się do niego i zaczęła przesuwać teczki, leżące tuż obok toreb, nad którymi zastanawiał się Ben. Ani na chwilę nie spuszczała oczu z jego twarzy. Nagle ją zauważył i uśmiechnął się znajomym, niewymuszonym

uśmiechem. Widać było, że wcale nie wydała mu się znajoma. Popatrzył na nią z zachwytem i wyciągnął rękę w stronę Freda.

- Cześć, piesku.

Głos był taki znajomy, że pod Marie ugięły się kolana. Jednak stała bez ruchu, czując przy sobie ciepło ręki, która głaskała psa. Nie spodziewała się, że sam widok Bena tak na nią podziała. Ale był to przecież pierwszy człowiek łączący się z Michaelem, którego spotkała od... Zamrugła powiekami, zęby powstrzymać łzy. Bezwiednie dotknęła łańcuszka na szyi, tego samego, który Ben dał jej w noc przed ślubem. Wciąż go nosiła.

- Szuka pan gwiazdkowych prezentów?

Czuła się niezręcznie, nawiązując tę niby przypadkową pogawędkę, ale bardzo chciała z nim porozmawiać. Znowu przyszło jej do głowy, że ją rozpozna, tym razem po głosie. Ale przecież sama zdawała sobie sprawę, że teraz mówi zupełnie inaczej. Spojrzał na nią z niezobowiązującym uśmiechem, jaki wymieniają między sobą nieznajomi.

- Tak, dla pewnej młodej damy. Nie mogę się zdecydować.

- Jaka ona jest?

- Wspaniała.

Marie roześmiała się. Jakie to podobne do Bena. Miała ochotę zapytać, czy tym razem to coś poważnego, ale nie mogła.

- Ma kasztanowe włosy, jest mniej więcej pani wzrostu. - Jeszcze raz spojrzął na Marie wzrokiem pełnym zachwytem. Nie wiedziała, czy to typowe dla Bena zachowanie ma ją rozbawić czy rozłościć.

- Jest pan pewien, że chciałaby dostać w prezencie torby podróżne? - Wydawało jej się, że to pomysł bez fantazji. Miała nadzieję, że od Petera dostanie coś bar dziej atrakcyjnego. Może nowy obiektyw do aparatu?

- Wybieramy się razem w podróż, więc pomyślałem... To ma być niespodzianka. Do tych toreb dołączę bilety.

Kupował torby za pięćset dolarów, żeby schować w nich bilety? Ben, cóż za rozrzutność! Widocznie przez ostatnie dwa lata dobrze mu się powodziło.

- Ta dziewczyna ma szczęście - zauważyła Marie.

- Nie, to ja mam szczęście.

- Wybierają się państwo w podróż poślubną? - Za wstydziła się tego wścibskiego pytania, ale tak cudownie byłoby dowiedzieć się czegoś o Benie. Może przy okazji wspomni coś o... Uśmiechała się uprzejmie i bez osobowo. Ben potrząsnął głową.

- Nie. To tylko podróż służbowa, ale ona jeszcze o niej nie wie. Co mi pani radzi wybrać?

Te brązowe torby, czy ciemnozielone?

- Te z brązowego zamszu, ozdobione czerwonym paskiem. Są prześliczne.

- Mnie też się podobają. - Uradowany skinął głową i dał znak sprzedawczyni. Kupił trzy torby i polecił, żeby wysłano je do Nowego Jorku pocztą lotniczą.

Czy to znaczy, że tam mieszka? - zastanawiała się Marie.

- Dziękuję za pomoc, pani...

- Adamson. Cała przyjemność po mojej stronie i przepraszam, jeśli zadawałam zbyt wiele pytań. Święta zawsze wprawiają mnie w dziwny nastrój.

- Mnie też. To taki wspaniały okres roku. Nawet w Nowym Jorku, a to już wiele znaczy.

- Tam pan mieszka?

- Kiedy nie podróżuje. Często wyjeżdżam w interesach.

Z jego słów nie wynikało, czy pracuje dla Michaela. Nie mogła go o to zapytać wprost. Nagle ogarnął ją bolesny smutek. Stała obok Bena, tak blisko, i bardzo chciała się dowiedzieć czegoś o kimś, kto już w jej życiu nie istnieje, a przynajmniej nie powinien istnieć. Ben popatrzył na nią, jakby coś w jej wyglądzie go zastanowiło. Na chwilę serce zamarło Marie w piersi, ale uśmiech Bena ją uspokoił. Niczego nie podejrzewał. Nasunęła głębiej kapelusz, zęby lepiej ukryć ostatnie opatrunki na czole, i mocniej przytuliła Freda. Ben nadal jej się przyglądał.

- Wiem, że to szalona propozycja - odezwał się. - Czy mogę zaprosić panią na drinka? Za kilka godzin odlatuję, ale moglibyśmy wstąpić do hotelowego baru, jeśli... Odwzajemniła jego uśmiech i potrząsnęła głową.

- Ja też dzisiaj odlatuję. Jednak dziękuję za zaproszenie, panie Avery. Jego uśmiech zbladł.

- Skąd pani zna moje nazwisko?

- Słyszałam, jak sprzedawczyni je wymieniała. Odpowiedź padła szybko, więc Ben tylko wzruszył ramionami i z żalem spojrział na nieznajomą. Była niewiarygodnie piękna. Chociaż bardzo kochał Wendy, z którą spotykał się od trzech miesięcy, to przecież mógł wstąpić na drinka z ładną dziewczyną. Szkoda, że i ona wyjeżdża z miasta. Coś mu przyszło do głowy.

- Gdzie się pani wybiera, pani Adamson?

- Do Santa Fe, w Nowym Meksyku.

Zrobił rozczarowaną minę, jak mały chłopiec. Marie, roześmiała się.

- Cholera. Miałem nadzieję, że leci pani do Nowego Jorku. Przynajmniej spędzilibyśmy parę godzin w samolocie.

- Jestem pewna, że ta dziewczyna, dla której kupił pan torby, bardzo by się z tego ucieszyła.

- Zgromiła go wzrokiem, ale niezbyt surowo. Oboje jednocześnie się roześmiali.

- Słuszna uwaga. Cóż, może innym razem.

- Często pan bywa w San Francisco? - zaciekała się.

- Nie, ale w przyszłości będę tu zaglądał. - Zerknął na bagaż i dodał: - Oboje będziemy tu przyjeżdżać. Moja firma dostała w tym mieście bardzo duże zlecenie. Pewnie więcej czasu będę spędzał tutaj niż w Nowym Jorku.

- W takim razie, być może jeszcze się spotkamy. Jej głos brzmiał niemal smutno. W końcu to był tylko Ben. Jeśli nawet mieliby się częściej spotykać, to i tak nie zbliżało ją do Michaela. Sprzedawczyni wyrwała ją z zamyślenia. Marie zdała sobie sprawę, że na nią już czas. Ben wypisywał czek na sumę podaną przez ekspedientkę. Spojrzała na niego, lekko uściśniła jego ramię i wyszeptała cicho: - Wesółych Świąt.

Zerknął na nią zaskoczony i wrócił do wypisywania czeku. Marie odeszła od kontuaru, przy którym rozmawiali przez niemal pół godziny. Kiedy skończył, rozczarowany spostrzegł, że zniknęła. Odeszła tak nagle. Rozejrzał się wśród tłumu ludzi robiących świąteczne zakupy, ale nigdzie jej nie zauważył. Wyszła bocznymi drzwiami i właśnie zatrzymywała taksówkę. Była zmęczona i przygnębiona. Ranek okazał się długi i trudny.

Kierowca zawiózł ją do weterynarza, u którego zostawiła Freda, a potem znowu wskoczyła do samochodu i wróciła do domu. Była już spakowana. Musiała tylko zabrać bagaże i dojechać na lotnisko. Miała lekkie wyrzuty sumienia, że zostawia psa, ale czekała ją długa podróż z wieloma przystankami. Nie chciała, żeby jej towarzyszył. Wróci za trzy tygodnie. Tę podróż musi odbyć sama. To ostatnie chwile Nancy McAllister, koniec starego życia, początek nowego. Rozejrzała się jeszcze po mieszkaniu, jakby się spodziewała, że nigdy nie będzie już takie samo. Kiedy zamykała za sobą drzwi, wyszeptała tylko jedno słowo. Kierowała je do siebie, do Bena i do Michaela, do każdego, kogo kiedyś знаła i kochała. Żegnaj. Ze łzami w oczach zeszła po schodach. W rękach ścisnęła torbę z aparatem i walizkę.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nie pozwoliła Peterowi przyjechać po siebie na lotnisko. Wyjechała sama i chciała sama wrócić do domu. W tej podróży było coś magicznego. Upłynęła jej spokojnie, głównie na ciężkiej pracy. Prawie z nikim nie rozmawiała, tylko obserwowała otaczający ją świat i zagłębiała się w rozmyślaniach. W miarę upływu dni, jej myśli stawały się coraz lżejsze. Spotkanie z Benem Avery było ciosem. Przywołało zbyt wiele wspomnień. Ale wiedziała, że już się z nimi uporała. Mogła żyć dalej. Rozpoczął się dla niej nowy rozdział.

Świąteczne dni zlały się z innymi. Poświęciła je na robienie zdjęć w śniegu w okolicach Taos. Kusilo ją, żeby pojechać na nartach, ale się powstrzymała. Obiecała Peterowi, że będzie unikała ryzyka wypadku i słońca. Dotrzymała słowa. Tak samo jak on. Powiadomiła go, kiedy wraca, i poprosiła, żeby po nią nie wychodził. Nie zrobił tego. Z ulgą rozejrzała się po lotnisku. Stała sama wśród tłumu obcych. Dodawało jej to otuchy. Czuła się niewidzialna i bezpieczna. Przez ostatnie półtora roku uczyła się, jak pozostać nie zauważoną. Wiele czasu spędziła w bandażach, więc było dla niej ważne, żeby nikt się jej nie przyglądał. Teraz zwracała na siebie większą uwagę niż wtedy, gdy jej twarz skrywały opatrunki. Wszystko w niej przyciągało wzrok ludzi: sposób poruszania się, strój, czarny stetson, kupiony w czasie podróży dla zasłonięcia ostatnich opatrunków na czole, czarne levisy i krótki kożuszek. Trudno było się ukryć komuś o takiej urodzie. Marie jeszcze nie zdawała sobie sprawy, jak pięknie wygląda.

Przed lotniskiem złapała taksówkę, podała kierowcy adres i wygodnie usadowiła się w samochodzie. Była zmęczona. Dochodziła już jedenasta w nocy, a wstała o piątej rano, żeby robić zdjęcia. Zerknęła na zegarek i obiecała sobie, że położy się spać przed dwunastą. Jutro czekał ją następny ważny dzień. Specjalnie wróciła z podróży w ostatniej chwili. Jutro o dziewiątej rano Peter miał usunąć ostatnie opatrunki. Nikt oprócz niego nie wiedział, że jeszcze je nosi. Ale teraz nawet one znikną. Po wizycie u Petera do lunchu będzie sama, a potem spotkają się, żeby uczcić zakończenie leczenia. Nie będzie już operacji, szwów i bandaży. Przestanie się odróżniać od reszty ludzi. Jej nowe nazwisko już jest legalne. Narodziła się Marie Adamson.

Kierowca zatrzymał się przed jej domem. Wolno weszła po schodach, jakby spodziewała się zastać w mieszkaniu jakieś zmiany. Jednak wszystko wyglądało tak samo jak w dniu wyjazdu. Ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje się rozczarowana. Roześmiała się z samej siebie. Czego oczekiwała? Powiedziała Peterowi, żeby po nią nie przychodził. Myślała, że w domu przywita ją orkiestra dęta? Albo że zostanie Petera ukrytego pod łóżkiem? Sama nie wiedziała. Zrzuciła ubranie i wyciągnęła się na łóżku. Rozmyślała nad tym, co ją teraz czeka. Miała o czym myśleć. Operacje się zakończyły. Co to oznacza dla jej związku z Peterem? Co będzie, jeśli już nigdy go

nie zobaczy? Wiedziała, że to nieprawdopodobne. Załatwił wystawę jej prac. Miała się rozpocząć nazajutrz po ostatecznym „odsłonięciu” jej twarzy. Zależało mu na niej jak na człowieku, a nie tylko pacjentce. Zdawała sobie z tego sprawę. Jednak leżąc w ciemnościach, czuła się dziwnie zagrożona. Pragnęła, żeby ktoś ją zapewnił, że wszystko będzie dobrze, że nie jest sama i że da sobie radę jako Marie Adamson. Wstała energicznie i podeszła do lustra.

- Cholera! Co z tego, że jestem sama? - zapytała na głos. Zdenerwowana, niemal pieszczotliwym gestem ujęła aparat. Tylko tego potrzebuję. To po prostu zmęczenie podróżą. Po co się martwić samotnością, niepewnym jutrem czy Peterem? To głupota. Westchnęła i wróciła do łóżka. Może przecież rozmyślać o ciekawszych rzeczach, na przykład o pracy.

Obudziła się wkrótce po szóstej, a o siódmej trzydzięci wyszła z domu. Zanim o dziewiątej przybyła do gabinetu Petera, zdążyła już odwiedzić bazar i targ kwiatowy, gdzie zrobiła kilka zdjęć. Dodaje do serii o Chinatown. Odebrała też Freda od weterynarza.

- Widzę, że jesteś dziś wesoła jak ptaszek, i pięknie wyglądasz. Co za wspaniałe futro. - Peter spojrzał z za chwytem na długie futro z kojota, które kupiła bardzo tanio w rezerwacie w Nowym Meksyku. Włożyła je na dzinsy i czarny sweter z golfem. Na nogach miała długie buty. W gabinecie zjawiała się w czarnym stetsonie. Te raz go zdjęła, uśmiechnęła się dziwnie, na sekundę przystanęła nad koszem na śmieci i z rozmachem wrzuciła do niego kapelusz.

- Dzisiaj, doktorze Gregson, ostatni raz w życiu włożyłam kapelusz. Skinął głową. Wiedział, jaki to był dla niej ważny gest.

- Nigdy już nie będziesz musiała nosić kapeluszy.

- Dzięki tobie. - Miała ochotę go pocałować, ale i bez tego jej oczy mu powiedziały, to co chciał wiedzieć. Marie zdała sobie sprawę, że w czasie podróży za nim tęskniła. Był teraz dla niej kimś innym. Od dzisiejszego ranka z lekarza przekształci się w przyjaciela, a może nawet w kogoś innego, jeśli ona na to pozwoli. Jeszcze nie podjęli żadnych decyzji, chociaż Peter nie raz mówił, że ją kocha. Marie wciąż nie mogła się zdecydować, a on nie ponaglał. - Tęskniłam za tobą - powiedziała. Dotknęła jego ramienia, usiadła na dobrze znanym jej krzeselku, zamknęła oczy i czekała.

Przez moment patrzył na nią, a potem jak zwykle usiadł przed nią na obrotowym stołku.

- Bardzo ci dzisiaj spieszno.

- A tobie by się nie śpieszyło po dwudziestu miesiącach?

- Doskonale to rozumiem, kochanie.

Usłyszała szcęk narzędzi na metalowej tacce i poczuła, jak od jej czoła odrywają się opatrunki. W miarę jak milimetr po milimetrze wyłaniała się spod nich twarz, Marie była coraz bardziej wolna. W końcu zniknęły ostatnie plastry i usłyszała dźwięk odsuwanego stołka.

- Możesz już otworzyć oczy, Marie. Obejrzyj się w lustrze.

Odbywała tę drogę już z tysiąc razy. Z początku po to, żeby zobaczyć mały fragment, obietnicę, zapowiedź ostatecznego efektu. Potem widziała coraz większe fragmenty układanki. Jednak dotychczas nie знаła oblicza Marie Adamson całkowicie wolnego od bandaży, szwów i jakichkolwiek śladów po operacji. Kiedy ostatni raz widziała swoją twarz zupełnie odsłoniętą, była to twarz Nancy McAllister.

- Idź, spójrz w lustro - ponaglił ją Peter.

To dziwne, ale ogarnął ją lekki strach. Mimo to wstała i podeszła do lustra. Kiedy zobaczyła swoje odbicie, uśmiechnęła się szeroko i cienka strużka łez spłynęła jej po policzkach. Peter stanął za nią w pewnej odległości. Chciał ją zostawić samą. Ta chwila należała tylko do niej.

- Boże, Peter! To jest piękne! Roześmiał się łagodnie.

- Żadne „to”, niemądra. Ty jesteś piękna. Przecież teraz to jesteś ty.

Skinęła tylko głową i odwróciła się do niego. Nie to było ważne, że pozbyła się ostatnich małych opatrunków, ale to, że wszystko dobiegło końca. Nareszcie stała się w pełni Marie.

- Och, Peter... - Nie mówiąc nic więcej podeszła i mocno go objęła. Stali tak długo, aż w końcu odsunął Marie od siebie i delikatnie otarł łzy z jej twarzy. - Widzisz, mam mokre policzki, ale się nie rozpuszczam - zażartowała.

- Wolno ci się teraz opalać, ale bez przesady. Możesz zrobić z resztą swojego życia co tylko zechcesz. Jaki będzie pierwszy punkt programu?

- Praca. - Zaśmiała się uradowana i usiadła na obrotowym stołku. Podwinęła kolana pod brodę i zakreśliła się wkoło.

- Ona zaraz złamie sobie nogę w moim gabinecie! Tylko tego mi brakowało.

- Nawet jeśli coś sobie złamię, to i tak stąd wyjdę. Muszę dzisiaj uczcić nowe życie.

- Z radością to słyszę.

Fredowi też udzielił się radosny nastrój. Podskoczył, machnął ogonem i zaszczekał, jakby wiedział, o czym rozmawiają. Roześmiali się oboje, a Peter poklepał psa po głowie.

- Czy nadal jesteśmy umówieni na lunch? - spytała.

Marie wzruszył zaniepokojony wyraz jego oczu. Wiedziała, że również czuje się nieco osamotniony i zagrożony. Czy ona nadal zechce się z nim widywać, kiedy już go nie potrzebuje? Wyglądał tak bezbrinnie. Wyciągnęła do niego rękę.

- Oczywiście, że jesteśmy umówieni. Peter... - Spojrzała mu głęboko w oczy. - W moim życiu zawsze będzie miejsce dla ciebie. Zawsze. Mam nadzieję, że to wiesz. Tylko dzięki tobie w ogóle mam jakieś życie.

- Nie. To zawdzięczasz komuś innemu. - Marion Hillyard. Nie powiedział tego głośno,

wiedząc że dziewczynie niemiły jest sam dźwięk tego nazwiska. Nie wiedział, dlaczego Marie tak na nie reaguje, ale postanowił załagodzić drażliwy temat. - Cieszę się, że ci pomogłem. Zawsze możesz na mnie liczyć, jeśli kiedykolwiek... będę ci do czegoś potrzebny.

- Świetnie. W takim razie liczę na to, że spotkamy się o wpół do pierwszej. - Miała już dość tej poważnej rozmowy. Wstała i włożyła futro. - Gdzie się spotkamy?

Zaproponował nową restaurację w dzielnicy portowej, skąd mogli obserwować pływające po zatoce holowniki, promy i tankowce oraz wyrastające w oddali wzgórza Berkeley.

- Podoba ci się ten pomysł?

- Wspaniały. Pewnie do tego czasu pokręcę się po nabrzeżu i zrobię trochę zdjęć.

- Byłbym rozczarowany, gdybyś postanowiła robić coś innego.

Z niskim ukłonem otworzył przed nią drzwi gabinetu. Puściła do niego oczko i wyszła, ale nie skierowała się do dzielnicy portowej. Najpierw wstąpiła do sklepu. Nagle zapragnęła kupić sobie jakąś oszałamiającą kreację na spotkanie z Peterem. To był najważniejszy dzień w jej życiu i chciała się nim napawać do samego końca. W taksówce zerknęła na książeczkę czekową. Cieszyła się, że przed Świętami zarobiła trochę pieniędzy, sprzedając niektóre ze swoich prac. Dzięki nim mogła sobie pozwolić na jakiś kosztowny strój dla siebie i prezent dla Petera.

Znalazła jasnobeżową kaszmirową suknię, która oszałamiająco opinała jej figurę pod futrem. Poszła też do fryzjera i ułożyła włosy. Po raz pierwszy od lat kazała je zaczesać do tyłu, odsłaniając całą twarz. Kupiła wielkie złote kolczyki w stoisku z dodatkami i naszyjnik w kształcie złotej muszli zawieszony na beżowym jedwabnym sznurze. Potem sprawiła sobie jeszcze buty z beżowego zamszu, torbę i perfumy, które zawsze bardzo jej się podobały. Teraz była gotowa na lunch z Peterem Gregsonem. Albo z kimś innym. Taka kobieta jak ona każdemu mężczyźnie mogła zawrócić w głowie.

W końcu poszła do sklepu Shreve'a, gdzie, jakby na zamówienie, znalazła to, co chciała mu kupić, chociaż nie miała pojęcia, czy coś takiego w ogóle gdzieś sprzedają. Była to mała złota koperta do zegarka, zrobiona w kształcie twarzy. Wiedziała, że Peter od czasu do czasu nosi kieszonkowy zegarek i bardzo go lubi. Później każe wygrawerować na kopercie datę, ale na razie da mu prezent bez napisu. Z zapakowanym ozdobnie podarkiem wsiadła do taksówki i przybyła do restauracji, kiedy Peter właśnie siadał za stołem. Miała wrażenie, że zaraz pęknie z radości, kiedy zobaczyła, jaką minę zrobił na jej widok. Inni mężczyźni na sali też spoglądali na nią z uznaniem, ale żaden nie patrzył z taką czułością, jak Peter Gregson.

- Czy to naprawdę ty?

- Kopciuszek we własnej osobie. Podoba ci się?

- Czy mi się podoba? Jestem zachwycony. Co robiłaś przez te parę godzin? Biegałaś po

sklepach?

- Oczywiście. To niezwykle dzień.

Przy niej doznawał uczuć, których już od dawna zupełnie się nie spodziewał. Miał ochotę ją pocałować, zaraz, tutaj w restauracji. Jednak tylko mocno ścisnął jej dłoń i uśmiechnął się.

- Cieszę się, że jesteś taka szczęśliwa, kochanie.

- Jestem. Ale nie tylko z powodu twarzy. Jutro jest pierwszy dzień mojej wystawy. Mam pracę, nowe życie i... i ciebie. - Ostatnie słowo wypowiedziała cichym, łagodnym głosem.

Ta chwila tak wiele dla niego znaczyła, że potrafił tylko zdobyć się na żart.

- A więc zajmuję dopiero trzecią pozycję, tak? Ciekawe, gdzie znajduje się Fred. Oboje wybuchnęli śmiechem. Peter zamówił dwie Bloody Mary, ale zaraz doszedł do wniosku, że odpowiedniejszy będzie szampan, i zmienił zamówienie.

- Szampan? Coś podobnego!

- Dlaczego nie? Na dziś już zamknąłem gabinet. Jestem całkowicie do twojej dyspozycji, chyba że... - Wcześniej nie przyszło mu to do głowy. - Chyba że masz inne plany.

- A co miałabym robić?

- Na przykład pracować - odparł zakłopotany.

- Co za niedorzeczny pomysł. Zabawmy się dzisiaj razem.

- Na co miałabyś największą ochotę? - zapytał uradowany.

Zastanawiała się przez chwilę, ale nic nie przychodziło jej na myśl. Nagle spojrzała na Petera z szerokim uśmiechem.

- Pojedźmy na plażę.

- W styczniu?

- Jasne. Przecież to Kalifornia, a nie Vermont. Moglibyśmy pojechać do Stinson i pójść na spacer.

- Dobrze. Muszę przyznać, że łatwo sprawić ci przyjemność.

Wspólne spacerowanie po plaży traktowała jako coś specjalnego i właśnie w trakcie takiego spaceru zamierzała dać mu prezent. Bała się, że nie wytrzyma do tego czasu. Jednak udało jej się. Zaczekała do późnego popołudnia, kiedy już szli ręką w rękę nad brzegiem oceanu. Futro chroniło ją przed podmuchami chłodnego wiatru i wilgotną mgłą.

- Mam coś dla ciebie, Peter. - Zatrzymali się. Spojrzał na nią zdziwiony, nie rozumiejąc, o co chodzi. Wyjęła niewielkie, ozdobnie zapakowane pudełeczko. - Coś na tym wygraweruję, jeśli ci się spodoba.

- Marię, naprawdę nie powinnaś. Nie chciałem... - Wzruszony i zmieszany otworzył pudełko. Kiedy zobaczył piękną złotą kopertę, zachwycił się. Ciasno otoczył Marie ramieniem. -

Dlaczego kupujesz mi prezenty? -zganil ją łagodnie.

- Może dlatego, że jesteś taki niemądry i nigdy nic dla mnie nie zrobiłeś.

Roześmiał się, widząc figlarny błysk w jej oczach. Objął ją i długo, czule pocałował. Ten pocałunek wyraził wszystkie jego uczucia. Tym razem ona również go pocałowała.

- Może już wrócimy? - odezwał się po kilku minutach.

W milczeniu skinęła głową i poszła za nim do samochodu. Nie miała takiej smutnej miny jak on. Kiedy dojechali pod jej dom, zwróciła się do niego z uśmiechem: - Mam dla ciebie jeszcze coś. Jeśli się nie śpieszysz, to zapraszam cię na górę.

- Jesteś pewna?

- Jak najbardziej.

W ciszy weszli po schodach. Otworzyła drzwi do mieszkania, ale nie włączyła światła. Poszła prosto do salonu, odwróciła sztalugi od okna i dopiero wtedy zapaliła lampę. W jej świetle Peter zobaczył krajobraz z siedzącym na drzewie chłopcem, którego częściowo zasłaniały liście. Skończyła ten obraz tuż przed wyjazdem, ale chciała mu go dać w taki dzień, jak ten. Peters spojrzał na nią nic nie rozumiejąc.

- To dla ciebie. Zaczęłam go malować dawno temu, a teraz dokończyłam specjalnie dla ciebie.

- Och, kochana... - Podszedł do obrazu. Oczy mu błyszczały, a twarz przybrała łagodny wyraz. Nie mógł uwierzyć, że zrobiła to specjalnie dla niego. Ten dzień był pełen niespodzianek i burzliwych emocji, dla obojga. - Nie mogę go przyjąć. I tak mam już tyle twoich prac. Wszystko mi oddajesz. W końcu nic ci nie zostanie na wystawę.

- Masz tylko fotografie. To co innego. Ten obraz jest znakiem mojego odrodzenia. Po raz pierwszy znowu zaczęłam malować. Kiedyś... kiedyś wiele dla mnie znaczył. Chcę, żebyś go zatrzymał. Proszę. - W oczach Marie pojawiły się łzy. Peter zbliżył się do niej i wziął ją w ramiona.

- Bardzo ci dziękuję. To wspaniały obraz. Nie wiem, co powiedzieć. Jesteś dla mnie taka dobra.

- Nic nie musisz mówić - wyszeptała. Za oknem zapadał zmierzch, a z oddali dochodził cichy odgłos syren statków.

-

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kochanie! Proszę, zapnij mi suwak. - Odwróciła się do niego plecami.

- Wolałbym go raczej odpiąć.

- Ależ, Peter! - Spojrzała na niego ostrzegawczo i roześmiali się chórem. Miał na sobie smoking, a ona właśnie włożyła pięknie skrojoną czarną suknię o zwężających się przy nadgarstku rękawach i obcisłej talii. Przez materiał lekko prześwitywał zarys jej ciała. Suknia prezentowała się wspaniale i Peter patrzył na Marie z zachwytem.

- Przykro mi to mówić, ale nikt nie będzie patrzył na twoje prace, tylko na ciebie.

- Tak myślisz?

Rozbawiło go jej niedowierzanie. Poprawił krawat, dopasowany kolorem do niebieskiej koszuli. Peter i Marie stanowili wyjątkowo piękną parę.

- Czy w galerii wszystko zawieszono tak, jak chciałaś? Nie miałem okazji cię o to zapytać. - Kiedy się obudził o ósmej rano, ona już wyszła.

Teraz z uśmiechem patrzyła, jak Peter kończy się ubierać.

- Tak. Wszystko jest tak, jak trzeba. Dzięki tobie. Mam wrażenie, że im zagroziłeś, że się z nimi policzysz, jeśli nie postąpią według moich wskazówek. Ty albo Jacques.

- Właściciel galerii od wielu lat był jednym z najbliższych przyjaciół Petera. - Czuję się jak prawdziwa rozpieszczana artystka.

- Właśnie tak powinnaś się czuć. Twoja wystawa odniesie wielki sukces, kochanie. Sama się przekonasz.

Nie mylił się. Następnego dnia ukazały się w gazetach wyjątkowo pochlebne recenzje. Siedzieli w jej mieszkaniu przy porannej kawie i z radosnymi uśmiechami przeglądali prasę.

- A nie mówiłem? - Peter był najwyraźniej bardziej usatysfakcjonowany niż Marie. - Zostałaś gwiazdą.

- Zwariowałaś. - Usadowiła się na jego kolanach i zmięła gazetę.

- Tylko poczekaj. Założę się, że w ciągu tego tygodnia zadzwoni do ciebie każdy liczący się w tym kraju agent.

- Kochanie, chyba zupełnie oszalałeś.

Jednak Peter był bardzo bliski prawdy. Dzwonili do niej nawet z Los Angeles i Chicago. Jeszcze w pełni tego nie rozumiała, ale cieszyła się sukcesem. Każdy z tych telefonów trochę ją bawił, aż do czasu, kiedy zadzwonił Ben Avery. To było w czwartek po południu, kiedy wywoływała w ciemni nowe filmy. Usłyszała dzwonek, wytarła ręce i poszła do kuchni. Spodziewała się, że to Peter. Miał zadzwonić, żeby się z nią umówić na wieczór. Tego dnia miał

jakieś ważne spotkanie. Marie nie nudziła się jednak - w ciemni czekało na nią wiele pracy. Po wystawie nie mogła się opędzić od zamówień.

- Słucham?

- Czy to pani Adamson?

- Tak. - Nie rozpoznała głosu i przeznaczony dla Petera uśmiech przygasł na jej twarzy.

- Nie jestem pewien, czy poznaliśmy się osobiście, ale kiedy ostatnio byłem w San Francisco, spotkałem pewną panią Adamson. Robiłem wtedy świąteczne zakupy... Kupiłem torby podróżne i... - Marie przez długą chwilę nie odpowiadała; poczuł się jak ostatni osioł. A więc to Ben. Cholera. Jak ją odnalazł? I po co?

- Czy to była pani? Kusiło ją, żeby zaprzeczyć, ale po co kłamać?

- Zdaje się, że to byłem ja.

- Świetnie. Przynajmniej znamy się osobiście. Dzwonię, ponieważ widziałem pani prace w galerii Montpelier, na Post Street. Zrobiły na mnie wielkie wrażenie, tak samo jak na mojej współpracownicy, Wendy Townsend.

Marie zacięła się. Czy to ta dziewczyna, dla której kupował prezent? Czują, że nie powinna o to pytać. Westchnęła i usiadła.

- Cieszę się, że się panu spodobały, panie Avery.

- Zapamiętała pani, jak się nazywam! O, Chryste!

- Mam dobrą pamięć do nazwisk.

- Zazdroszczę pani. Moja pamięć przypomina sito, co w moim zawodzie jest wielką wadą. W każdym razie, bardzo chciałbym się z panią spotkać i podyskutować o pani pracach.

- W jakim celu? - O czym tu, u diabła, dyskutować?

- Budujemy właśnie centrum medyczne w San Francisco. To olbrzymie przedsięwzięcie. Chcemy wykorzystać pani fotografie w każdym budynku, jako temat przewodni wystroju wnętrza. Jeszcze nie zrobiliśmy szczegółowych projektów, ale jesteśmy pewni, że podobają się nam pani dzieła. Chcielibyśmy to z pa nią omówić. To mógłby być punkt zwrotny w pani karierze. - Powiedział to z olbrzymią dumą i wyraźnie czekał, aż z jej strony padną słowa zachwyty lub okrzyki entuzjazmu. Zupełnie nie był przygotowany na to, co usłyszał.

- Rozumiem. A jaką firmę pan reprezentuje? - Czekala na odpowiedź wstrzymując oddech, chociaż już wiedziała, czego się spodziewać.

- Cotter-Hillyard z Nowego Jorku.

- Cóż, dziękuję, panie Avery, ale to nie jest zadanie dla mnie.

- Dlaczego nie? - zapytał ogłuszony. - Nie rozumiem.

- Nie chcę wdawać się w żadne tłumaczenia. To mnie po prostu nie interesuje.



- Może się spotkamy i przedyskutujemy to osobiście?

- Nie.

- Ale ja już rozmawiałem z...

- Odpowiedź brzmi nie. Dziękuję za telefon. - Spokojnie odłożyła słuchawkę i poszła z powrotem do ciemni. Nie będzie z nimi współpracowała. Tylko tego brakowało! Skończyła z Michaeliem Hillyardem. Nie chciał jej za żonę, a teraz ona go nie chce jako pracodawcy. W ogóle nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Telefon znowu zadzwonił, zanim zamknęła drzwi do ciemni. Spodziewała się, że to znowu Ben, i chciała ostatecznie zakończyć tę sprawę. Wróciła do telefonu i krzyknęła w słuchawkę: - Odpowiedź brzmi nie. Już mówiłam.

Jednak tym razem głos rozmówcy nie należał do Bena, tylko do Petera.

- Dobry Boże, co ja takiego zrobiłem? - zapytał ze śmiechem, chociaż był trochę oszołomiony niespodziewanym powitaniem. Marie rozluźniła się.

- Och, przepraszam. Przed chwilą ktoś do mnie zadzwonił z bardzo irytującą propozycją.

- Czy to ma związek z wystawą?

- Mniej więcej.

- Ludzie z galerii nie powinni dawać twojego telefonu byle komu. Przecież sami mogą odbierać wiadomości - powiedział zdenerwowanym głosem.

- Chyba zasugeruję to Jacquesowi.

Myśl, że jakiś wariat dzwoni do Marie, wytrąciła Petera z równowagi.

- Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest. - Jednak słyszał, że i ona się zdenerwowała.

- Przyjadę do ciebie za godzinę. Do tego czasu nie odbieraj żadnych telefonów. Potem ja się tym zajmę.

Zamienili jeszcze parę słów i rozłączyli się. Marie czuła się winna, że nie powiedziała Peterowi prawdy o tym telefonie. Ben Avery nie był wariatem, po prostu pracował dla Michaela Hillyarda. Nie chciała wyjawiać Peterowi, że właśnie to tak bardzo wytrąciło ją z równowagi. Nie musiał wiedzieć, że ten temat nadal jest dla niej tak bolesny. Poza tym z dnia na dzień coraz mniej myślała o Michaelu. Na szczęście Ben nie zatelefonował już tego dnia. Zaczekał do następnego ranka i zaskoczył ją, kiedy wychodziła do pracy.

- Dzień dobry, pani Adamson. Tu jeszcze raz Ben Avery.

- Myślałam, że wczoraj już wszystko wyjaśniłam. Ta propozycja mnie nie interesuje.

- Ale przecież nawet pani dokładnie nie wie, o co chodzi. Może umówimy się we trójkę na lunch; pani, moja współpracownica i ja? Przecież rozmowa nikomu nie zaszkodzi, prawda? O, tak,

Ben. Nawet rozmowa może zaszkodzić.

- Przykro mi, jestem zajęta. - Nie ustąpi ani na krok.

W pokoju hotelowym, Ben znacząco spojrział na Wendy. Sprawa wyglądała beznadziejnie. W dodatku nie rozumiał, dlaczego. Co ta dziewczyna ma przeciwko firmie Cotter-Hillyard? To nie miało żadnego sensu.

- Może jutro? Słuchaj, Ben... to znaczy, panie Avery. Nie spotkam się z panem. Nie jestem tym zainteresowana i nie chcę o tym rozmawiać ani z panem, ani z pana współpracownicą, ani z nikim innym. Czy wyraziłam się jasno?

- Niestety, tak. Ale wydaje mi się, że popełnia pani wielki błąd. Gdyby pani miała agenta, powiedziałby pani to samo.

- Nie mam agenta i nie muszę słuchać niczyich rad.

- To błąd. Będziemy z panią w kontakcie.

- Miło mi, że tak panu na tym zależy, ale proszę sobie więcej nie zadawać trudu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Był mroźny lutowy dzień i Ben kulił się w płaszczu jak żółw, biegnąc z metra do biura przy Park Avenue. Wieczorem zacznie padać śnieg - czuł to w powietrzu. Wydawało się, że dopiero przed chwilą weszło słońce. Jeszcze nie minęła ósma, ale Ben miał tego dnia mnóstwo pracy. Pierwszy raz szedł do biura po powrocie z San Francisco, a o dziesiątej trzydzieści miało się odbyć ważne zebranie z udziałem Marion. Przywoził jej raczej dobre wieści.

W holu budynku już kręcili się ludzie, a winda była niemal pełna. Nawet o tej godzinie w świecie interesów wrzało życie. Po wolniejszym tempie San Francisco i Los Angeles, powrót do Nowego Jorku jest szokiem. W Mekce biznesu ludzie wcześniej zaczynają pracę, ale na jego piętrze nie było jeszcze nikogo. Długim, wykładanym brązowym dywanem korytarzem szedł do biura, które wyznaczyła mu Marion, kiedy zgłosił się do pracy. Nie było tak imponujące jak gabinet Mike'a, ale również ładnie urządzone. Marion nie szczędziła pieniędzy na wystrój siedziby firmy Cotter-Hillyard.

Ben zdjął płaszcz, zerknął na zegarek i przez chwilę dla rozgrzewki zacierał ręce. Nie mógł się przyzwyczać do zimnych wiatrów i chłodnej wilgoci Nowego Jorku. Czasami wydawało mu się, że nigdy się nie rozgrzeje, i zastanawiał się, dlaczego godzi się tu mieszkać, skoro istnieją takie miasta jak San Francisco, gdzie ludzie cały rok cieszą się bajkowo łagodnym klimatem. Nawet w biurze panowało lodowate zimno. Nie miał jednak czasu do stracenia. Wysypał zawartość teczki na biurko i zaczął przeglądać dokumenty i raporty. Wszystko poszło doskonale. Z jednym niewielkim wyjątkiem. Ale może i to da się naprawić. Znowu zerknął na zegarek, zamyślił się i postanowił zaryzykować. Sukces będzie pełny, jeśli zjawi się na zebraniu przynosząc i tę dobrą nowinę.

Ben przywiózł ze sobą odbitki zdjęć Marie Adamson. Kupił je w galerii. Był jednak pewien, że to opłacalna inwestycja. Kiedy Marion i Michael zobaczą styl tej dziewczyny i wysoki poziom jej prac, pewnie sama Marion ruszy do ataku i namówi ją do podpisania umowy. Ben uśmiechnął się na tę myśl, która zapewne przyprawiłaby Marie o dreszcze.

Wykręcił jej numer i zaczął czekać. Wiedział, że to szaleńczy pomysł. W San Francisco było piętnaście po piątej, ale może jeśli wyrwie ją ze snu...

- Halo? - Głos był niewyraźny i zaspany.

- Bardzo przepraszam, pani Adamson, że dzwonię tak wcześnie. Tu Ben Avery, z Nowego Jorku. Zaraz mam spotkanie z szefową naszej firmy i bardzo chciałbym jej powiedzieć, że zgadza się pani na współpracę z nami. Pomyślałem sobie... - Wiedział już, że się pomylił. Poznał to po ciszy, jaka zaległa na drugim końcu linii telefonicznej. Nagle usłyszał zdenerwowany głos dziewczyny.

- O piątej nad ranem? Dzwoni pan do mnie tak wcześnie, żeby mi opowiadać o spotkaniu z... O co tutaj chodzi? Przecież już panu odmówiłam, prawda? Co jeszcze, do cholery, mam zrobić? Zastrzec numer telefonu?

Słuchając dziewczyny Ben zamknął oczy, częściowo ze zmieszania, a częściowo z innego powodu. Ten głos. To dziwne. Nie wiedział dlaczego, ale wydał mu się znajomy, jakby nie należał do Marie Adamson. Brzmiał wyżej, młodziej, zupełnie inaczej. Poruszył w nim jakąś strunę pamięci. Kogoś mu przypominał. Nie potrafił sobie tego uzmysłowić.

- Czy do pana nic nie dociera?

Pełne gniewu słowa przywołały go do rzeczywistości. Rozmawiał z Marie Adamson, która nie była zadowolona z jego telefonu.

- Bardzo mi przykro. Wiedziałem, że to ryzykowne. Miałem nadzieję, że...

- Już powiedziałam „nie”. Nie będę więcej o tym rozmawiała. Nie mam zamiaru się nawet zastanawiać nad pana cholerną propozycją. Niech mnie pan zostawi w spokoju. - Z tymi słowami odwiesiła słuchawkę.

Ben siedział, patrząc na milczący telefon i uśmiechał się z zakłopotaniem.

- Trudno. Spieprzyłem to - powiedział do siebie. Nie zauważył, że Mike stoi w drzwiach, opierając się nie dbale o futrynę.

- Witaj w domu. Co już zdążyłeś spieprzyć? - Po twarzy Mike'a widać było, że się tym specjalnie nie przejął. Cieszył się, że przyjaciel wrócił do biura. Wszedł do środka i usiadł na jednym z wygodnych skórzanych foteli. - Miło cię znowu widzieć.

- Też się cieszę, że wróciłem, tylko strasznie tu zimno. Po San Francisco chyba nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

- W takim razie od dziś będziemy cię częściej wysyłać na południowy szlak, delikatna mimozo - odparł Mike z uśmiechem. - Z kim rozmawiałeś?

- Z kimś, kto jest łyżką dziegciu w tej beczce miodu, jaką była moja podróż na Zachodnie Wybrzeże. - Zdenerwowany przeczesał palcami włosy i opadł na oparcie fotela. - Wszystko poszło tak, jak chcieliśmy. Twoja matka wpadnie w ekstazę, kiedy przeczyta raporty. Z jednym wyjątkiem. To drobny problem, ale zależy mi na tym, żeby wszystko wypadło doskonale.

- Mam się zacząć martwić?

- Nie. Trochę mnie to wkurza. Znalazłem pewną dziewczynę, artystkę. Jest świetnym fotografikiem. Ma naprawdę wielki talent. To nie jakiś tam dzieciak, który dostał aparat na urodziny. Jest niezwykła. Widziałem jej prace na wystawie w San Francisco i chciałem pod pisać z nią kontrakt na wystrój korytarzy we wszystkich głównych budynkach. Wiesz, chodzi o ten motyw foto graficzny, który został zaakceptowany na ostatnim ze branii przed moim wyjazdem.

- I co dalej?

- Posłała mnie do diabła. Nie chce nawet o tym rozmawiać - wyjaśnił Ben z przygnębieniem.

- Dlaczego? To dla niej zbyt komercyjne zlecenie? - zapytał Mike obojętnie.

- Nie wiem, o co jej chodzi. Od pierwszej rozmowy jest na mnie wściekła. Nie widzę w tym żadnego sensu. Mike uśmiechał się z cynicznym rozbawieniem.

- Oczywiście, że to ma sens, mój naiwny przyjacielu. Chodzi jej o większe pieniądze. Wie, kim jesteśmy, i wymyśliła sobie, że jeśli ostro to rozegra, naciągnie nas na lepszy kontrakt. Naprawdę jest taka dobra?

- Wspaniała. Przywiozłem kilka jej prac. Spodobają ci się.

- W takim razie, być może dostanie to, co chce. Później pokażesz mi te zdjęcia. Chcę cię o coś zapytać.

- Mike nagle spowaźniał. Od kilku tygodni zamierzał porozmawiać o tym z Benem.

- Coś się stało? - Ben szybko zauważył zmianę na stroju przyjaciela.

- Nie. Właściwie to czuję się jak ostatni osioł, że cię o to pytam. To dowodzi, jak bardzo straciłem kontakt z bieżącymi wydarzeniami. Ale... czy jest coś między tobą a Wendy?

Zanim odpowiedział, Ben badawczo przyjrzał się twarzy Michaela. Zobaczył tam ciekawość, a nie gniew. Ben, rzecz jasna, wiedział, że Wendy romansowała z Michaeliem, ale nie było też tajemnicą, że Mike nigdy o nią nie dbał. Mimo to Ben czuł się dziwnie, kiedy zaczął się spotykać z byłą dziewczyną starego przyjaciela. Nigdy się to przedtem nie zdarzyło i nie był pewien, jak to przyjmie Mike. Prawda wyglądała tak, że bardzo się z Wendy kochali. Spędzili razem niewiarygodnie szczęśliwy miesiąc podczas podróży służbowej na Zachodnie Wybrzeże. Wendy żartobliwie nazywała ją ich miesiącem miodowym.

- No, Avery, co się dzieje? Nie odpowiedziałeś mi na pytanie. - Po jego twarzy błąkał się nikły uśmiech. Już znał odpowiedź.

- Głupio mi, że wcześniej ci o tym nie powiedziałem. Ale to prawda. Czy masz coś przeciw temu?

- Niby dlaczego? Ze wstydem przyznaję, że... nie bardzo się orientuję, co u ciebie słychać. Pewnie Wendy ci powiedziała, jaki byłem dla niej dobry.

W ostatnich słowach brzmiała gorycz, ale Ben odpowiedział łagodnym tonem.

- Nic mi o tobie nie mówiła, poza tym, że chyba nie jesteś szczęśliwy. A to raczej dla żadnego z nas nie jest zaskoczeniem, prawda? Mike w milczeniu potaknął.

- Nie odbiłem ci jej - zapewnił Ben. - Chcę, żebyś to wiedział. Przestaliście się spotykać już wcześniej. Prawdę mówiąc, podobała mi się od samego początku

- Tak właśnie podejrzewałem, kiedy ją zatrudniłeś. To bardzo miła dziewczyna. Nie zasługiwałem na nią. - Uśmiechnął się. - Ty też pewnie na nią nie zasługujesz. Zaraz, czekaj no! - W jego oczach zapaliły się łobuzerskie ogniki. - Czy to przypadkiem nie jest coś poważnego? Ben pokazał w uśmiechu wszystkie zęby i skinął głową.

- Chyba tak.

- Poważnie? Zamierzacie się pobrać? - zapytał oszołomiony. Gdzie on się dotychczas podziewał? Dlaczego nic nie zauważył? Oczywiście, Ben na miesiąc wyjechał, ale jednak... Od dwóch lat zupełnie nie zwracał uwagi na takie sprawy. - Coś podobnego. Avery się żeni! To już postanowione?

- Tego nie powiedziałem. Oboje o tym myślimy. Po wiedziałbym, że są na to duże szanse. Masz jakieś obiekcje? - Niezręczna chwila minęła.

- Nie mam żadnych obiekcji. - Mike potrząsnął z uśmiechem głową. - Czuję się tak, jakbym przegapił kilka stron powieści. A może po prostu zachowywaliście się wyjątkowo dyskretnie?

- Wcale nie. Po prostu byłeś bardzo zajęty. Zbyt dużo pracy przynosi sławę i pieniądze, ale nie pozwala ci śledzić biurowych plotek. - Ben tylko częściowo żartował, i Mike to wiedział.

- Mogłeś mi sam powiedzieć, ośle.

- Masz rację. Przepraszam. Zawiadomię cię, kiedy ustalimy termin. A tak przy okazji, czy zechcesz być moim... - Żałował, że w porę nie ugryzł się w język. Przecież w noc wypadku to on występował w roli świadka Michaela, a teraz chciał prosić, żeby Mike został jego świadkiem na ślubie. - Nieważne. Mamy jeszcze dużo czasu.

Mike wstał, skinął głową i uściśnął Benowi dłoń. W jego oczach znowu pojawił się mroczny cień. Dobrze wiedział, o co przyjaciel zamierzał go prosić.

- Gratuluję, stary. - Uśmiech na jego twarzy był szczery, ale w spojrzeniu wciąż czaił się ból. - Nie martw się tą artystką z San Francisco. Jeśli rzeczywiście jest taka dobra, jak mówisz, zaproponujemy jej dobre warunki i w końcu się podda. Po prostu bawi się z nami w kotka i myszkę.

- Obyś miał rację.

- Zaufaj mi. Wiem, co mówię.

Mike zasalutował i wyszedł, a Ben zastanawiał się nad jego słowami. Teraz, kiedy przyjaciel wszystko wiedział, czuł się lepiej. Wyrzucał sobie tylko bezmyślny brak taktu. Nawet po tak długim czasie każde wspomnienie o Nancy wywoływało w oczach Mike'a eksplozję bólu. Ta prośba wydawała się tak naturalna, że ani chwili się nad nią nie zastanowił. Z zalem potrząsnął głową i wrócił do pracy. Do zebrania została niecała godzina. Wydawało mu się, że upłynęło zaledwie kilka minut, kiedy do otwartych drzwi jego gabinetu zapukała Wendy i powitała go

uśmiechem.

- Pośpiesz się, Ben. Za pięć minut mamy być w biurze Marion.

- Już czas? - Nerwowo podniósł wzrok i z przyjemnością spojrzął na Wendy. To była dziewczyna, o jakiej zawsze marzył. - Wiesz, wszystko dzisiaj Mike'owi powiedziałem. - Wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Co takiego mu powiedziałeś? - Całą jej uwagę pochłaniało centrum medyczne w San Francisco i zebra nie z udziałem Marion. Każde spotkanie z tą boginią amerykańskiej architektury napawało ją niewysłowionym strachem.

- Powiedziałem mu o nas, niemądra. Zdaje się, że bardzo się ucieszył.

- Fajnie. - Tak naprawdę nic jej to nie obchodziło, ale wiedziała, że ma to znaczenie dla Bena. Mike był jej już całkiem obojętny. Nigdy mu na niej nie zależało i nawet kiedy byli razem, zawsze odbiegał myślami gdzieś daleko. Teraz czasami jej się zdawało, że między nimi nic się nie wydarzyło. - Gotowy?

- Mniej więcej. Dzisiaj rano jeszcze raz zadzwoniłem do tej Adamson. Posłała mnie do diabła.

- Szkoda.

Rozmawiali cicho, idąc do prywatnej windy, która dojeżdżała do wieży z kości słoniowej Marion na ostatnim piętrze. Wszystko tutaj miało piaskowy kolor, nawet wnętrze kabiny, której wszystkie ściany, sufit i podłogę obito miękką wykładziną. Jechali bezszelestnie w górę w tym kremowobeżowym kokonie. Dotarli wreszcie na piętro, gdzie mieścił się gabinet Marion, z którego roztaczał się imponujący widok. Dłonie Wendy, zaciśnięte na teczce z dokumentami, zwilgotniały. Marion Hillyard zawsze doprowadzała ją do takiego stanu, choćby była dla niej bardzo miła. Wendy wiedziała, co się kryje pod spokojnymi ruchami i uprzejmym wyrazem twarzy.

- Zdenerwowana? - zapytał szeptem Ben, kiedy do chodzili do błyszczących chromem, przeszklonych drzwi sali konferencyjnej.

- A jak myślisz?

Roześmiali się i cicho zajęli swoje miejsca w długim pomieszczeniu pełnym zieleni. Na jednej ścianie wisiał obraz Mary Cassat, na drugiej wczesny Picasso, a przed sobą widzieli cały Nowy Jork. Ten wspaniały widok z sześćdziesiątego piątego piętra zawsze przyprawiał Wendy o zawrót głowy. Gdyby nie panująca wokół cisza, można by pomyśleć, że znajdują się w samolocie. Cisza zawsze otaczała wszechwładną Marion.

Wokół długiego, pokrytego przydymionym szkłem stołu siedziały dwadzieścia dwie osoby, kiedy wreszcie pojawiła się Marion. Za nią kroczyli George, Michael i jej sekretarka, Ruth. Sekretarka niosła stos dokumentów. George i Mike zagłębili się w poważnej rozmowie. Marion

stopniowo przekazywała synowi ster firmy i sama się dziwiła, że sprawia jej to wielką ulgę.

Z nowo przybyłych tylko Marion przyjrzała się uważnie zgromadzonym, sprawdzając, czy wszyscy są obecni. Jej twarz miała taki sam piaskowy kolor jak ściany, ale Wendy doszła do wniosku, że to zwykła nowojorska bladość. Na Zachodnim Wybrzeżu przyzwyczaiła się do opalonych twarzy i po powrocie do zimowego Nowego Jorku ze zdziwieniem spostrzegła, że wszyscy są tu wręcz chorowicie bladzi.

Mimo to Marion wyglądała jak zwykle sztywnie. Miała na sobie czarną suknię z grubej wełny, zapewne od Givenchy'ego lub Diora. Jej czerń rozjaśniały tylko cztery sznury doskonale dobranych pereł. Paznokcie miała pomalowane ciemnym lakierem, a na twarzy prawie wcale nie widać było makijażu. Nawet Michael zauważył, że matka jest dzisiaj wyjątkowo blada. Pewnie pracowała nad tym projektem równie ciężko jak on, a w dodatku zajmowała się kilkoma innymi sprawami. Kontrolowała wszystko, co działo się w firmie. Po prostu taka już była. Michael wiernie ją naśladował. Marion podziwiała syna za to, że przez ostatnie dwa lata z takim oddaniem poświęcał się pracy. Właśnie dzięki takim ludziom utrzymywały się imperia, wysysając z nich całą krew i siły życiowe. Byli jak strażnicy świętego Graala.

Marion przemówiła pierwsza. Wzięła od Ruth jedną z teczek i zaczęła przepytować po kolei przedstawicieli różnych działów, omawiać problemy, które pojawiły się od ostatniego zebrania, i analizować propozycje ich rozwiązania. Wszystko szło gładko, dopóki nie dotarła do Bena, ale nawet tu z początku była bardzo zadowolona z tego, co usłyszała. Ben i Wendy złożyli raport z podróży do San Francisco, opisali rezultaty spotkań z kontrahentami i postępy w budowie. Marion zerknęła na leżącą przed nią listę i zadowolona spojrzała na syna. Projekt w San Francisco wspaniale się rozwijał.

- Mamy tylko jeden problem. - Ben powiedział to trochę za cicho i Marion natychmiast zwróciła na niego wzrok.

- Tak? Cóż to za problem?

- Chodzi o tę artystkę, fotograficzkę. Jej prace bardzo nam się podobają. Chcieliśmy z nią przedyskutować zawarcie kontraktu na wystrój korytarzy w głównych budynkach, ale ona nie chce z nami rozmawiać.

- Co to ma znaczyć? - Marion wyraźnie nie była zadowolona.

- Nie chce rozmawiać, i już. Kiedy się dowiedziała, po co dzwonię, nieomal rzuciła słuchawkę. Marion pytająco uniosła brew.

- Czy wiedziała, kogo reprezentujesz?

Jakby to mogło wszystko zmienić. Michael stłumił uśmiech, tak samo jak Ben. Marion była tak dumna z firmy, że według niej każdy powinien się cieszyć, jeśli zechcą nawiązać z nim



współpracę.

- Wiedziała, ale to jej nie poruszyło. Powiedziałbym nawet, że jeszcze bardziej ją rozgniewało.

- Rozgniewało? - Po raz pierwszy tego ranka na policzkach Marion ukazały się rumieńce. Minę wciąż miała ponurą. Za kogo ta młoda artystka się uważa i dlaczego odrzuca taką wspaniałą propozycję?

- Może gniew to złe słowo. Chyba raczej się wystraszyła. - To nie była prawda, ale wolął tak powiedzieć, żeby uspokoić Marion.

Dwie czerwone plamy na jej policzkach zaczęły blednąć, ku wielkiej uldze zebranych, a zwłaszcza Bena.

- Warto się o nią starać? - spytała.

- Tak mi się wydaje. Przywieźliśmy kilka jej prac do obejrzenia. Mamy nadzieję, że pani też się spodoba.

- Skąd wzięliście te zdjęcia, jeśli nie chciała z wami rozmawiać o współpracy?

- Kupiliśmy je w galerii. Dość drogo kosztowały, ale jeśli ich nie wykorzystamy, z przyjemnością odkupiemy je od firmy. To bardzo dobre fotografie.

Wendy podeszła do ustawionego pod ścianą stolika i przyniosła dużą teczkę, z której wyjęła trzy kolorowe zdjęcia San Francisco. Jedno przedstawiało park i miało prostą kompozycję; widać było na nim starego człowieka na ławce, obserwującego zabawę grupy dzieci. Przy takich scenach łatwo popaść w sentymentalizm, ale autorce udało się tego uniknąć. Wspaniale oddawała nastrój chwili. Drugie zdjęcie przedstawiało sceny z nabrzeża. Barwny tłum nie odciągał uwagi od uśmiechniętego handlarza krewetek, dominującego na drugim planie. Na ostatniej fotografii uwieczniono panoramę San Francisco o zmierzchu. Miasto wyglądało na nim tak, jak chcieli je widzieć zarówno turyści, jak i stali mieszkańcy. Ben nic nie powiedział, tylko rozłożył fotografie i odsunął się. Zdjęcia były powiększone, więc każdy widział, że są doskonałe. Nawet Marion przez długą chwilę siedziała w ciszy. W końcu skinęła głową.

- Masz rację. Warto z nią podpisać umowę.

- Miło mi, że pani się zgadza.

- Co o tym sądzisz, Mike? - Zwróciła się do syna, ale on patrzył na zdjęcia, zatopiony w myślach. Było w nich coś, co przykuło jego uwagę. Ich tematyka i kompozycja wydały mu się znajome. Nie potrafił tego dokładnie opisać, ale te prace wprawiły go w nastrój zadumy, który chciał od siebie odegnąć. Nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, ale musiał się zgodzić, że są to wyjątkowe fotografie i na pewno wspaniale ozdobią każdy budynek firmowany przez Cotter-Hillyard.

- Tobie się też podobają? - nalegała Marion. Spojrzał na matkę i krótko skinął głową.

- Ben, jak przekonać tę artystkę? - Nie traciła ani chwili.

- Żałuję, ale nie wiem.

- Zapewne przez pieniądze. Co to za dziewczyna? Widziałeś ją?

- To dziwny zbieg okoliczności, ale spotkałem ją, kiedy poprzednim razem byłem w San Francisco. Jest wyjątkowo piękna, wręcz zjawiskowa. Można tylko patrzeć na nią z zachwytem. Robi wrażenie eleganckiej i milej, oczywiście, kiedy tego chce. Najwyraźniej ma talent. Kiedyś malowała, teraz zajęła się fotografią. Była kosztownie ubrana, więc chyba nie głoduje. Właściciel galerii mi powiedział, że ma jakiegoś opiekuna, starszego mężczyznę, zdaje się, że jakiegoś słynnego chirurga plastyka. W każdym razie nie potrzebuje pieniędzy. Wiem tylko tyle.

- W takim razie trzeba do niej dotrzeć jakoś inaczej.

- Marion nagle się zamyśliła równie głęboko jak syn. Przyszła jej do głowy szalona, nieprawdopodobna myśl. To byłby zdumiewający zbieg okoliczności... - Ile ona ma lat?

- Trudno powiedzieć. Kiedy ją widziałem, miała na głowie kapelusz z szerokim rondem, który zasłaniał jej twarz. Sam nie wiem. Dwadzieścia cztery, może dwadzieścia pięć. Najwyżej dwadzieścia sześć. Czy to ważne? - Nie rozumiał, do czego Marion zmierza.

- Po prostu byłem ciekawa. Coś ci powiem, Ben. Jestem pewna, że zrobiliście z Wendy co w waszej mocy, i możliwe, że nic nie przekona tej dziewczyny, ale chciałabym spróbować. Zostaw mi jej telefon, a ja sama się z nią skontaktuję. I tak w ciągu następnych trzech tygodni wybieram się do San Francisco. Może nie będzie jej tak łatwo odrzucić propozycji staruszki, jak młodego mężczyzny.

Ben uśmiechnął się słysząc określenie „staruszka”. To było ostatnie słowo, jakim można by opisać Marion. Twarda sztuka w średnim wieku, to bardziej odpowiednie. Marion nigdy nie zmieni się w wątłą babunię. Spoważniał, kiedy spojrzał na jej twarz. Z sekundy na sekundę robiła się bielsza i Benowi zaświtało w głowie, że szefowa źle się czuje. Jednak nie miał okazji o to zapytać, ani on, ani nikt inny. Marion wstała, wyraziła zadowolenie z udanego zebrania, wzięła od Bena telefon Marie Adamson i podziękowała wszystkim za przybycie. Z chwilą jej wyjścia spotkanie się skończyło. Po chwili zamknęły się za Marion i jej sekretarką obramowane mosiężną taśmą drzwi jej gabinetu. Reszta zgromadzonych wolno ruszyła do windy, omawiając postępy w pracach. Wszyscy byli zadowoleni i czuli ulgę, że szefowa nie miała żadnych zastrzeżeń. Zwykle coś wprawiało ją w zdenerwowanie, ale tego dnia zachowała się zadziwiająco łagodnie. Ben znów zaczął zastanawiać, czy nie jest chora. Wychodził z sali jako jeden z ostatnich. Wendy już dawno zjechała na dół. Nagle z prywatnego gabinetu Marion wybiegła Ruth i dała znak Michaelowi. Miała bardzo wystraszoną minę.

- Panie Hillyard! Pańska matka...

George zareagował pierwszy. Biegiem rzucił się do gabinetu, a za nim podążyli oszołomieni Mike i Ben. Kiedy znaleźli się w środku, George znów pierwszy wiedział, co robić. Znalazł tabletki, które szybko podał Marion ze szklanką wody, i z pomocą Mike'a ułożył ją na kanapie. Oddychała z trudem, a jej twarz przybrała zielonkawoszary odcień. Przez jedną straszną chwilę Michael bał się, że matka umiera. Łzy napłynęły mu do oczu. Podbiegł do telefonu, żeby wezwać doktora Wickfielda, ale zatrzymała go słabym ruchem ręki i odezwała się ledwie słyszalnym szeptem.

- Nie, Michael... Nie dzwoń... To mi się często zdarza...

Mike natychmiast spojrzał na George'a. To była dla niego nowina, ale chyba nie dla Callowaya, bo inaczej nie wiedziałby, gdzie znaleźć tabletki i co zrobić. Chryste. Na co jeszcze nie zwrócił uwagi przez te ostatnie miesiące? Matka leżała na kanapie, pobladła i drżąca. Zastanawiał się, co jej dolega. Wiedział, że odwiedza doktora Wickfielda, ale sądził, że to tylko dla kontroli stanu zdrowia, a nie z powodu dolegliwości. Teraz się przekonał, że jest bardzo chora. Flakonik tabletek, który George postawił na biurku, potwierdził jego obawy. To było lekarstwo na serce.

- Mamo... - Michael usiadł na krześle obok kanapy i wziął matkę za rękę. - Jak często to się zdarza? - Pobladł prawie tak samo jak ona.

Marion otworzyła oczy, uśmiechnęła się i spojrzała porozumiewawczo na George'a. On wiedział.

- Nie przejmuj się tym. - Mówiła nadal cicho, ale silniejszym głosem. - Nic mi nie jest.

- Nieprawda. Chcę, żebyś mi coś więcej o tym powie działa.

Ben nie był pewien, czy nie jest tu intruzem, ale nie miał zamiaru wychodzić. Oszołomiło go to, co zobaczył. Wielka Marion Hillyard w końcu okazała się ludzką istotą. Wyglądała teraz bezbrinnie i krucho, kiedy tak leżała w drogiej czarnej sukni, w której wyglądała jeszcze mizerniej. Jej policzki przybrały kolor białego płótna, ale oczy znowu powoli napępniały się życiem.

- Mamo... - Michael postanowił nie dawać za wygraną.

- Dobrze, kochanie. - Marion nabrała głęboko powietrza, wolno usiadła i opuściła stopy na podłogę. Spojrzała prosto w oczy jedyne go syna. - Mam kłopoty z sercem. Wiesz, że to mi dolega od lat.

- Ale przedtem nie było tak poważne.

- A teraz jest - stwierdziła zwięźle. - Może dożyję późnej starości, a może nie. Czas pokaże. Na razie pomagają mi te pigułki i jakoś daję sobie radę. Nic więcej nie mam do wyjaśnienia.

- Jak długo to trwa?

- Jakiś czas. Wicky zaczął się o mnie martwić dwa lata temu, ale w tym roku bardzo mi się

pogorszyło.

- W takim razie chcę, żebyś przeszła na emeryturę. - Wyglądał teraz jak uparte dziecko. - I to natychmiast.

Roześmiała się tylko i spojrzała na George'a. Ale tym razem widząc twarz współpracownika domyśliła się, że on też jest poważnie zaniepokojony.

- Nie ma mowy, kochanie. Zostanę w firmie, aż całkiem opadnę z sił. Mamy zbyt wiele pracy. Poza tym oszalałabym siedząc w domu. Co bym robiła całymi dniami? Oglądała seriale telewizyjne i czytała plotkarskie pisma?

- To dla ciebie całkiem odpowiednie zajęcie. - Wszyscy się roześmiali. - A może... - Spojrzał na matkę, a potem na George'a. - Może oboje byście przeszli na emeryturę, pobrali się i zaczęli dla odmiany cieszyć się życiem?

Po raz pierwszy Michael otwarcie przyznał, że wie, co George od dwudziestu lat czuje do jego matki. Calloway zaczerwienił się, ale widać było, że się nie zdenerwował.

- Michael! - Matka znowu była dawną Marion. - Wprawiliś George'a w zakłopotanie. - Dziwne, ale jej również ten pomysł nie oburzył ani nie zaszokował. - W każdym razie, nie ma mowy o emeryturze. Chora czy zdrowa, jestem na to zbyt młoda. Obawiam się, że jeszcze przez jakiś czas będziesz mnie musiał tu znosić.

Mike już wiedział, że przegrał tę bitwę. Ale nie zamierzał całkowicie ustępować.

- Wobec tego przestań chociaż podróżować. Bądź rozsądna. Nie musisz jechać do San Francisco. Sam się tym zajmę. Posiedź trochę w domu, zajmij się sobą.

Roześmiała się tylko i podeszła do biurka. Usiadła w fotelu, wciąż drżąca, zmęczona i blada. Wszyscy przyglądali się jej z głęboką troską.

- Nie rozczulajcie się już nade mną. Wolałabym, żebyście stąd wyszli. Wszyscy. Mam dużo pracy, czego o was, zdaje się, nie można powiedzieć.

- Mamo, zabiorę cię do domu. Przynajmniej dzisiaj.

- Syn popatrzył na nią wojowniczo. Marion potrząsnęła głową.

- Nigdzie nie jadę. Idź już, albo każę George'owi cię wyrzucić. - Ten pomysł rozbawił George'a. - Wyjdę wcześniej, ale jeszcze nie teraz. Dziękuję wam za troskę, i tak dalej. Ruth! - Wskazała drzwi i sekretarka posłusznie je otworzyła. Jedno za drugim, bezradni wyszli z gabinetu. Okazała się silniejsza niż oni wszyscy razem.

- Marion... - George z zatroskaną miną zatrzymał się w progu.

- Słucham? - Kiedy na niego patrzyła, rysy jej łagodniały.

- Naprawdę nie chcesz teraz pojechać do domu?

- Za chwilę. Skinął głową.

- Wrócę tu za pół godziny.

Uśmiechnęła się, ale nie mogła się już doczekać, kiedy George zamknie za sobą drzwi. Nie miała wątpliwości, co wywołało ten atak. Nie wolno jej się było niczym denerwować ani wzruszać. To jej bardzo przeszkadzało w codziennym życiu. Zerknęła na zegarek i wykręciła numer, który dał jej Ben. Telefon zadzwonił parę razy. Nie wiedziała, skąd czerpie tę pewność, ale nie miała wątpliwości, od chwili kiedy Ben opisał tę Marie Adamson. Postara się spotkać z tą dziewczyną podczas wizyty w San Francisco. Może wtedy przekona się ostatecznie, czy ma rację. A może zmiany będą zbyt wielkie? Zastanawiała się, czy będzie w stanie ją rozpoznać. W tej samej chwili ktoś odebrał telefon. Marion wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy i spokojnie przemówiła do słuchawki. Nikt by się nie domyślił, że pół godziny temu przeszła atak serca. Marion Hillyard, jak zwykle, całkowicie panowała nad sytuacją.

- Pani Adamson? Mówi Marion Hillyard, z Nowego Jorku.

Rozmowa była krótka, chłodna i niezręczna. Marion nadal do końca nie wiedziała, co myśleć, kiedy odłożyła słuchawkę. Ale już wkrótce się dowie. Dokładnie za trzy tygodnie. Umówiły się o czwartej, we wtorek po południu. Marion zapisała to sobie w kalendarzu. Potem usiadła wygodniej i zamknęła oczy. Możliwe, że spotkanie nic jej nie da, ale... chciała tej dziewczynie coś powiedzieć. Miała nadzieję, że dożyje do tej rozmowy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Zegar tykał nieustająco, kiedy siedziała w salonie apartamentu w hotelu Fairmont. Roztaczał się stąd wspaniały widok na zatokę i okręg Marin, ale Marion Hillyard nie interesowała się dzisiaj krajobrazami. Myślała o dziewczynie. Co się z nią działo? Jak wygląda? Czy Gregson rzeczywiście dokonał cudu, tak jak obiecywał dwa lata temu? Ben Avery w Marie Adamson dostrzegł tylko obcą dziewczynę. A czy Michael by ją rozpoznał? Czy zakochała się w kimś innym, czy tak samo jak jej syn zgorzkniała i zamknęła się w sobie? Znowu rozmyślała nad losem Michaela, czekając na tę dziewczynę, która być może okaże się ukochaną syna sprzed lat. A jeśli nie? To przecież mogła być po prostu jakaś miejscowa fotograficzka, która zwróciła uwagę Bena. Może się myli. Może...

Zakładała nerwowo nogę na nogę, a potem sięgnęła do torby po papierośnicę. Była nowa. Dostała ją od George'a na gwiazdkę. Z boku złotego wieczka wypisano ślicznymi szafirami inicjały Marion. Na chwilę zamknęła oczy i wyciągnęła się w fotelu. Czuła się całkiem wyczerpana. Rano przez parę godzin siedziała w samolocie. Powinna zrobić sobie dzień odpoczynku przed spotkaniem z tą dziewczyną, ale zbyt się niecierpliwiła. Nie chciała odkładać tej rozmowy. Musiała się dowiedzieć.

Jeszcze raz zerknęła na zegar na kominku. Minęła czwarta piętnaście. W Nowym Jorku jest kwadrans po siódmej. Michael pewnie jeszcze siedzi za biurkiem. Młody Avery chyba szaleje gdzieś z tą dziewczyną z działu projektów. Na myśl o tym zacisnęła usta. To nie jest poważny chłopak, taki jak Michael. Ale z drugiej strony... Westchnęła. Nie jest też nieszczęśliwy jak jej syn. Czy popełniła błąd? Czy dwa lata temu ogarnęło ją jakieś szaleństwo? Zbyt wiele od tej dziewczyny zażądała? Nie, chyba nie. To nie była odpowiednia dziewczyna dla Michaela. Za jakiś czas syn pewnie kogoś sobie znajdzie. Dlaczego by nie? Miał przecież wszystko, co się liczy: wygląd, pieniądze, stanowisko. Kiedyś zostanie prezesem jednej z największych firm w Ameryce. Nie brakowało mu siły, talentu, wrażliwości i uroku.

Na myśl o synu twarz jej złagodniała. Był taki dobry i silny... i taki samotny. Nie uszło to jej uwagi. Nawet od niej trzymał się na dystans. Po wypadku nigdy nie doszedł całkiem do siebie. Przynajmniej skończyło się picie i napady depresji. Zastąpiła je ponura, zjadła determinacja, którą widać było w jego oczach. Przypominał człowieka, który zbyt długo brnie przez pustynię, chcąc za wszelką cenę ocalić życie, tylko już nie pamięta, po co to robi. A przecież miał tyle powodów do radości, takie wspaniałe perspektywy. Nic jednak go nie cieszyło, chyba nawet praca, przynajmniej nie tak bardzo jak ją, jak jego ojca i dziadka. Czule pomyślała o mężu, a potem w jej myślach pojawił się George. Przez ostatnie lata był dla niej taki dobry. Bez niego nie potrafiłaby dalej

pracować. Kiedy tylko możliwe, zdejmował ciężar z jej ramion, zostawiał jej tylko najciekawsze problemy, twórczą pracę i zaszczyty. Wiedziała, że robi to bardzo często. Był to człowiek wielkiej siły i jeszcze większej skromności. Zastanawiała się, dlaczego kilkanaście lat wcześniej nie zwróciła uwagi na te jego zalety. Nigdy nie miała na to czasu. Od śmierci ojca Michaela nie interesowała się ani George'em, ani żadnym innym mężczyzną.

Może syn tak bardzo się od niej nie różnił. Dzwonek do drzwi nagle wyrwał ją z zamyślenia. Drgnęła, jakby na chwilę zapomniała, gdzie jest. Potem wszystko do niej wróciło. Spotkanie z tą dziewczyną. Było już dwadzieścia pięć po czwartej. Spóźniła się. W głębi duszy Marion się ucieszyła, że zyskała prawie pół godziny dla siebie. Przybrała dostojną minę i statecznie podeszła do drzwi. Wiedziała, że świetnie wygląda w granatowej jedwabnej sukni, ozdobionej czterema sznurami pereł. Wrażenia dopełniało staranne uczesanie, nieskazitelnie wypielęgnowane paznokcie i doskonały makijaż, w którym wyglądała na czterdzieści pięć, a nie na sześćdziesiąt lat. Za dwadzieścia lat też będzie piękna. Jeśli dożyje tego wieku. Dopilnuje, żeby zawsze wyglądać dobrze. Nic nie mogło pokonać Marion Hillyard, nawet czas. Pogratulowała sobie tego w duchu i otworzyła drzwi. Przed nią stała elegancka młoda kobieta z dużą teczką pod pachą.

- Pani Adamson?

- Tak. - Marie skinęła głową ze sztywnym, bladym uśmiechem. - Pani Hillyard? - zapytała, chociaż od razu wiedziała, że to ona. Tamtej nocy nie widziała tej kobiety, ponieważ bandaż przesłaniały jej oczy, ale знаła ją z fotografii w pokoju Michaela. Rozpoznałaby jego matkę nawet w ciemnym zaułku gdzieś na końcu świata. Ta kobieta od dwóch lat prześladowała ją w snach. Kiedyś się łudziła, że Marion zostanie jej matką i przyjaciółką. Skończyła z tymi mrzonkami.

- Dzień dobry. - Marion stanowczym ruchem wyciągnęła chłodną dłoń i przywitały się oficjalnie tuż za progiem. - Proszę do środka.

- Dziękuję.

Kobiety przyglądały się sobie czujnie i z zainteresowaniem. Marion usiadła w fotelu przy stoliku. Wcześniej zamówiła do apartamentu herbatę i zimne napoje dla gościa. Zastanawiała się, czy nie przesadza. Przecież i tak wydała już na tę dziewczynę prawie pół miliona dolarów. Jeśli to jest ta dziewczyna. Przyjrzała się jej uważnie, ale nie zauważyła nic niezwykłego. Nie spostrzegła żadnego podobieństwa do postaci z fotografii, które widywała u syna w dawnych latach. To nie jest ta sama dziewczyna. Przynajmniej tak się jej na razie zdawało. Usadowiła się wygodniej, żeby ją lepiej słyszeć i widzieć. Nigdy nie zapomni tego spazmatycznego, łamiącego się głosu, który tamtej nocy wydobywał się spod bandażu.

- Czego się pani napije? Herbaty? Lemoniady? Jeśli ma pani ochotę, zamówię coś mocniejszego.

- Nie, dziękuję. Wolę od razu... - Głos uwiązał jej w gardle.

Obserwowały się w napięciu, zapomniawszy o pretekście spotkania. Starsza kobieta oceniała młodszą, patrzyła, jak się porusza, przyglądała się jej fryzurze i przebiegała wzrokiem całą sylwetkę. Zobaczyła niezwykle piękną dziewczynę, elegancko i kosztownie ubraną. Marion przemknęło przez głowę pytanie, czy to jej pieniądze Marie wydaje na takie kreacje. Wełniana suknia z pewnością pochodziła z Paryża, a zamszowa torba i buty od Gucciego. Bezpretensjonalny beżowy trencz był podbity ciemnym futrem. Marion poznała, że to oposy.

- Bardzo ładny płaszcz. Na pewno jest bardzo ciepły, szczególnie w tym mieście. Zazdroszczę pani tutejszego łagodnego klimatu. Kiedy wylatywałam z Nowego Jorku, na ulicach leżało pół metra śniegu. - Uśmiechnęła się życzliwie. - A może raczej dziesięć centymetrów śniegu i trzydzieści centymetrów błota. Zna pani Nowy Jork?

Marie wiedziała, że to znaczące pytanie, ale mogła na nie szczerze odpowiedzieć. Mieszkała w Nowej Anglii, ale trochę czasu spędziła w Nowym Jorku. Gdyby potem śmiało spojrzała dziewczynie w oczy. - Tak, znam go, Nancy. Widzę, że ta praca wspaniale mu się udała. - To był ryzykowny strzał. Jednak musiała to powiedzieć, nawet gdyby miała się ośmieszyć. Tylko tak czegoś się wreszcie dowie.

- To jakieś nieporozumienie. Nazywam się Marie... - Nagle skurczyła się w sobie jak szmaciana lalka. Łzy napłynęły jej do oczu. Podeszła do okna i stanęła plecami do pokoju. - Skąd pani wie? - Jej głos był drżący i pełen gniewu. Taki sam, jak dwa lata temu.

Marion wygodniej usiadła w fotelu. Była znużona, ale ogarnęło ją poczucie ulgi. To, że się nie pomyliła, w jakiś sposób ją pocieszyło. Nie na darmo odbyła tę trudną podróż.

- Czy ktoś pani powiedział? - zapytała Marie.

- Nie. Odgadłam. Sama nie wiem, jak. Miałam prze czucie, już kiedy Ben opowiedział nam o tobie. Wszystkie szczegóły się zgadzały.

- A... - Cholera. Pragnęła ją zapytać o Michaela. Chciała... Czy już nigdy nie pozbędzie się go ze swojego życia? - Po co pani tu przyjechała? Żeby potwierdzić naszą umowę? - Odwróciła się i spojrzała na kobietę, która tak ją dręczyła. - Chce się pani upewnić, że dotrzymałam przyrzeczenia?

- Już to udowodniłaś. - Zmęczony głos Marion brzmiał łagodnie, ale wyjątkowo starczo. - Zresztą, nie po to przyjechałam. Sama tego nie rozumiem. Chyba chciałam cię zobaczyć i z tobą porozmawiać. Chciałam sprawdzić, jak ci się wiedzie i czy to rzeczywiście ty.

- Dlaczego właśnie teraz? Dlaczego po dwóch latach nagle stałam się dla pani taka interesująca? - W głosie Marie pojawił się jadowity ton, a w oczach rozblęsnęła nienawiść. Od wielu miesięcy marzyła, żeby ją z siebie wyrzucić. - A może była pani ciekawa, jak poszło doktorowi



Gregsonowi? O to chodzi? No i jak się pani podoba ta lalka za czterysta tysięcy dolarów? Warto było tyle wydać? Odpowie mi pani? Warto było? Jest pani zadowolona?

Marion miała nadzieję, że rzeczywiście było warto. Obie tak drogo zapłaciły za tę nową twarz. Nagle doszła do wniosku, że to był błąd. Teraz jednak jest za późno. Byli już innymi ludźmi. Widziała zmiany w tej dziewczynie równie wyraźnie, jak zmiany w charakterze Michaela. Dla tych dwojga było o wiele za późno. Gdzie indziej będą musieli poszukać spełnienia swoich marzeń.

- Jesteś teraz piękną dziewczyną, Marie.

- Dziękuję. Tak, wiem, że Peter zrobił kawał dobrej roboty. Ale mnie to przypomina układ z diabłem. Oddałam życie za twarz. - Marie westchnęła urywanie i opadła na fotel.

- A ja jestem tym diabłem - powiedziała Marion trzęsącym się głosem. - To pewnie okropne, że ci to mówię, ale wtedy mi się wydawało, że dobrze robię.

- A teraz? - Marie spojrzała jej prosto w oczy. - Czy Michael jest szczęśliwy? Warto było się mnie pozbyć, pani Hillyard? Odniosła pani sukces? - Miała ochotę ją uderzyć, rzucić się na nią i rozszarpać ją razem z tą elegancką suknią i perłami.

- Nie, Marie. Michael nie jest szczęśliwy, tak samo jak ty. Zawsze się pocieszałam, że w końcu dojdzie do siebie. Myślałam, że i tobie się to uda. Coś mi jednak mówi, że tak się nie stało, ale nie mam prawa o nic pytać.

- Nie ma pani. A Michael? Ożenił się? - Nienawidziła się za to, ale z całej duszy pragnęła usłyszeć „nie”.

- Tak, ożenił się. - Marie na chwilę zabrakło tchu w piersi. - Ożenił się ze swoją pracą. Oddycha i żyje wyłącznie pracą, jakby chciał się w niej całkiem zatracić. Prawie go nie widuję. Dobrze ci tak, suko!

- Może w takim razie postąpiła pani źle? Ja go kochałam. Bardziej niż cokolwiek pod słońcem. - Z wyjątkiem własnej twarzy. O, Boże...

- Wiem. Ale sądziłam, że to minie.

- I minęło?

- Być może. On nigdy o tobie nie mówi.

- Próbował mnie odszukać? Marion wolno potrząsnęła głową.

- Nie.

Nie wyjaśniła jednak, dlaczego. Nie powiedziała Marie, że Michael uważa ją za zmarłą. Ciężar kłamstwa ją przygniatał. Zobaczyła na twarzy dziewczyny nową falę nienawiści.

- Po co mnie pani tu wezwała? Dla zaspokojenia własnej ciekawości? Zęby obejrzeć moje prace? Dla czego?

- Sama nie wiem, Nancy. Przepraszam... Marie. Po prostu musiałam się z tobą spotkać, żeby

zobaczyć, jak ci się życie ułożyło. Ja... To chyba zabrzmi dość ckliwie, ale ja umieram. - Przez chwilę zrobiło jej się trochę żal samej siebie, ale zaraz ogarnęła ją złość. Niepotrzebnie wyznała to tej dziewczynie.

Jednak Marie nie wzruszyła się. Patrzyła na Marion przez długą chwilę, a potem odezwała się cichym, urywanym głosem.

- Przykro mi to słyszeć, pani Hillyard. Ale ja umarłam dwa lata temu. I zdaje się, że pani syn też wtedy zmarł. Więc jest nas już dwoje. To pani nas zabiła. Szczerze mówiąc, trudno mi się zdobyć na współczucie dla pani. Zdaje się, że powinnam okazać pani wdzięczność i podziękować z głębi serca, że mężczyźni się za mną oglądają, zamiast uciekać w przerażeniu. Może powinnam to odczuwać, ale nie potrafię. Nic do pani nie czuję, tylko mi pani żal. Zrujnowała pani życie syna, i dobrze pani o tym wie. Nie wspominając już o moim życiu. Marion w milczeniu skinęła głową. Oskarżenia dziewczyny raniły ją jak noże. Ale to była prawda. W głębi duszy znała ją od dwóch lat, przynajmniej jeśli chodzi o Michaela. Nie wiedziała, co się stało z dziewczyną. Może właśnie dlatego musiała tu przyjechać.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Wystarczy, że się pożegnamy. - Marie wzięła płaszcz, teczkę i podeszła do drzwi.

Zatrzymała się w progu, z ręką na gałce. Spuściła głowę, a łzy popłynęły jej po twarzy. Odwróciła się wolno i zobaczyła, że Marion też płacze. Starsza kobieta zaniemówiła, przesywał ją inny ból. Marie udało się złapać oddech i wydobyć z siebie głos.

- Żegnam panią, pani Hillyard. Proszę przekazać Michaelowi... wyrazy mojej miłości.

Zamknęła za sobą drzwi. Marion się nie poruszyła. Czuła w piersiach ból rozrywający płuca. Z trudem chwytając powietrze, na chwiejnych nogach podeszła do dzwonka na pokojówkę. Udało jej się go raz przycisnąć, zanim straciła przytomność.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kroki George'a dudniły głucho w szpitalnym korytarzu, kiedy niemal biegł do jej pokoju. Dlaczego się uparła, że pojedzie sama? Dlaczego nawet po tych wszystkich latach wciąż była taka uparta i niezależna? Cicho zapukał do drzwi. Otworzyła mu pielęgniarka i spojrzała na niego pytająco.

- Czy to pokój pani Hillyard? Jestem George Calloway. Wyglądał teraz jak zdenerwowany stary człowiek i tak właśnie się czuł. Miał tego wszystkiego dość. I zaraz jej to powie. Przed wyjazdem z Nowego Jorku właśnie to zapowiedział Michaelowi. Słyszac jego nazwisko, pielęgniarka uśmiechnęła się.

- Czekaliśmy na pana, panie Calloway. Marion przywieziono do szpitala o szóstej po południu. George przybył do San Francisco o jedenastej miejscowego czasu. Teraz minęła właśnie północ. Chyba nikt nie potrafiłby znaleźć się tu szybciej. Po uśmiechu, jakim go przywitała, widać było, że Marion to docenia. Pielęgniarka wpuściła George'a do sali i cicho wymknęła się na zewnątrz.

- Witaj, George.

- Witaj, Marion. Jak się czujesz?

- Jestem wyczerpana, ale żyję. Przynajmniej tak mi mówią. To był tylko mały atak.

- Tym razem. A jak będzie następnym?

Jak rozwścieczony lew krążył po pokoju, spoglądając na nią groźnie. Nawet nie pocałował jej na powitanie, chociaż zwykle to robił. Miał jej zbyt wiele do powiedzenia.

- Będziemy się tym martwić, kiedy to już nastąpi. Uspokój się i usiądź. Denerwujesz mnie. Zjesz coś? Powiedziała pielęgniarkom, żeby zostawiły dla ciebie kanapkę.

- Nie potrafiłbym nic przelknąć.

- Przestań. Nigdy się tak nie zachowujesz. Na miłość boską, to nie było nic poważnego.

- Nie mów mi, jak mam się zachowywać! Zbyt długo już patrzę, jak się sama niszczysz. Nie będę tego tolerował ani chwili dłużej.

- Odchodzisz? - Uśmiechnęła się szeroko. - Może po prostu przejdiesz na emeryturę?

Nagle cała ta scena ją rozbawiła, jednak wesołość natychmiast gdzieś zniknęła, kiedy Marion zobaczyła twardy wyraz twarzy George'a.

- Właśnie to zamierzam zrobić. Przechodzę na emeryturę.

Widziała, że mówi poważnie. Tylko tego jej było potrzeba.

- Nie żartuj. - Jednak tym razem wątpiła, czy zdoła go odwieść od tego pomysłu. Zdenerwowana usiadła na łóżku.

- Nie żartuję. To pierwsza inteligentna decyzja, jaką podjąłem od dwudziestu lat. I wiesz, kto jeszcze przechodzi na emeryturę? Ty, Marion. Oboje odejdziemy. Bez żadnego okresu wypowiedzenia. Rozmawiałem o tym z Michaeliem w drodze na lotnisko. Był tak miły, że mnie odwiózł. Prosił, żeby ci przekazać, że jest mu bardzo przykro, ale nie może przyjechać, bo w tej chwili jest zbyt zajęty. Bardzo mu się podobał pomysł, żebyśmy oboje przeszli na emeryturę. Ja to popieram. Właściwie żadnego z nas nie obchodzi, co ty o tym myślisz. Decyzja już została podjęta.

- Oszalałeś? - Spojrzała na niego piorunującym wzrokiem. - I czym miałabym się, według ciebie, zająć? Robieniem na drutach?

- To zupełnie niezły pomysł. Najpierw jednak wyjdiesz za mnie za męża. Potem będziesz robiła, co ci się spodoba. Z wyjątkiem pracy. - Groźnie podniósł głos. - Zrozumiałaś, Marion?

- Może przynajmniej poprosisz mnie o rękę? Czy po prostu oznajmiasz mi swoją decyzję albo postanowienie Michaela?

Mimo srogiego tonu widać było, że nie jest zła, lecz raczej wzruszona. Czowała ulgę. Miała już dosyć. Zdziałała już wystarczająco wiele, w złym i dobrym znaczeniu. Wreszcie to do niej dotarło. Uzmysłowało jej to spotkanie z Marie.

- Mamy błogosławieństwo twojego syna, jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie. - Podeszedł do niej, wziął ją za rękę i czule uściśnął. Mówił teraz łagodniejszym tonem. - Wyjdiesz za mnie, Marion? - Po tak długiej znajomości trochę się bał o to pytać. Wreszcie porozmawiał o tym z Michaeliem, kiedy zdenerwowany czekał na odlot samolotu. Michael powiedział mu coś dziwnego. Poradził mu, żeby „cieszyli się swoją miłością”. George nie bardzo rozumiał, o co mu chodzi, ale był wdzięczny za słowa zachęty. - Zgadzasz się? - Mocniej ścisnął jej rękę i czekał.

Wolno skinęła głową i uśmiechnęła się ciepłym, zmęczonym uśmiechem. W oczach miała jakiś żal.

- Powinniśmy to zrobić wiele lat temu, George. Chciała jeszcze coś mu powiedzieć... Nie była pewna, czy ma prawo... Nie po tym, jak...

- Myślałem o tym już od dawna, ale bałem się, że odmówisz.

- Pewnie bym odmówiła. Bywam taka niemądra. Och, George. - Z westchnieniem opadła na poduszki. - Zrobiłam w życiu tyle złych rzeczy. - Na jej twarzy nagle ukazał się ból, jaki czuła minionego dnia, połączony ze zmęczeniem. George patrzył na nią zaskoczony.

- Nie powinnaś tak mówić. Nie przypominam sobie, żebyś zrobiła coś złego, od kiedy cię znam. - Nadal obejmował jej rękę i czule ją gładził. Pragnął to zrobić już od wielu lat. - Nie dręcz się jakimiś bzdurami z przeszłości.

Marion znów usiadła sztywno na łóżku. Jej chłodna dłoń zeszywniała.

- A jeśli te, jak to nazwałeś, bzdury zniszczyły komuś życie? Czy mam prawo o tym

zapomnieć?

- Co takiego mogłaś zrobić, żeby zniszczyć czyjeś życie? - George obawiał się, że lekarz dał jej jakiś silny środek. A może to atak serca tak podziałał na jej umysł? To, co mówiła, nie miało sensu. Ułożyła się na poduszkach i zamknęła oczy.

- Nic nie rozumiesz.

- A powinienem? - Jego głos rozbrzmiewał łagodnie w mrocznym pokoju.

- Chyba tak. Może wtedy wcale, nie chciałbyś się ze mną ożenić.

- Mówisz głupstwa. Ale skoro tak uważasz, to chyba mam prawo wiedzieć, co cię dręczy. O co chodzi? - Nie wypuszczał jej dłoni z uścisku.

W końcu Marion otworzyła oczy. Zanim się odezwała, patrzyła na niego przez długą chwilę.

- Nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć.

- Dlaczego nie? Chyba nic nie jest w stanie mnie zszokować. Poza tym chyba i tak wiem o tobie wszystko. - Od lat nie było między nimi żadnych sekretów. - Zaczynam się obawiać, że ten atak trochę wytrącił cię z równowagi.

- Raczej wytrąciło mnie z równowagi to, że musiałam stanąć oko w oko z prawdą.

Nigdy jeszcze nie słyszał, żeby mówiła takim tonem. W jej oczach dostrzegł łzy. Chciał ją otoczyć ramieniem i pocieszyć, ale zrozumiał, że ma mu coś naprawdę ważnego do powiedzenia. Może przez te wszystkie lata prowadziła jakiś romans? Ta myśl go wzburzyła. Ale nawet z tym potrafiłby się pogodzić. Kochał ją, i to od dawna. Tak długo czekał na tę chwilę, że nie mógł pozwolić, żeby cokolwiek ją popsuło.

- Czy wydarzyło się coś szczególnego? - Obserwował ją z uwagą i czekał na odpowiedź.

Marion zamknęła oczy i milczała. Łzy spływały jej po policzkach. W końcu skinęła głową i wyszeptała: - Tak.

- Rozumiem. Teraz się odpręż. Nie denerwujmy się tym. - Ogarnął go niepokój. Nie chciał, żeby Marion dostała kolejnego ataku.

- Wiedziałam tę dziewczynę.

- Jaką dziewczynę? Na litość boską, o czym ona mówi?

- Dziewczynę, która kochała Michaela. - Łzy na chwilę przestały płynąć. Marion wyprostowała się i spojrzała przyjacielowi w oczy. - Pamiętasz tę noc, kiedy Michael miał wypadek? Przedtem przyjechał do Nowego Jorku, żeby się ze mną spotkać. Uciekł, kiedy wszedłeś. Był wściekły. Powiedział mi wtedy, że chce się z tą dziewczyną ożenić. A ja pokazałam mu ten... ten raport, który poleciłam o niej sporządzić. - Jej głos ucichł na chwilę, kiedy dokładnie przypomniała sobie tamten wieczór.

George patrzył na nią ze zmarszczonym czołem. Chyba jakieś lekarstwo zaburzyło tok jej myśli. To jedyne wyjaśnienie. Przecież tamta dziewczyna zmarła po wypadku.

- Marion, kochanie, nie mogłaś się spotkać z tą dziewczyną. O ile pamiętam, ona... ona zmarła.

Marion tylko potrząsnęła głową, nie spuszczać z niego wzroku.

- Nie, nie zmarła. Ja tak powiedziałam, Wicky też się nie zdradził, ale dziewczyna przeżyła. Miała zmasakrowaną twarz. Ocalały jedynie oczy.

George słuchał w skupieniu. Miał przed sobą zrozpaczoną, udręczoną Marion, ale nie było wątpliwości, że nie postradała zmysłów. Czuł, że mówi prawdę.

- Wtedy poszłam do niej i zaproponowałam jej układ...

Czekał na dalszy ciąg. Zamknęła oczy, jakby przeszył ją ból. Mocniej ścisnął jej rękę.

- Nic ci nie jest? Skinęła głową i uniosła powieki.

- Nic. Może kiedy wszystko ci opowiem, poczuję się lepiej. Zaproponowałam jej układ. Twarz w zamian za Michaela. Można by to pewnie ładniej wyrazić, ale wszystko sprowadzało się właśnie do tego. Wicky powie dział mi, że zna jedyne lekarza w tym kraju, który podjąłby się rekonstrukcji jej twarzy. Miało to kosztować majątek, ale ten chirurg potrafiłby to zrobić. Opowie działam jej o tym, obiecałam, że zapłacę za operację i jej utrzymanie do czasu zakończenia kuracji. Zaoferowałam jej nowe życie, życie, którego by nie miała, jeśli tylko się zgodzi nigdy więcej nie szukać kontaktu z Michaeliem.

- I zgodziła się?

- Tak - odparła Marion krótko i twardo.

- To znaczy, że nie kochała go zbyt głęboko. A ty postąpiłaś wyjątkowo szlachetnie, proponując jej opłacenie leczenia. Do diabła, gdyby rzeczywiście tak bardzo się kochali, żadne z nich nie zgodziłoby się na taki układ.

- Nic nie rozumiesz, George. - Mówiła teraz lodowatym tonem. Jednak to do siebie czuła gniew, nie do George'a. - Nie postąpiłam wobec nich uczciwie. Po wiedziałam Michaelowi, że jego dziewczyna nie żyje. Ona wiedziała, że Michael nigdy nie uzna warunków tego układu, i tylko dlatego się na wszystko zgodziła. Poza tym nie miała wielkiego wyboru. Nic jej nie zostało, oprócz mojej propozycji. Wciągnęłam ją, jak to dzisiaj określiła, w układ z diabłem. Dobrze wiesz, że Michael, gdyby znał prawdę, nigdy by się nie zgodził na taką umowę. Natychmiast by do tej dziewczyny wrócił.

- Przecież Michael jakoś to przeżył. Doszedł w końcu do siebie. Może teraz nic by już do siebie nie czuli. Gorączkowo szukał jakiegoś balsamu na rany Marion, ale musiał przyznać, że ta rana jest wyjątkowo bolesna.

- Na pewno bardzo trudno jej było z nią żyć. Sądziła, że działa w najlepiej pojętym interesie syna, ale zbyt ostro wtrąciła się w jego życie. - Pewnie teraz są już zupełnie innymi ludźmi. Może wcale by nie chcieli do siebie wrócić.

- - Zdaję sobie z tego sprawę - przyznała z westchnieniem. - Michael wpadł w obsesję na punkcie pracy. Nie znajduje czasu na miłość, czułość, na nic. Nic mu nie zostało. Wiem to lepiej niż ktokolwiek inny. A ona... - Z bólem przypomniała sobie rozmowę z dziewczyną. - - Jest teraz wspaniała, piękna i elegancka, ale też zgorzkniała, pełna gniewu i nienawiści. Byłaby z nich dobrana para. Uważasz, że to twoja wina?

- Teraz, kiedy już wszystko wiesz, sądzisz, że jest inaczej? - Wbrew własnej woli, znów zaczęła płakać. - Źle zrobiłam, że stanęłam pomiędzy nimi. Teraz to rozumiem.

- Może wszystko da się naprawić. Przecież przy okazji - zwróciłaś tej dziewczynie życie, a w zasadzie dałaś jej nowe, pod wieloma względami lepsze. A ona mnie za to nienawidzi. To znaczy, że jest głupia.

200 Marion potrząsnęła głową.

- Nie. Ona ma rację. Nie miałam prawa robić tego, co zrobiłam. Gdybym miała trochę odwagi, wyznałabym wszystko Michaelowi. - George miał nadzieję, że tego nie zrobi. Gniew syna by ją zniszczył. Michael nie mógł by jej po czymś takim kochać.

- Nic mu nie mów, kochanie. Teraz to już do niczego nie doprowadzi.

Marion dostrzegła strach w jego oczach i uśmiechnęła się.

- Nie martw się. Nie jestem taka odważna. Ale on i tak się z czasem dowie. Sama się o to postaram. Ma prawo wiedzieć. Wołałabym tylko, żeby usłyszał to od niej, jeśli ona go zechce. Może wtedy mi wybaczy.

- Myślisz, że to możliwe? To znaczy, że ona zechce przyjąć go z powrotem?

- Raczej nie. Ale muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy.

- O Boże...

- Ja się do tego przyczyniłam. To mnie zobowiązuje, żebym coś dla nich zrobiła. Może nic z tego nie wyjdzie, ale spróbuję.

- Przez cały ten czas byłaś z nią w kontakcie?

- Nie. Dzisiaj zobaczyłam ją pierwszy raz od czasu wypadku.

- Teraz wszystko rozumiem. Jak do tego doszło?

- Umówiłam się z nią na spotkanie. Nie byłam nawet pewna, czy to rzeczywiście ona. Ale moje podejrzenia okazały się słuszne. - Powiedziała to z zadowoleniem i po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy George się uśmiechnął.

- To musiała być burzliwa rozmowa. - Zrozumiał, co wywołało atak. Cud, że tak silne

wzruszenie jej nie zabiło.

- Mogło być gorzej. - Głos Marion złagodniał, a do oczu znów nabiegły łzy. - Mogło być o wiele gorzej. Tak naprawdę, przekonałam się tylko, jak wielki popełniłam błąd. Zniszczyłam jej życie, tak samo jak życie syna.

- Przestań. Nikogo nie zniszczyłaś. Zapewniłaś Mike'owi wspaniałą karierę, za którą niejeden człowiek dałby sobie uciąć rękę. A jej podarowałaś coś, czego nie dostałaby od nikogo innego.

- Co takiego? Złamane serce? Rozczarowanie? Rozpacz?

- Jeśli ona tak uważa, to jest niewdzięczna. A nowa twarz? Nowe życie? Nowy świat?

- Podejrzewam, że ten świat wydaje się jej pusty. Wypełnia go jedynie praca. Pod tym względem jest taka sama jak Michael.

- W takim razie, może uda im się coś razem stworzyć. Tymczasem, co się stało, to się nie odstanie. Nie możesz do końca życia się tym zadrećcać. Wtedy podjęłaś decyzję, która wydawała ci się najwłaściwsza. Kochanie, oni są młodzi. Czeka na nich całe życie. Jeśli je zmarnują, to tylko z własnej winy. My nie możemy marnować swojego. - Chciał dodać, że nie zostało im zbyt wiele czasu, ale się rozmyślił. Pochylił się niżej nad jej łóżkiem, a Marion wyciągnęła ramiona. Mocno ją objął. Czuł ciepło jej ciała. - Kocham cię, najdroższa. Boleję nad tym, że nic mi wcześniej nie powiedziałaś i przeszłaś przez to wszystko sama. Już dwa lata temu powinnaś wyjawić mi prawdę.

- Znienawidziłbyś mnie za to - odparła stłumionym przez szloch głosem, z twarzą wtuloną w jego pierś.

- Nigdy. Ani wtedy, ani teraz. Potrafię cię tylko kochać. Szanuję cię za to, że wszystko mi wyznałaś. Przecież nie musiałaś tego robić. Mogłaś to ukryć. Nigdy nie poznałbym prawdy.

- Nie, ale ja bym ją znała. Chciałam wiedzieć, jak zareagujesz.

- Ta cała sprawa przyniosła wszystkim tylko cierpienie. Teraz zrób, co możesz, a o reszcie zapomnij. Wyrzuć to z myśli, z serca, z sumienia. To już przeszłość. Przed nami otwiera się nowe życie. Mamy do niego prawo. Drogo zapłaciłaś za wszystko, co masz. Nie musisz się za nic karać. Pobierzemy się, wyjedziemy, będziemy żyć własnymi sprawami. Niech oni sami rozwiążą swoje problemy.

- Czy mam prawo tak postąpić? - Wyglądała teraz młodziej.

- Tak, kochanie, masz. - Pocałował ją czule. Do diabła z Michaeliem, z tą dziewczyną i całą resztą. Pragnął tylko Marion, akceptował ją ze wszystkimi wadami i zaletami, dobrą i złą przeszłością. - Teraz o wszystkim za pomnij i zaśnij. Jutro spokojnie omówimy ślub i wesele. Zaczynaj już myśleć, jaką byś chciała mieć suknię i kwiaty. Czy to jasne? Podniosła wzrok i roześmiała się.



- Kocham cię, George.

- To dobrze, bo gdyby było inaczej, to i tak bym się z tobą ożenił. Nic mnie już nie powstrzyma. Zrozumiałaś?

- Tak jest.

Uśmiechali się do siebie promiennie, kiedy pielęgniarka wsunęła głowę przez uchylone drzwi. Dochodziła pierwsza w nocy. Bez względu na pozwolenie lekarza, gość powinien już zakończyć wizytę. George ze zrozumieniem skinął głową. Czule ucałował Marion, pogładził ją po dłoni i z uśmiechem, którego nic nie było w stanie stłumić, niechętnie wyszedł z pokoju. Marion poczuła wielką ulgę. George ją kochał, bez względu na wszystko. Przywrócił jej wiarę w siebie. Zerknęła na zegarek i postanowiła zadzwonić do syna. Chciała od razu coś zrobić, żeby naprawić jego krzywdę. Do diabła z różnicą czasu. Nie miała chwili do stracenia. Przysunęła bliżej telefon i wykręciła nowojorski numer Michaela. Podniósł słuchawkę po czterech sygnałach i odezwał się niewyraźnym, zaspanym głosem.

- Kochanie, to ja.

- Mama? Jak się czujesz? - Szybko zapalił światło i starał się do końca rozbudzić.

- W porządku. Mam ci coś do powiedzenia.

- Wiem, wiem. Rozmawiałem z George'em. - Ziewnął, spojrzął na zegarek i zaskoczony zamrugał oczami. W Nowym Jorku była piąta nad ranem! W San Francisco druga w nocy. Dlaczego matka jeszcze nie śpi? I gdzie się podziały pielęgniarki? - Zgodziłaś się?

- Oczywiście. Przyjęłam obie propozycje. Odchodzę na emeryturę. No, może nie tak od razu.

Słyszając ostatnie zdanie Michael wybuchnął śmiechem. To cała matka. George będzie z nią miał sporo kłopotu. Jednak cieszył się, że w końcu się pobiorą.

- Dzwonię do ciebie w innej sprawie. - Głos Marion brzmiał rzeczowo i stanowczo. Michael jęknął. Dobrze znał ten ton. - Chodzi o tę dziewczynę.

- Jaką dziewczynę? - Nie wiedział, o czym matka mówi. Miał za sobą ciężki dzień: trzy zebrania, pięć spotkań służbowych, a w końcu wiadomość, że matka przeszła atak serca podczas samotnej podróży do San Francisco.

- Tę artystkę. Michael, obudź się.

- Ach, o nią. Co takiego?

- Chcemy podpisać z nią umowę.

- Naprawdę?

- Jak najbardziej. Ja teraz nie mogę się tym zająć, bo George by mnie zamordował. Ale ty możesz.

- Chyba żartujesz. Jestem zajęty. Niech Ben się tym zajmie.

- Jemu już odmówiła. To elegancka, młoda, inteligentna kobieta z charakterem. Nie będzie rozmawiała z byle kim.

- Zdaje się, że to jakiś straszny typ.

- W tej chwili to ty mi wyglądasz na straszego typu. Posłuchaj. Nie obchodzi mnie, co zrobisz, żeby podpisać z nią umowę. Musisz ją do tego skłonić. Uwiedź ją, oczaruj, przyleć tutaj na spotkanie, zaproś ją na kolację. Pokaż się od najlepszej strony. Jest tego warta. Chcę, żeby z nami współpracowała. Zrób to dla mnie - nalegała przymilnie. To coś nowego. Uśmiechnęła się do siebie.

- Chyba oszalałaś, mamó. Nie mam na to czasu. - Leżał w łóżku, uśmiechając się od ucha do ucha. Matka zupełnie straciła zmysły. - Sama się tym zajmij.

- Nie. Jeśli mnie nie posłuchasz, wrócę do pracy i doprowadzę cię do obłędu. - Mówiła to tak poważnie, że Michael musiał się roześmiać.

- Dobrze, dobrze. Zgadzam się.

- Trzymam cię za słowo.

- W porządku. Zadowolona? Czy teraz mogę się jeszcze trochę przespać?

- Tak. Ale od jutra masz zacząć działać.

- Nie pamiętam, jak on się nazywa.

- Adamson. Marie Adamson.

- Świetnie. Jutro się tym zajmę.

- Wspaniale. I... dziękuję.

- Dobranoc, szalona kobieto. A tak przy okazji, moje gratulacje. Czy mogę podprowadzić pannę młodą do ołtarza?

- Oczywiście. Nikomu innemu bym na to nie pozwoliła. Dobranoc, kochanie. Rozłączyli się. Marion Hillyard wreszcie znalazła ukojenie. Może uda się wszystko naprawić. Żeby tylko nie okazało się, że jest za późno. Dwa lata odcisnęły na nich obojgu głębokie piętno. Jednak tylko tyle mogła zrobić. Nie, to nieprawda. Powinna była powiedzieć Michaelowi prawdę. Westchnęła i już w północy przyznała przed samą sobą, że nie jest doskonała. Trochę im pomoże, ale na więcej jej nie stać. Nie wyjawia Michaelowi, co zrobiła. Pewnie w końcu sam się wszystkiego dowie, ale może wtedy będzie taki szczęśliwy, że go to tak bardzo nie zaboli. 1

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

George pocałował ją delikatnie w usta i znów rozległa się cicha muzyka. Marion zamówiła trzech muzyków, żeby grali podczas wesela, które odbywało się w jej mieszkaniu. Zaproszono około siedemdziesięciu gości. Jadalnia przekształciła się w salę balową. W bibliotece urządzono bufet. Dzień wspaniale nadawał się na taką uroczystość. Był to ostatni dzień lutego, jasny, chłodny i prawdziwie nowojorski. Marion całkowicie doszła do siebie po przykrym wypadku w San Francisco i George nie posiadał się z radości. Michael ucałował matkę w oba policzki. Potem we trójkę pozowali fotografowi z „Timesa”. Panna młoda miała na sobie długą do ziemi suknię z koronki w kolorze szampana, a Michael i George eleganckie garnitury. George włożył do butonierki biały goździk, a Michael czerwony. Marion trzymała bukiet z jasnobezowych orchidei, specjalnie sprowadzony z Kalifornii, wraz z innymi kwiatami, którymi dekorator wewnątrz pięknie przystroił całe mieszkanie.

- Pani pozwoli, pani Calloway. - Michael podał matce ramię i poprowadził do bufetu. Roześmiała się jak młoda dziewczyna, słysząc swoje nowe nazwisko. Spojrzała wesoło na George'a. Cieszyli się swoją miłością, jak to kiedyś określiła Nancy. Michael był szczęśliwy, widząc ich radość. Zasluziwali na to. Dla odpoczynku wybierali się na dwa miesiące do Europy. Wciąż nie mógł uwierzyć, że matka tak łatwo odeszła z firmy. Może rzeczywiście dojrzała już do emerytury albo przestraszył ją stan własnego zdrowia. Przez ostatnie tygodnie, kiedy przejmował ster firmy, doskonale mu się z nią i z George'em współpracowało. Został prezesem firmy Cotter-Hillyard. Nie ukrywał przed sobą, że bardzo mu się to podoba. Prezes... i to w jego wieku. Trafił nawet na okładkę „Time”. To też mu się podobało. Spodziewał się, że ślub matki i George'a trafi na łamy magazynu „People”.

- Jesteś dzisiaj bardzo elegancki, kochanie.

Marion spojrzała na syna z dumą, kiedy szli do biblioteki. Całe pomieszczenie wypełniały kompozycje z kwiatów i stoły zastawione jedzeniem. Pod ścianami czekali w gotowości kelnerzy.

- Ty też wyglądasz oszałamiająco. Cały dom prezentuje się wspaniale.

- Ładnie tu dzisiaj, prawda?

Wyglądała zadziwiająco młodo. Z gracją podeszła do grupy gości, żeby zamienić z nimi kilka słów, a potem dała ostatnie polecenia służbie. Była w swoim żywiole, przejęta jak dziecko. Matka panną młodą! Ta myśl wywołała uśmiech na twarzy Michaela.

- Masz bardzo zadowoloną minę, Mike.

Głos był miły i znajomy. Wendy stanęła obok Michaela, a on po raz pierwszy od długiego czasu nie spieszył się na jej widok. Na palcu miała zaręczynowy pierścionek z brylantem. Dostała

go od Bena w dzień świętego Walentego, kiedy odbyły się ich zaręczyny. Mieli się pobrać w lecie i Michael zgodził się być świadkiem na ślubie.

- Moja matka wygląda pięknie, prawda?

Wendy przytaknęła i uśmiechnęła się. Dzisiaj wyjątkowo miała wrażenie, że Mike jest szczęśliwy. Nigdy do końca go nie rozszyfrowała, ale już jej to nie dręczyło. Teraz miała Bena. Uszczęśliwił ją bardziej niż jakikolwiek inny mężczyzna.

- Jestem pewien, że ty na swoim ślubie będziesz wyglądała równie pięknie. Mam słabość do panien młodych.

Żartował, a to było tak do niego niepodobne, że Wendy znów się uśmiechnęła. Teraz, kiedy jako przyszła żona Bena była z Mike'em zaprzyjaźniona, wydawał się jej o wiele bardziej sympatyczny.

- Co jest, stary? Próbujesz mi odbić narzeczoną? - Ben pojawił się przy nich, ostrożnie niosąc trzy kieliszki szampana. - Proszę, to dla was. A tak przy okazji, Mike, zakochałem się w twojej matce.

- Za późno. Dzisiaj rano wyszła za męża. - Mike strzelił palcami, jakby właśnie otrzymał jakąś niepomyślną wiadomość. W jadalni rozległy się dźwięki muzyki. - To chyba sygnał dla mnie. Pierwszy taniec należy do syna, potem zastąpi mnie George. Emily Post w swojej książce o dobrych manierach pisze, że...

Ben roześmiał się i pchnął przyjaciela do jadalni, gdzie czekały na niego obowiązki towarzyskie.

- Widać, że jest dzisiaj szczęśliwy - stwierdziła cicho Wendy, kiedy Mike odszedł.

- Chyba tak, chociaż raz. - W zadumie wypił łyk szampana, ale już po chwili uśmiechnął się do narzeczonej.

- Ty też masz radosną minę.

- Ja, dzięki tobie, zawsze jestem szczęśliwa. Przypomniało mi się, że o coś cię chciałam zapytać. Rozmawiałeś z tą dziewczyną z San Francisco? Ben potrząsnął głową.

- Nie. Mike powiedział, że sam się tym zajmie.

- Znajdzie na to czas? - zdziwiła się Wendy.

- Nie, ale i tak będzie musiał. W przyszłym tygodniu leci w tej sprawie na Zachodnie Wybrzeże. Przy okazji załatwi z tysiąc innych spraw. Znasz go przecież.

Nie, wcale go nie znam, pomyślała Wendy. Nikt go nie zna, z wyjątkiem Bena. Czasami i w to wątpiła. Może kiedyś go znał, ale teraz...?

- Zatańczysz? - Ben odstawił kieliszek i otoczył ją ramieniem.

- Z przyjemnością.

Tańczyli tylko przez chwile, bo nagle dołączył do nich Mike.

- Teraz moja kolej - oznajmił.
- Akurat. Dopiero zaczęliśmy. Myślałem, że tańczysz z matką.
- Rzuciła mnie dla George'a.
- Bardzo rozsądnie z jej strony.

We trójkę kręcili się na parkiecie, co rozśmieszyło Wendy. Kiedy tak patrzyła na dwóch przyjaciół, zdawało się jej, że widzi ich takimi, jakimi byli wiele lat temu. Kiedyś świetnie się bawili na takich przyjęciach. Wystarczył im szampan i jakaś okazja do świętowania, a natychmiast wpadali w dobry nastrój.

- Słuchaj, Avery. Wyniesiesz się stąd, czy nie? Chcę zatańczyć z twoją dziewczyną.
- A jeśli się nie zgodzę?
- W takim razie zatańczymy we trójkę i matka wyrzuci nas z domu za nieprzyzwoite zachowanie.

Wendy znowu się roześmiała. Zachowywali się jak dwaj chłopcy, szukający okazji do jakiejś awantury. Zaniepokoiła się trochę, kiedy na głos zaczęli śpiewać piosenkę o pewnej dziewczynie z Rhode Island.

- Słuchajcie, taniec z wami dwoma to wcale nie jest podwójna przyjemność. Po prostu obaj na raz deptacie mi po palcach. Może pójdziemy zjeść trochę weselnego tortu?

- Idziemy? - Michael i Ben spojrzeli na siebie pytająco i jednocześnie skinęli głowami. Wzięli Wendy pod ramiona i sprowadzili ją z parkietu. Michael ponad jej głowę puścił oczko do przyjaciela.

- Niezła, ale chyba zalana. Zauważyłeś, jak fatalnie tańczyła? Praktycznie zniszczyła mi buty!

- Powinieneś obejrzeć moje - odparł Ben scenicznym szeptem i Wendy wymierzyła obu mocnego kuksańca.

- Ciekawe, czy któryś z was widział moje buty? Nie mówię już o zdeptanych palcach. Tak się kończą tańce z dwoma facetami na bani.

- Na bani? - Ben popatrzył na nią oburzony, a Michael roześmiał się głośno. Wziął od kelnerki w białym fartuszkowi trzy talerzyki z tortem i zaczął je przekładać z ręki do ręki, niemal upuszczając przy tym dwa z nich.

- Nie udało się, trudno. Tort wygląda wspaniale. Proszę. - Podał Wendy i Benowi talerzyki.

Wszyscy troje oparli się o kolumnę i jedząc obserwowali otoczenie - zamożne wdowy w szarych koronkach, młode dziewczyny w sukniach z różowego szyfonu, obwieszane kaskadami pereł i różnych innych klejnotów.

- Ale byśmy się obłowili, gdybyśmy obrabowali to całe towarzystwo. Michaelowi bardzo spodobał się ten pomysł.

- Że też mi to dawniej nie przyszło do głowy. Powinniśmy to zrobić na studiach, kiedy nie mieliśmy grosza przy duszy.

Obaj z powagą skinęli głowami, a Wendy spojrzała na nich podejrzliwie.

- Nie wiem, czy mogę zostawić was bez opieki, ale muszę przypudrować nos.

- Nie martw się. Przypilnuję twojego narzeczonego.

- Michael mrugnął do niej porozumiewawczo i wychylił następny kieliszek szampana.

Wendy nigdy nie widziała go w takim nastroju, ale bardzo ją rozbawił. Ben miał rację. Mike też jest człowiekiem. Teraz, rozbawiony i lekko pijany, był tym samym człowiekiem, co pięć, a nawet dwa lata temu.

- Wątpię, czy któryś z was jest w stanie na tyle prosto utrzymać się na nogach, zęby czegokolwiek przypilnować.

- Bzdura. To znaczy... Jesteśmy w doskonałej formie.

- Ben wziął jeszcze dwa kieliszki szampana i podał jeden Michaelowi. Pomachał narzeczonej, która już szła do łazienki. - To wspaniała dziewczyna, Mike. Cieszę się, że nie wpadłeś we wściekłość, kiedy ci powiedziałem o...

- Dlaczego miałbym się wściekać? Świetnie do siebie pasujecie. Poza tym jestem za bardzo zajęty, żeby się zajmować takimi sprawami.

- Może kiedyś się to zmieni.

- Może. Tymczasem, żeńcie się i cieszcie się życiem. Jak mam firmę do prowadzenia. - Tym razem mówił to radośnie. Z uśmiechem popatrzył na kieliszek szampana i wzniosł toast. - Nasze zdrowie.

-

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Samolot miękko osiadł na lotnisku w San Francisco i Michael zatrzasnął aktówkę. W tym tygodniu miał setki spraw do załatwienia. Zaplanował rozmowy z lekarzami, inspekcje na placach budowy, konferencje z architektami; musiał sprawdzić projekty, zorganizować konferencję i... cholera... jeszcze w dodatku ta dziewczyna. Zastanawiał się, jak znajdzie na to wszystko czas. W głębi duszy wiedział, że jak zwykle da sobie radę. Najwyżej zrezygnuje z posiłków albo ze snu. Zdjął płaszcz z półki nad głową, przerzucił przez ramię i razem z innymi wyszedł z części samolotu przeznaczonej dla pasażerów pierwszej klasy. Jak zwykle czuł na sobie spojrzenia stewardes, ale nie zwracał na nie uwagi. Nie interesowały go. Zresztą bardzo się śpieszył. Zerknął na zegarek. Wiedział, że przed lotniskiem czeka na niego samochód. Było dwadzieścia po drugiej. W pół dnia wykonał całodzienny plan pracy w nowojorskim biurze i teraz miał co najmniej trzy albo cztery godziny czasu na służbowe spotkania. Jutro o siódmej wyznaczył poranną konferencję. Właśnie tak wyglądało jego życie. Bardzo mu to odpowiadało. Obchodziła go tylko praca i jeszcze trzy bliskie osoby. Dwie z nich wypoczywały na Majorce, w domu przyjaciół, a trzecia znajdowała się pod dobrą opieką Wendy. Nie musiał się o nie martwić, tym bardziej że miał co robić. Budowa centrum medycznego wymagała jego nadzoru. Wszystko przebiegało doskonale. Uśmiechnął się do siebie, wchodząc do hali lotniska. To centrum było jego dzieckiem.

- Pan Hillyard? - Kierowca natychmiast go rozpoznał. Michael skinął głową. - Samochód czeka.

Usadowił się w samochodzie, a tymczasem kierowca wyłowił jego bagaże spośród innych. Miło było znowu znaleźć się w San Francisco. W Nowym Jorku panowały marcowe chłody, a tutaj temperatura po południu dochodziła do dwudziestu stopni. Wszystko wokół zakwitało zielenią. W Nowym Jorku drzewa wciąż były nagie, smutne i szare, a na zieleń trzeba zaczekać jeszcze miesiąc. Oczekiwanie na wiosnę na Wschodnim Wybrzeżu bardzo się dłuży. Dopiero kiedy wszyscy tracą już nadzieję, że kiedykolwiek nadejdzie, na gałęziach pojawiają się pierwsze pączki. Michael już zapomniał, jaka przyjemna jest wiosna. Nie zauważał jej. Nie miał na to czasu.

Pojechał prosto do hotelu, gdzie pracownik firmy zdążył już potwierdzić jego przybycie i sprawdzić, czy apartament jest przygotowany do zebrania. Michael zarezerwował dwa apartamenty. W jednym miał zamieszkać, w drugim organizować służbowe spotkania. W razie potrzeby zebrania mogły się odbywać jednocześnie w dwóch pomieszczeniach. Skończył pracę dopiero o dziewiątej wieczorem. Zmęczony zadzwonił do hotelowej restauracji i zamówił stek. W Nowym Jorku była już północ. Czuł się zmęczony, ale zadowolony, ponieważ ostatnie godziny okazały się bardzo owocne. Usiadł wygodnie na kanapie, rozluźnił krawat, założył nogi na niski

stolik i przymknął oczy. Nagle wydało mu się, że słyszy w pokoju głos matki. „Czy zadzwoniłeś już do tej dziewczyny?” O, Chryste. Słowa matki brzmiały głośno i wyraźnie w cichym pokoju, gdzie wciąż unosił się dym z papierosów i zapach whisky, którą zamówił pod koniec spotkania. Ta dziewczyna... No, dobrze. Dlaczego nie? I tak czekał, aż przyniosą mu zamówiony stek. Przynajmniej nie zaśnie. Sięgnął do teczki, znalazł telefon dziewczyny i nie ruszając się z kanapy wykręcił na tarczy numer. Odebrała po kilku sygnałach.

- Halo?

- Dobry wieczór, pani Adamson. Mówi Michael Hillyard. Przez chwilę nie mogła złapać tchu.

- Ach, tak. Jest pan w San Francisco? - zapytała suchym, szorstkim głosem.

Mike'owi wydawało się, że jest zdenerwowana, niemal wściekła. Może zadzwonił nie w porę, albo po prostu nie lubiła, kiedy się ją niepokoi w domu. W zasadzie nic go to nie obchodziło.

- Tak, z San Francisco. Czy moglibyśmy się spotkać? Mamy kilka spraw do omówienia.

- Nie. Nie mamy nic do omówienia. Wydaje mi się, że dość jasno wytłumaczyłam to pana matce. - Drżąc na całym ciele kurczowo ścisnęła słuchawkę.

- Pewnie zapomniała mi to przekazać - odparł Michael prawie tak samo szorstko, jak ona. - Po spotkaniu z panią przeszła lekki atak serca. Jestem pewien, że jedno z drugim nie miało nic wspólnego, chociaż matka niewiele mi powiedziała na temat tej rozmowy. Biorąc pod uwagę okoliczności, to zupełnie zrozumiałe.

- Tak. - Marie chwilę się wahała. - Przykro mi to słyszeć. Czy pani Hillyard już się dobrze czuje?

- Jak najbardziej. W zeszłym tygodniu wyszła za mąż. Teraz jest na Majorce.

Cudownie. Suka... Zrujnowała mi życie i zadowolona wyjechała na miesiąc miodowy. Marie miała ochotę zazgrzytać zębami albo cisnąć słuchawkę.

- Ale to nie ma nic do rzeczy. Kiedy możemy się spotkać?

- Już panu powiedziałam, że się nie spotkamy. - Wyrzuciła te słowa ze złością.

Michael znowu zamknął oczy. Był zbyt zmęczony, żeby się tym przejmować.

- Dobrze. Na dzisiaj dam za wygraną. Zatrzymałem się w hotelu Fairmont. Jeśli pani zmieni zdanie, proszę zadzwonić.

- Nie zadzwonię.

- Trudno.

- Dobranoc, panie Hillyard.

- Dobranoc, pani Adamson.

Zaskoczyło ją, że tak szybko zakończył rozmowę. Jego głos zupełnie nie przypominał



dawnego Michaela. Tak mówił ktoś zmęczony, ktoś, kogo nic już nie porusza. Co się z nim stało przez te dwa lata? Po skończonej rozmowie jeszcze długo się nad tym zastanawiała.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Kochanie, masz taką poważną minę. Czy coś się stało? - Peter spojrzał na siedzącą naprzeciwko Marie.

Potrząsnęła głową, obracając w palcach kieliszek z winem.

- Nie, nic. Myślę o najnowszym zleceniu. Jutro zaczynam nowy cykl zdjęć, więc muszę się nad tym zastanowić.

Oboje wiedzieli, że kłamię. Od czasu wczorajszej rozmowy z Michaeliem przeszłość nękała ją z nową siłą. Potrafiła myśleć tylko o ostatnim wspólnym dniu z Michaeliem. Przejazdźka na rowerach, wesołe miasteczko, błyszczące niebieskie korale, zakopane pod kamieniem, błękitny toczek i biała ażurowa suknia, w której chciała wziąć ślub... Potem głos jego matki, kiedy ona, Nancy, spowita bandażami leżała w szpitalu, nic nie widząc. Miała wrażenie, że przed jej oczami przewija się ciągle ten sam film. Nie mogła od niego uciec.

- Kochanie, dobrze się czujesz?

- Tak. Naprawdę nic mi nie jest. Kiepskie ze mnie dzisiaj towarzystwo. To chyba po prostu zmęczenie.

Jednak Peter zauważył jej przygnębione spojrzenie i drobną zmarszczkę na czole wywołaną smutnymi myślami.

- Widziałaś się ostatnio z Faye?

- Nie. Od dawna chcę się z nią umówić na lunch, ale nigdy nie mam czasu. Zwłaszcza, od kiedy urządziłaś mi wystawę. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Jedną połowę życia spędzam w ciemni, a drugą uganiając się po mieście z aparatem.

- Nie chodziło mi o towarzyskie spotkanie, tylko o profesjonalną konsultację.

- Przecież już ci mówiłam, że przestałam do niej chodzić jeszcze przed Świątami.

- Ale nigdy mi nie powiedziałaś, czy to była jej decyzja czy twoja.

- Moja, ale Faye nie protestowała. - Marie czuła się urażona. Czyżby Peter sądził, że nadal potrzebuje wizyt u psychiatry? - Jestem po prostu zmęczona. To wszystko.

- Wątpię. Czasami mi się wydaje, że wciąż się nie możesz uwolnić od... od wydarzeń sprzed dwóch lat. - Ostrożnie dobierał słowa, obserwując jej twarz. Przerażony spostrzegł, że dziewczyna drgnęła, jakby przeszył ją nagły ból.

- Bzdura.

- To zupełnie normalne, Marie. Po takich przejściach ludzie czasami nie mogą dojść do siebie przez dziesięć albo dwadzieścia lat. To wielki wstrząs dla całego organizmu. Nawet jeśli po wypadku byłaś nieprzytomna, to jakaś część ciebie zapamiętała, co się wtedy wydarzyło. Dopóki

nie wyrzucisz tego z pamięci, nigdy się od tego nie uwolnisz.

- Już to zrobiłam.

- Tylko ty możesz to osądzić, ale chciałbym, żebyś się upewniła. Inaczej będzie cię to prześladowało do końca życia, ograniczy twoje możliwości, okaleczy cię psychicznie... Nie muszę ci tego tłumaczyć. Sama się nad tym zastanów. Może byłoby dobrze, gdybyś umówiła się na kilka sesji z Faye. Na pewno ci to nie zaszkodzi. - Spojrzał na nią z troską.

- Wcale tego nie potrzebuję. Zaciśnęła usta w wąską linię, a on poklepał ją po ręce, ale nie przeprosił, że poruszył ten drażliwy temat. Bardzo się o nią martwił.

- Dobrze. Idziemy? - Uśmiechnął się do niej łagodnie.

Próbowała odpowiedzieć mu tym samym, ale nie mogła. Oczywiście, miał rację. Wspomnienie rozmowy z Michaelem prześladowało ją na każdym kroku.

Peter zapłacił rachunek i podał jej granatowy blezer z aksamitu. Miała dziś na sobie białą spódnicę firmy Cacharel i cienką jedwabną bluzkę. Zawsze ubierała się nienagannie i Peter uwielbiał się z nią pokazywać.

- Odwieźć cię do domu?

- Nie, dziękuję. Wstąpię do galerii i porozmawiam z Jacquesem. Chcę przewiesić niektóre zdjęcia. Moje stare prace są lepiej wyeksponowane niż nowe. Muszę to zmienić.

- Rozsądna decyzja.

Otoczył ją ramieniem i wyszli na wiosenne słońce. Poranna mgła już się rozplynęła. Dzień był piękny i ciepły. Po chwili chłopak pilnujący parkingu przyproceedził czarne Porsche. Peter otworzył drzwi i Marie wsunęła się do środka. Wygładziła spódnicę i z uśmiechem v patrzyła, jak Peter zajmuje miejsce za kierownicą. Teraz już wiedziała, jak wiele dla niego znaczy. Ciekawiło ją tylko, czy kocha ją dlatego, że ją stworzył, czy dlatego, że pozostaje dla niego nieosiągalna. Czuliła się winna, że swobodniej nie okazuje mu sympatii, bo mimo uczucia, jakie dla niego żywiła, wciąż istniał między nimi pewien dystans. Wiedziała, że to jej wina. A może Peter ma rację? Może już do końca życia zostanie okaleczona przez ten wypadek? Chyba rzeczywiście powinna znowu spotkać się z Faye.

- Nie jesteś dzisiaj zbyt rozmowna, kochanie. Nadal rozmyślasz o nowym zleceniu?

Zmieszana skinęła głową i delikatnie przesunęła ręką po karku Petera.

- Dlaczego wciąż mnie jeszcze znosisz?

- Bo jesteś dla mnie kimś ważnym. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Ale dlaczego? Czy przypominała mu kobietę, którą kiedyś kochał? Czy zrobił ją na jej podobieństwo? Na tę myśl poczuła się nieswojo.

Usiadła wygodniej i zamknęła oczy, żeby się trochę rozluźnić. Jednak natychmiast je

otworzyła, kiedy poczuła, że mknące jak pocisk Porsche wykonało nagły skręt. Zobaczyła pędzącego wprost na nią czerwonego Jaguara o opływowych kształtach. Wymijając ciężarówkę, która stała na poboczu obok innego samochodu, kierowca Jaguara przekroczył środkową linię, znalazł się na przeciwnym pasie i jechał teraz wprost na nich. Marie patrzyła na to rozszerzonymi oczami, zbyt przerażona, żeby krzyczeć. Niebezpieczeństwo minęło w ciągu sekundy. Peterowi udało się wyminąć lekkomyślnego kierowcę i czerwony Jaguar pomknął dalej, przecinając skrzyżowanie na czerwonym świetle. Marie nadal siedziała sztywna ze strachu, kurczowo trzymając się deski rozdzielczej. Patrzyła prosto przed siebie, broda jej drżała, a oczy wypełniły się łzami. W pamięci zostało jej tylko to, co się wydarzyło dwa lata temu. Peter natychmiast zauważył jej stan, zahamował i wyciągnął do niej ramiona. Jednak skamieniała Marie nadal się nie poruszyła. Kiedy jej dotknął, wewnątrz samochodu wypełniło się krzykiem dziewczyny, wydobywającym się z samego dna duszy. Musiał ją potrząsnąć i przyciągnąć do siebie, zęby się opanowała.

- Cii... Juz dobrze, kochanie. Juz dobrze. Cii... To przeszłość. Nigdy więcej coś takiego się nie powtórzy. Juz dobrze.

Krzyk zmienił się w pełne strachu łkanie. Łzy spływały po twarzy Marie, a całe jej ciało dygotało spazmatycznie. Peter trzymał ją mocno w objęciach. Minęło prawie pół godziny, zanim się uspokoiła. Wyczerpana opadła na fotel. Przez jakiś czas przyglądał się jej w milczeniu, gładząc po włosach i trzymając za rękę. Chciał ją przekonać, że jest już bezpieczna. To, czego był świadkiem, bardzo go zaniepokoiło. Potwierdziło jego podejrzenia. Kiedy wreszcie dziewczyna przestała drzeć i przytuliła się do niego, odezwał się cicho, ale stanowczo.

- Musisz się zobaczyć z Faye. To jeszcze nie minęło. I nie minie, dopóki sama się nie uleczysz i nie staniesz z tym problemem twarzą w twarz.

Z iloma problemami miała się jeszcze uporać? I z czego mogła się wyleczyć? Z miłości do Michaela? Jak się z niej wyleczyć? Jak powiedzieć Peterowi, że rozmawiała z Michaelem przez telefon? Jak mu wyznać, że słysząc jego głos znowu zapragnęła go objąć, pocałować, czuć na sobie jego ręce? Czy mogła mu to powiedzieć? Spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem i skinęła głową.

- Pomyślę o tym.

- Dobrze. Odwieźć cię teraz do domu? - zapytał łagodnie.

Zgodziła się. Nie miała siły, zęby iść do galerii. Nie odezwali się do siebie, dopóki nie dotarli na miejsce.

- Zaprowadzić cię na górę?

Marie potrząsnęła głową i pocałowała go w policzek. Wsiadając z samochodu powiedziała tylko „dziękuję” i nie oglądając się weszła do domu. Wolno wchodziła po schodach, dźwigając

brzemie dwóch samotnie spędzonych lat. To źle, że Michael do niej zadzwonił. Obudził w niej dawny ból. Po co to zrobił? Dlaczego? Pewnie nic go to nie obchodziło. Chciał tylko jej fotografii. Sukinsyn. Niech kto inny robi dla niego fotografie. Dlaczego, u diabła, nie zostawi jej w spokoju?

Otworzyła drzwi do mieszkania i poszła prosto do łóżka. Fred wesoło biegał wokół niej i natychmiast wskoczył za nią na łóżko, ale nie była w nastroju do zabawy. Zepchnęła go na podłogę i długo leżała patrząc w sufit. Zastanawiała się, czy zadzwonić do Faye, czy to wszystko ma w ogóle jakiś sens. Wyczerpana zapadła w niespokojną drzemkę. Kiedy zadzwonił telefon, drgnęła i obudziła się. Nie miała ochoty odpowiadać, ale to pewnie Peter chciał zapytać o jej samopoczucie. Nie miała prawa bardziej go martwić, i tak już dostarczyła mu tego dnia wielu powodów do niepokoju. Wolno sięgnęła po telefon.

- Halo? - zapytała cichym, rwącym się głosem.

- Pani Adamson?

O, Boże, to nie Peter, to... Głębokie westchnienie wstrząsnęło jej ciałem.

- Na miłość boską, Michael! Zostaw mnie w spokoju!

Odłożyła słuchawkę. Na drugim końcu linii zdezorientowany Michael spoglądała w osłupieniu na słuchawkę. O co tutaj chodzi? I dlaczego zwróciła się do niego po imieniu?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Następnego ranka Marie wyglądała blado i mizernie, kiedy wraz z Fredem zjawiła się w galerii. Miała na sobie czarny kostium ze spodniami, a do tego jaskrawozielony sweter, który wspaniale podkreślał kolor jej cery i włosów. Mimo to widać było, że jest zmęczona po długiej, bezsennej nocy, podczas której setki razy przeżywała w myślach ostatni dzień z Michaeliem i wypadek. Miała wrażenie, że choćby żyła tysiąc lat, nigdy się od tego nie uwolni. Już teraz czuła się jak stuletnia staruszka.

- Zdaje mi się, że za ciężko pracujesz, moja droga. - Jacques uśmiechnął się do niej zza biurka. Był ubrany tak jak zwykle, w doskonale skrojone francuskie dżinsy, ściśle przylegające do ciała, czarny golf i zamszową marynarkę od Yvesa St Laurenta. Na nim taki zestaw wyglądał doskonale. - A może do późna szalałaś ze swoim ukochanym doktorem? - Od dawna przyjaźnił się z Peterem i już zdążył polubić Marie.

Uśmiechnęła się i wypila łyk kawy, którą ją poczęstował. Była czarna i mocna, bo tylko taką serwował. Parzył ją w maszynie z filtrem, specjalnie przywiezionej z Francji, wraz z mnóstwem innych kosztownych drobiazgów, bez których nie mógł się obyć. Marie często kpiała z jego szowinizmu i drogich upodobań. Na urodziny kupiła mu teczkę bardzo w jego stylu i rolkę papieru toaletowego, z nadrukowanym znakiem firmowym Gucciego. Ten dowcipny prezent bardzo mu się spodobał.

- Nie, nigdzie nie szalałam. Chyba zbyt dużo czasu spędzam w ciemni.

- Oszalałaś. Taka dziewczyna jak ty powinna bawić się i tańczyć.

- Potem. Kiedy będę miała większy dorobek.

Opowiedziała mu o swoim nowym pomysle na serię zdjęć o ulicznym życiu San Francisco, a on z zadowoleniem skinął głową.

- Ca me pkdt, Marie. Podoba mi się ten pomysł.

Zabierz się za to jak najszybciej.

Chciał ją wypytać o szczegóły, ale rozległo się pukanie do drzwi biura. W progu stanęła sekretarka i zaczęła dawać mu jakieś znaki.

- Aha! Pewnie przyszła jedna z twoich narzeczonych.

- Marie uwielbiała się z nim drażnić.

Jacques z udawaną bezradnością wzruszył ramionami, wstał i podszedł do sekretarki. Kobieta coś mu wyszeptala do ucha, a on z zadowoleniem kiwnął głową. Skinął ręką i wrócił za biurko. Popatrzył na Marie tak, jakby zaraz miał jej wręczyć jakiś cudowny prezent.

- Mam dla ciebie niespodziankę - oznajmił. Znowu usłyszeli pukanie. - Ktoś ważny

zainteresował się twoimi pracami.

Drzwi się otworzyły i zanim Marie zdołała pojąć znaczenie słów Jacquesa, stanęła twarzą w twarz z Michaeliem. Serce na chwilę przestało jej bić, a filiżanka z parującą kawą zadrżała w ręku. Mike był taki przystojny. W granatowym garniturze, białej koszuli i ciemnym krawacie wyglądał jak prawdziwy dziedzic fortuny.

Odstawiła filiżankę i ujęła wyciągniętą na powitanie dłoń. Jej opanowanie i gracia zrobiły na Michaelu wielkie wrażenie. Wydało mu się niemożliwe, że to ta sama dziewczyna, która wczoraj w nocy przez telefon znekowanym głosem błagała go, żeby zostawił ją w spokoju. Może 224 ma jakieś problemy, na przykład z mężczyznami, albo była trochę wstawiona. Z artystami nigdy nie wiadomo. Na twarzy Michaela nie było widać tych wątpliwości. Również Marie nie dała po sobie poznać, jak bardzo jest zmieszana.

- Bardzo się cieszę, że się wreszcie spotkaliśmy. Bawi się pani ze mną w kotka i myszkę, ale ktoś tak utalentowany ma do tego prawo. - Uśmiechnął się do niej życzliwie.

Marie spojrzała na Jacquesa, który stał za biurkiem i wyciągał rękę do Michaela. Zainteresowanie firmy Cotter-Hillyard pracami Marie bardzo mu imponowało. Michael wyraźnie powiedział sekretarce, że przychodzi tu w imieniu firmy. Jej zdjęcia miały wisieć nie w jego prywatnym mieszkaniu, ani nawet w gabinecie, tylko w największym kompleksie budynków, jaki zaprojektowała jego firma. Jacques wręcz zaniemówił z wrażenia. Nie mógł się już doczekać, kiedy oznajmi to Marie. Ta wspaniała wiadomość, na pewno poruszy nawet taką chłodną piękność jak ona. Ale na razie dziewczyna nadal zachowywała wyniosły spokój. Z lodowatym uśmiechem siedziała nieruchomo w fotelu, unikając wzroku Michaela.

- Może od razu przejdę do rzeczy i wytłumaczę, o co mi chodzi? - zaczął Mike.

- Ależ oczywiście. - Jacques dał znak sekretarce, żeby nalała gościowi kawy, i usiadł.

W skupieniu wysłuchał szczegółowych wyjaśnień Michaela na temat jego planów wobec prac Marie. Każdy twórca z radością zgodziłby się na taką propozycję, ale pod koniec rozmowy Marie nadal pozostała niewzruszona. Spokojnie kiwnęła głową i spojrzała na Michaela.

- Niestety moja odpowiedź nadal brzmi tak samo, panie Hillyard.

- To już o tym wcześniej rozmawiałaś? - zdziwił się Jacques.

- Mój współpracownik, moja matka i ja sam kontaktowaliśmy się już z panią Adamson - wyjaśnił szybko Michael. - Opisałem jej zwięźle nasz projekt, ale pani Adamson stanowczo odmawia. Miałem nadzieję, że uda mi się zmienić jej decyzję.

Jacques popatrzył na nią w osłupieniu. Marie potrząsnęła głową.

- Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić.

- Ale dlaczego? - zawołał Francuz. Był bardzo zdenerwowany.

- Nie chcę.

- Czy możemy przynajmniej poznać powody pani od mowy? - Głos Michaela brzmiał łagodnie. Pojawiło się w nim coś nowego: świadomość władzy.

Marie z irytacją zauważyła, że podoba jej się to nowe oblicze. Mimo to nie zmieniła zdania.

- Może pan to nazwać kaprysem artystki, jeśli tak się panu podoba. Odpowiedź nadal brzmi: nie. - Odstawiła filiżankę i spojrzała na obu mężczyzn. Z poważną miną uścisnęła Michaelowi dłoń na pożegnanie. - W każdym razie, bardzo dziękuję za zainteresowanie. Jestem pewna, że znajdzie pan kogoś odpowiedniego, kto się zgodzi na współpracę. Może Jacques kogoś panu poleci. W tej galerii wystawia wielu wspaniałych malarzy i fotografików.

- Problem w tym, że zależy nam wyłącznie na pani - upierał się Michael.

Jacques zrobił rozżaloną minę, ale Marie nie zamierzała przegrać tej bitwy. I tak już w życiu zbyt wiele przegrała.

- To bardzo nierozsądne, panie Hillyard, i dziecinne. Będzie pan musiał poszukać kogoś innego. Ja nie będę z panem współpracowała, i na tym koniec.

- A zgodziłaby się pani na współpracę z innym przedstawicielem firmy? Potrząsnęła głową i ruszyła do drzwi.

- Niech pani to przynajmniej rozważy.

Na chwilę zatrzymała się w progu. Stojąc plecami do Michaela potrząsnęła jeszcze raz głową i z krótkim „nie” zniknęła razem ze swoim psem. Michael nie tracił ani sekundy na rozmowy z osłupiałym właścicielem galerii, który wciąż siedział za biurkiem. Wybiegł za nią na ulicę, wołając, żeby zaczekała. Nie wiedział, dlaczego to robi, ale czuł, że musi. Zrównał się z nią i szedł teraz u jej boku.

- Czy możemy przez chwilę porozmawiać?

- Skoro pan nalega. Ale to do niczego nie doprowadzi. - Patrzyła prosto przed siebie, unikając jego wzroku. Michael uparcie szedł przy niej.

- Dlaczego pani to robi? Nic z tego nie rozumiem. Czy to jakaś osobista uraza? Może słyszała pani o naszej firmie coś złego? Ma pani jakieś przykre doświadczenia? A może to chodzi o mnie?

- Cóż to za różnica?

- Owszem, do diabła, jest różnica. - Chwycił ją za ramię i osadził w miejscu. - Mam prawo wiedzieć.

- Czyżby? - Zdawało im się, że stoją tak całą wieczność. W końcu Nancy złagodniała. - Dobrze. Powiem panu. To osobista uraza.

- Przynajmniej wiem, że pani nie jest szalona. Roześmiała się i spojrzała na niego z



rozbawieniem.

- Skąd ta pewność? Może jestem.

- Nie sędzę. Wydaje mi się, że po prostu nienawidzi pani naszej firmy, albo mnie. -Przecież to niedorzeczne. Ani o nim, ani o firmie nigdy nie napisano niczego złego. Nie realizowali żadnych podejrzanych zleceń, nie współpracowali z rządami o niepewnej reputacji. Dziewczyna nie miała powodu, żeby tak się zachowywać. Może kiedyś miała romans z kimś z miejscowego przedstawicielstwa i teraz chce się zemścić. To pewnie tego typu sprawa. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Nie czuję do pana nienawiści, panie Hillyard - powiedziała po dłuższym czasie, kiedy znowu ruszyli przed siebie.

- W takim razie świetnie pani udaje. - Uśmiechnął się i po raz pierwszy znowu wyglądał jak młody chłopak, który kiedyś po przyjacielsku sprzeczał się z Benem w jej mieszkaniu.

Ten obrazek z przeszłości poruszył serce Nancy. Odwróciła wzrok.

- Czy mogę panią zaprosić na kawę?

Chciała odmówić, ale doszła do wniosku, że lepiej będzie na dobre zakończyć tę sprawę. Może wtedy zostawi ją w spokoju.

- Dobrze - zgodziła się.

Zaproponował małą włoską restaurację po drugiej stronie ulicy. Poszli tam wraz z Fredem, który trzymał się przy nodze swej pani. Zamówili espresso. Marie odruchowo podała Mike'owi cukier. Pamiętała, że lubił słodką kawę. Podziękował jej, posłodził i odstawił cukiernicę. Nie zdziwiło go, że zna to jego przyzwyczajenie.

- Wie pani, nie potrafię tego wyjaśnić, ale w pani pracach jest coś szczególnego. Często o nich myślę. Wy daje mi się, że już je gdzieś widziałem, że je znam i rozumiem, co chce pani przez nie powiedzieć, jak pani patrzy na świat. Czy to nie dziwne?

Nie, to wcale nie było dziwne. Zawsze doskonale rozumiał jej malarstwo.

- Nie, wcale nie - odparła z westchnieniem. - Właśnie taki jest mój artystyczny zamysł.

- Ale mi chodzi o coś więcej. Trudno mi to wyjaśnić. Mam wrażenie, że znam... pani zdjęcia. Sam nie wiem. Kiedy to głośno mówię, wydaje mi się, że to bzdury.

A mnie nie znasz? Nie rozpoznajesz tych oczu? Chciała mu zadać te pytania, ale w milczeniu piła kawę. Nadal rozmawiali o jej twórczości.

- Mam okropne przeczucie, że pani nie zmieni zdania - stwierdził Michael. - A może się mylę? - Nie zaprzeczyła. - Czy chodzi o pieniądze?

- Oczywiście, że nie.

- Tak też myślałem. - Nie wspomniał nawet o kontrakcie na olbrzymią sumę, który miał w

kieszeni. Wie dział, że to nie pomoże, a tylko może zaszkodzić. - Chciałbym wiedzieć, o co pani chodzi.

- To moje dziwactwo. W ten sposób wyrównuję rachunki z przeszłości. - Zaszokowała ją własna szczerość, ale on nie był poruszony.

- Domyślałem się, że to tego typu sprawa. - Oboje byli teraz spokojni. Był w tej rozmowie jakiś smutek, gorzko-słodki nastrój, którego Michael nie rozumiał. - Pani fotografie zachwyciły moją matkę. A ją niełatwo zadowolić.

Marie uśmiechnęła się słysząc, jak łagodnie to wyraził.

- O, tak. Tak przynajmniej słyszałam. To twarda kobieta interesu.

- Tak, ale to ona stworzyła firmę w jej obecnej postaci. Przejąłem ją po niej z przyjemnością. Przypomina dobrze utrzymany statek.

- Ma pan szczęście.

Stwierdziła to z goryczą i Michael znowu nie wiedział, co o tym myśleć. Nerwowym ruchem potarł małą bliznę na skroni. Marie gwałtownie odstawiła filiżankę i spojrzała na niego uważnie.

- Co to jest?

- Co takiego?

- Ta blizna. - Nie mogła oderwać od niej wzroku. Dobrze wiedziała, skąd się wzięła. Na pewno...

- To nic wielkiego. Mam ją od pewnego czasu.

- Nie wygląda na starą.

- Pochodzi sprzed dwóch lat - odparł zmieszany. - Naprawdę nic poważnego. Drobny wypadek z przyjaciółmi.

Chciał jak najszybciej zmienić temat. Tymczasem Marie miała ochotę chlusnąć mu w twarz kawą. Sukinsyn. Drobny wypadek! Serdeczne dzięki. Teraz już wiem wszystko, co chciałam wiedzieć. Wzięła torbę, spojrzała na niego lodowato i wyciągnęła rękę.

- Miło mi było pana poznać, panie Hillyard. Mam nadzieję, że będzie się pan dobrze bawił w San Francisco.

- Już pani odchodzi? Czy powiedziałem coś przykre go? - Ta dziewczyna jest niemożliwa. Co się jej, do cholery, teraz nie spodobało? Co takiego powiedział? Spojrzał jej w oczy. Ich wyraz wstrząsnął nim do głębi.

- Tak, powiedział pan coś przykrego - wyjaśniła wzburzona Marie. - Czytałam o tym pana wypadku i chyba trudno nazwać go drobnym. Z tego, co wiem, dwoje pańskich przyjaciół bardzo w nim ucierpiało. Czy ciebie już nic nie obchodzi, Michael? Dbasz teraz tylko o tę cholerną firmę?

- Co się z tobą dzieje? Przecież to nie jest twoja sprawa!
- Ja jestem żywym człowiekiem, a ty chyba już nie. Właśnie za to cię nienawidzę.
- Jesteś szalona!
- Nie, już nie!

Odwróciła się na pięcie i wyszła, a Michael patrzył za nią oniemiały. Potem, jakby pchała go jakaś niewidzialna siła, poderwał się, rzucił na marmurowy blat stolika pięć dolarów i pobiegł śladem dziewczyny. Musiał jej przecież powiedzieć. Musiał... Nie, to nie był drobny wypadek. Zginęła w nim kobieta, którą kochał. Ale czy ta dziewczyna ma prawo go o to pytać? Jednak nie zdołał nic jej powiedzieć, bo kiedy wypadł na ulicę, właśnie wsiadała do taksówki.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Dotarła na plażę i rozkładała statyw, kiedy nagle spostrzegła, że ktoś się do niej zbliża. Sposób poruszania się mężczyzny wydał się jej znajomy. Po chwili już wiedziała, kto to jest. Michael. Przeciął plażę, wspiął się na niewielką wydnię i stanął przed nią, zasłaniając jej cały widok.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Nic nie chcę słyszeć.

- Trudno, i tak ci powiem. Nie masz prawa wtrącać się w moje prywatne życie i oceniać, jakim jestem człowiekiem. Nawet mnie nie znasz. - Jej słowa dręczyły go przez całą noc. W centrali, gdzie zostawiała zlecenia, dowiedział się, dokąd poszła. Nie był pewien, dlaczego tu przyszedł, ale czuł, że musi. - Jakże, do cholery, masz prawo, żeby mnie osądzać?

- Żadnego. Ale nie podoba mi się to, co widzę. - Chłodna i obojętna zmieniała obiektyw w aparacie.

- A co takiego widzisz?

- Pustą skorupę. Człowieka, którego nie obchodzi nic oprócz pracy. Człowieka, który nikogo ani niczego nie kocha, nic z siebie nie daje, sam jest niczym.

- Co ty o mnie wiesz, żeby mi mówić, kim jestem i co czuję? Skąd ci przyszło do głowy, że jesteś taka nieomylna? Minęła go i spojrzała przez obiektyw na wydnię.

- Słuchaj mnie, do cholery! - Chciał jej wyrwać aparat, ale się uchyliła.

- Wynoś się z mojego życia! - krzyknęła z wściekłością. - Tyle czasu cię tu nie było, i bardzo dobrze!

- Nie jestem częścią twojego życia. Chcę tylko kupić od ciebie zdjęcia. To wszystko. Nie chcę słuchać twoich opinii na temat mojego charakteru, ani na żaden inny temat. Chcę tylko kupić kilka parszywych zdjęć. - Trząśł się z gniewu.

Marie podeszła do dużej teczki, leżącej nie opodal na kocu. Rozsunęła suwak, zajrzała do środka i wyjęła jedno zdjęcie. Wstała i wręczyła mu je.

- Masz. Jest twoje. Zrób z nim, co ci się podoba, tylko zostaw mnie w spokoju.

Odwrócił się bez słowa i wrócił do zaparkowanego przy drodze samochodu.

Nie obejrzała się za nim. Pracowała, dopóki się nie ściemniło i nie mogła już robić zdjęć. Pojechała do domu, zrobiła sobie jajecznicę, zaparzyła kawy i poszła do ciemni. Położyła się spać o drugiej nad ranem. Kiedy zadzwonił telefon, nie odpowiedziała. Nawet jeśli to Peter, nic ją to nie obchodziło. Nie chciała z nikim rozmawiać. Postanowiła, że nazajutrz o dziewiątej rano już będzie na plaży. Nastawiła budzik na ósmą i zasnęła, kiedy tylko dotknęła poduszki. Tego dnia od czegoś

się uwolniła. Przyznała szczerze, sama przed sobą, że nawet jeśli nienawidzi Michaela, to cieszy się, że go spotkała. O dziwo, przyniosło jej to ulgę.

Następnego dnia wzięła prysznic i ubrała się w pół godziny. Włożyła zniszczone robocze ubranie. Wypiła kawę i przejrzała gazetę. Wyszła z mieszkania według planu, kilka minut przed dziewiątą. Zbiegała z Fredem po schodach, już rozmyślając o pracy. Kiedy dotarła na dół i podniosła wzrok, zatrzymała się jak wryta. Na ulicy przed domem stała ciężarówka, a na jej platformie olbrzymia tablica. Za kierownicą siedział Michael Hillyard. Patrzył na nią rozbawiony. Usiadła na ostatnim stopniu i wybuchnęła śmiechem. On chyba zwariował. Powiększył fotografię, którą mu wczoraj dała, umieścił na wielkiej tablicy i przyjechał z nią pod jej dom. Wysiadł z samochodu i podszedł do niej. Wciąż jeszcze się śmiała, kiedy usiadł obok.

- Jak ci się podoba?

- Chyba jesteś stuknięty.

- Możliwe, ale czy to nie wspaniałe? Pomyśl tylko, jak by wyglądały inne twoje prace, powiększone i zawieszane na ścianach budynków centrum medycznego. Robi wrażenie, prawda? - To on robił na niej wrażenie, ale nie mogła mu tego powiedzieć. - Zjedźmy razem śniadanie i porozmawiajmy, dobrze? - Nie przyjąłby odmownej odpowiedzi. Specjalnie dla niej odłożył wszystkie zajęcia.

Marie wzruszyła jego determinacja i trochę rozbawiła. Poza tym, nie była w nastroju do kolejnej awantury.

- Powinam odmówić, ale się zgadzam.

- Tak lepiej. Zapraszam do samochodu.

- Do tego? - Wskazała na ciężarówkę i roześmiała się.

- Jasne. Czy to zły samochód?

Wskoczyli do kabiny i pojechali na śniadanie do Fisherman's Wharf. W tej okolicy widok ciężarówki nie był niczym nadzwyczajnym, a poza tym nikt przecież nie mógł ukraść tak wielkiej fotografii.

Śniadanie okazało się nadszpiegowanie udane. Odłożyli na bok spory, przynajmniej na czas jedzenia.

- No i jak? Przekonałem cię? - Z pewną miną uśmiechnął się do niej znad filiżanki.

- Nie. Ale bardzo miło mi się z tobą rozmawiało.

- Powinienem się cieszyć nawet z tak małego sukcesu, ale to nie w moim stylu.

- A co jest w twoim stylu? Opisz własnymi słowami.

- Czy to znaczy, że już nie chcesz mi mówić, jaki jestem, tylko dajesz mi szansę do obrony?

- Żartował, ale w jego głosie słychać też było poważniejszy ton. Niektóre z jej wczorajszych słów

były bardzo bliskie prawdy i właśnie dlatego go zraniły. - Dobrze, powiem ci. Częściowo masz rację. Żyję pracą.

- Dlaczego? Nic innego się dla ciebie nie liczy?

- Chyba nie. Większość ludzi sukcesu postępuje tak samo. Po prostu na nic innego nie mają czasu.

- To głupie. Nie zawsze za sukces trzeba płacić rezygnacją z życia osobistego. Niektórzy doskonale łączą obie te sprawy.

- A ty?

- Na razie nie bardzo mi się to udaje. Może kiedyś... W każdym razie wiem, że to możliwe.

- Może i tak. Mnie chyba na tym po prostu nie zależy tak jak kiedyś. Słyszac te słowa, spojrzała na niego łagodniej.

- W ciągu ostatnich lat moje życie bardzo się zmieniło - opowiadał Michael. - Nic nie wyszło z wielu moich dawnych planów. Ale... inne rzeczy mi to wynagrodziły.

- Na przykład stanowisko prezesa Cotter-Hillyard. Wstydził się jednak powiedzieć to głośno.

- Ach, tak. Rozumiem, że nie jesteś żonaty.

- Nie. Nie miałem czasu. I chyba mnie do tego nie ciągnęło.

Cudownie. Wobec tego, może to lepiej, że się nie pobrali.

- Małżeństwo wydaje ci się nudne?

- W tej chwili, tak. A tobie?

- Też jestem wolna.

- Wiesz, mimo że tak mnie potępiasz, prowadzimy bardzo podobne życie. Praca cię pochłania tak samo jak mnie, jesteś równie samotna i też się zamykasz we własnym świecie. Dlaczego więc tak surowo mnie osądzasz? To niesprawiedliwe. - Mówił cicho, ale z wyrzutem.

- Przepraszam. Chyba masz rację.

Trudno jej było się o to spierać. Kiedy zastanawiała się nad jego słowami, poczuła, że dotknął jej dłoni. Miała wrażenie, że jej serce przeszywa ostry nóż. Odsunęła się i spojrzała na niego z urazą. Michael znowu posmutniał.

- Trudno cię zrozumieć.

- Chyba tak. Niektórych rzeczy nie umiałabym ci wytłumaczyć.

- Może kiedyś powinnaś spróbować. Nie jestem ta kim potworem, za jakiego mnie uważasz.

- Nie wątpię w to. - Patrzyła na niego i miała ochotę płakać. Czowała się tak, jakby się z nim żegnała. Jego widok jeszcze raz jej uświadomił to, czego nigdy w życiu nie będzie miała. Może teraz lepiej to wszystko zrozumie i łatwiej zapomni. Z cichym westchnieniem zerknęła na zegarek.

- Powinam wracać do pracy.

- Czy udało mi się chociaż trochę zachęcić cię do propozycji mojej firmy?

- Obawiam się, że nie.

Z niechęcią musiał przyznać, że przegrał. Teraz już wiedział, że Marie nigdy nie zmieni zdania. Wszystkie jego wysiłki na nic. Okazała się bardzo twardą kobietą. Mimo to lubił ją, zwłaszcza kiedy zachowywała się naturalnie. Pociągała go jej łagodność i dobroć. Od lat nikt nie zrobił na nim takiego wrażenia.

- Może dasz się namówić na wspólną kolację, Marie? Nie udało mi się podpisać z tobą umowy, więc byłaby to dla mnie nagroda pocieszenia.

Widząc jego minę, roześmiała się ciepło i poklepała go po rękę.

- Może kiedyś, ale nie teraz. Wyjeżdżam z miasta. Cholera. Przegrywał na wszystkich frontach.

- Gdzie jedziesz?

- Na Wschodnie Wybrzeże. W sprawie osobistej. Zdecydowała się na to przed kilkunastoma minutami. Wiedziała już, co musi zrobić. Nie chodziło o pogrzebanie przeszłości, a raczej o coś wręcz przeciwnego. Peter się nie mylił. Teraz i ona była o tym przekonana. Musiała, jak to określił, się wyleczyć.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy następnym razem przyjadę do San Francisco - powiedział Michael. - Mam nadzieję, że bardziej dopisze mi szczęście.

Możliwie. Możliwe też, że ona wtedy będzie już panią Gregson. Może to ją uleczy i przeszłość nie będzie już ważna.

W milczeniu wrócili do ciężarówki i Michael odwiózł Marie do domu. Przy pożegnaniu mówiła niewiele. Podziękowała mu za śniadanie, uścisnęli sobie dłonie i wbiegła po schodach do domu.

Michael przegrał. Kiedy patrzył, jak Marie odchodzi, poczuł dojmujący smutek. Wydało mu się, że stracił coś ważnego. Nie wiedział dokładnie, co. Kontrakt, kobietę, przyjaciela? Po raz pierwszy od długiego czasu ogarnęło go poczucie nieznośnej samotności. Wrzucił bieg i z ponurą miną przejechał przez Pacific Heights, a potem dalej, na wzgórze, do hotelu. Marie zaraz zadzwoniła do Petera Gregsona.

- Wieczorem? - zdziwił się. - Umówiłem się na ważne spotkanie. - Mówił zdyszonym głosem i śpieszył się do pacjentów.

- W takim razie przyjeźdź po spotkaniu. To ważne. Jutro wyjeżdżam.

- Gdzie? Na jak długo? - dopytywał się zatroskany.

- Powiem ci, kiedy się zobaczymy. Wieczorem?

- Dobrze, dobrze. Około jedenastej. Ale to jakieś szaleństwo, Marie. Czy ta sprawa nie może poczekać?

- Nie. - Czekala już dwa lata i to właśnie było szaleństwo.

- Dobrze. Zobaczymy się wieczorem. - Pośpiesznie odłożył słuchawkę.

Marie zadzwoniła do linii lotniczych i do weterynarza, żeby umówić się z nim w sprawie Freda.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Marie dopisało szczęście. Ktoś odwołał popołudniową wizytę, więc teraz siedziała w znajomym, przytulnym pokoju, w którym nie była od wielu miesięcy. Usadowiła się wygodnie na kanapie i z przyzwyczajenia wyciągnęła nogi przed kominkiem, chociaż nie palił się w nim ogień. Z roztargnieniem patrzyła na własne stopy w delikatnych sandałkach. Myślami odbiegła tak daleko, że nie słyszała nadejścia Faye.

- Medytujesz czy śpisz?

Marie podniosła wzrok. Faye usiadła w fotelu naprzeciw.

- Zamyśliłam się. Jak dobrze cię znowu widzieć. - Sama się dziwiła, że tak się cieszy z tej wizyty. Miała wrażenie, że wróciła do domu. Z łatwością dopasowała się do nastroju tego miejsca. Spędziła tu wiele wspaniałych i trudnych chwil.

- Mam ci powiedzieć, że pięknie wyglądasz, czy komplementy już cię nudzą? - Faye spojrzała na nią życzliwie. Marie roześmiała się.

- Komplementy nigdy mnie nie nudzą. - Tylko wobec Faye mogła się zdobyć na taką szczerość. - Pewnie jesteś ciekawa, dlaczego tutaj przyszedłam. - Spoważniała i po patrzyła lekarce prosto w oczy.

- To pytanie przebiegło mi przez myśl. - Wymieniły szybkie uśmiechy. Marie znowu zatopiła się w myślach.

- Widziałam Michaela.

- Odnalazł cię? - zapytała zaskoczona Faye. W jej głosie słychać było nutę podziwu.

- I tak, i nie. Odnalazł Marie Adamson. Tylko tyle wie. Jeden z jego współpracowników namawiał mnie, żebym im sprzedała niektóre z moich prac. Cotter-Hillyard buduje tu centrum medyczne. Chcą powiększyć moje fotografie do nadnaturalnych rozmiarów i wykorzystać w wystroju wnętrza.

- To bardzo pochlebna propozycja.

- Czy to ważne? Co mnie obchodzi, co Michael myśli o mojej twórczości? - Nie mówiła całej prawdy. Zawsze ją cieszyły jego pochwały. I nawet teraz odczuwała satysfakcję na myśl, że zwróciła jego uwagę swoimi pracami. - Jakiś czas temu była tu nawet jego matka. Powiedziałam jej to samo, co jemu. Odmówiłam. Nie jestem tym zainteresowana. Nie sprzedam ich swoich zdjęć. Nie będę dla nich pracowała. Kropka.

- A oni nadal cię namawiali?

- I to gorąco.

- To chyba miłe uczucie. Czy wiedzą, kim jesteś?

- Ben mnie nie poznał, ale matka Michaela tak. Chyba właśnie dlatego umówiła się ze mną na spotkanie. - Marie zamilkła i spuściła wzrok. Odbiegła myślą daleko, do pokoju hotelowego, w którym rozmawiała z Marion.

- Jak się czułaś, kiedy ją zobaczyłaś?

- Okropnie. Przypomniało mi się wszystko, co mi wyrządziła. Nienawidziłam jej. - W głosie Marie kryło się coś jeszcze, i Faye to zauważyła.

- I co jeszcze?

- No, dobrze. - Dziewczyna z westchnieniem podniosła wzrok. - Znowu czułam ból. Przypomniałam sobie, jak bardzo kiedyś pragnęłam, żeby mnie polubiła, a nawet pokochała, żeby mnie zaakceptowała jako żonę Michaela.

- Ona nadal cię odrzuca?

- Nie jestem pewna. Chyba tak. Jest chora. Zmieniła się. Wydawało mi się, że trochę żałuje tego, co zrobiła. Michael chyba nie był przez te dwa lata szczęśliwy.

- A jak ty na to zareagowałaś?

- Poczułam ulgę - wyznała z cichym, znużonym westchnieniem. - Potem zdałam sobie sprawę, że jego samopoczucie nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Między nami wszystko skończone, Faye. To należy do przeszłości. Jesteśmy już innymi ludźmi. Nie da się też ukryć, że Michael w ogóle nie starał się mnie odnaleźć. Pewnie nawet nie namawiałby mnie do współpracy z jego firmą, gdyby wiedział, kim naprawdę jestem, albo raczej by łam. Bo ja nie jestem już Nancy McAllister, a on nie jest Michaeliem, jakiego znałam.

- Skąd wiesz?

- Przecież go widziałam. Zrobił się szorstki, twardy, skoncentrowany wyłącznie na pracy, zimny. Nie wiem, może jest w nim coś z dawnego Michaela, ale bardzo się zmienił.

- Może zauważyłaś w nim ból? Rozczarowanie? Żal?

- Nie, Faye, porozmawiajmy raczej o zdradzie, po rzuceniu, ucieczce i tchórzostwie. Chyba właśnie o to tu chodzi, prawda?

- Nie wiem. Tak uważasz? Czy to właśnie czujesz, kiedy go widzisz?

- Tak. - Jej głos znowu brzmiał twardo. - Nienawidzę go.

- W takim razie nadal ci na nim zależy. - Marie chciała zaprotestować, ale tylko potrząsnęła głową. Łzy ukazały się w jej oczach. Przez długą chwilę w milczeniu patrzyła na Faye. - Nancy, kochasz go jeszcze? - Celowo nazwała ją dawnym imieniem.

Dziewczyna głęboko westchnęła, odchyliła głowę w tył i spojrzała na sufit. W końcu przemówiła monotonnym głosem.

- Może Nancy, a raczej to, co z niej zostało, jeszcze go kocha. Ale nie Marie. Teraz mam

nowe życie. Nie mogę sobie pozwolić na miłość do Michaela. - Spojrzała na Faye ze smutkiem.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ on mnie nie kocha. Ponieważ to mrzonki. Muszę się od tego uwolnić, całkowicie i do końca. Nie przyszedłem tu po to, żeby z płaczem ci wyznać, że nadal Kocham Michaela. Muszę ci jednak powiedzieć, co czuję. Nie mogę o tym rozmawiać z Peterem. Za bardzo by go to zmartwiło. Chcę zrzucić z siebie ten ciężar.

- Cieszę się, że do mnie przyszedłeś, Marie. Tylko nie jestem pewna, czy tak łatwo się uwolnisz od ciężaru przeszłości. Samo postanowienie nie wystarczy. To nie takie proste.

- Prawdę mówiąc, przeszłość się dla mnie skończyła już dwa lata temu, ale ja nie chciałam się z tym pogodzić, aż do dziś. Wmawiałam sobie, że mam to już za sobą. Myliłam się. Więc... - Usiadła prosto i spojrzała Faye prosto w oczy. - Jutro jadę do Bostonu, żeby załatwić pewną sprawę.

- Jaką sprawę?

- Dotyczącą przeszłości, a raczej uwolnienia się od niej. - Uśmiechnęła się po raz pierwszy od godziny. - Zostało tam coś, co trzeba zakończyć; coś, co łączyło mnie z Michaeliem. Dotychczas uważałam to za symbol naszej miłości, bo wierzyłam, że Michael mnie odnajdzie. Teraz muszę tam wrócić i pozbyć się tego.

- Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

- Tak. - Nawet w uszach Faye to słowo zabrzmiało pewnie i przekonująco.

- Czy masz pewność, że tak właśnie powinnaś zrobić?

- Tak.

- Nie chcesz powiedzieć Michaelowi, kim jesteś, czy byłeś, i sprawdzić, co się stanie? Marie drgnęła.

- Nie. To już się skończyło. Na zawsze. - Westchnęła i spuściła wzrok na dłonie. - Poza tym, to nie byłoby sprawiedliwe wobec Petera.

- Myśl o tym, co jest sprawiedliwe wobec Marie.

- Właśnie dlatego lecę jutro do Bostonu. Mam nadzieję, że po tej podróży całkowicie odzyskam wolność i będę mogła zaangażować się w związek z Peterem. To taki miły człowiek, i tyle dla mnie zrobił.

- Ale ty go nie kochasz.

Te słowa w ustach Faye brzmiały przerażająco. Marie szybko potrząsnęła głową.

- Kocham go!

- W takim razie, dlaczego tak trudno ci się zdecydować na trwały związek?

- Zawsze stał między nami Michael.

- To zwykła wymówka, Marie.

- Sama nie wiem. - Umilkła na długą chwilę. - Coś mnie zawsze powstrzymywało. Czegoś mi., brakuje. Chyba nie pozwalałam sobie na głębsze zaangażowanie. W jakimś sensie cały czas czekałam na Michaela. Wy daje mi się, że związek z Peterem to nie jest właściwa decyzja. Trudno mi to wytłumaczyć. Wina chyba leży we mnie.

- Dlaczego uważasz, że ten związek nie byłby właściwy?

- Nie jestem pewna, ale czasem mam wrażenie, że Peter mnie nie zna. Owszem, zna Marie Adamson, bo sam pomógł ją stworzyć. Jednak nie wie, kim była ta dziewczyna sprzed wypadku.

- Mogłabyś mu to wyjaśnić?

- Pewnie tak. Ale podejrzewam, że on wcale nie chce się tego dowiedzieć. Czuję się przy nim kochana, ale nie za to, jaka naprawdę jestem.

- Cóż, nie on jeden jest na świecie.

- Tak, ale to dobry człowiek. Może nam być razem dobrze.

- Nic z tego nie wyjdzie, jeśli go nie kochasz.

- Ależ ja go kocham. - Marie była coraz bardziej wzburzona.

- W takim razie nie denerwuj się. Wszystko się samo ułoży. Zawsze możesz tu wrócić i porozmawiać o tym ze mną, jeśli tylko przyjdzie ci na to ochota. Jednak najpierw uporajmy się z twoimi uczuciami do Michaela.

- Teraz chcę tylko pojechać na wschód. Potem będę wolna.

- Dobrze. Zrób to, ale przyjdź do mnie po powrocie. Zgadzasz się?

- Oczywiście. - Marie cieszyła się, że może tu znowu przychodzić. To jej przynosiło ulgę.

Faye z żalem spojrzała na zegarek i wstała. Minęło półtorej godziny, a za godzinę miała zajęcia ze studentami.

- Zadzwoń do mnie, kiedy przyjedziesz? Umówimy się na następną sesję.

- Zadzwonię, jak tylko wyląduję - obiecała Marie.

- Świetnie. Bądź dobra dla siebie podczas tej podróży. Nie zadręczaj się przeszłością. Jeśli będziesz miała jakieś kłopoty, zadzwoń do mnie.

Dobrze było wiedzieć, że może to zrobić. Marie wychodziła z gabinetu w lepszym nastroju. Po rozmowie z Faye łatwiej jej będzie wytłumaczyć swoją decyzję Peterowi.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Boston? Ale dlaczego, Marie? Nic nie rozumiem. -Peter był znużony i rozdrażniony, co mu się rzadko zdarzało. Miał za sobą długi dzień pracy i męczące spotkanie. Z tym centrum medycznym było tyle kłopotów. W dodatku rano będzie musiał się spotkać z architektami. Dlaczego zgodził się na udział w pracach komitetu? Przecież tyle ciekawszych rzeczy można robić w wolnym czasie. - Taki nagły wyjazd. Ty chyba oszalałaś.

- Wcale nie. Muszę jechać. Jestem już gotowa. Przeszłość się dla mnie skończyła. Nic mnie nie obchodzi.

- Tak cię nie obchodzi, że kiedy o mało nie zderzyliśmy się z innym samochodem, histeryzowałaś przez godzinę? Wciąż żyjesz przeszłością.

- Zaufaj mi. Muszę tylko załatwić jedną nie dokończoną sprawę i będę wolna. Wrócę pojutrze.

- To szaleństwo.

- Nie. Wcale nie.

Marie mówiła tak spokojnie i stanowczo, że z westchnieniem rezygnacji opadł na kanapę. Może ona jednak wie, co robi.

- Dobrze. Nic z tego nie pojmuję, ale mam nadzieję, że się nie mylisz. Dasz sobie radę?

- Nic mi się nie stanie. Jeszcze raz cię proszę, zaufaj mi.

- Ufam ci, kochanie. Nie o to chodzi. Tylko... Sam nie wiem. Nie chcę, żebyś znów cierpiała. Czy mogę ci zadać jedno pytanie?

O, Boże. Miała nadzieję, że nie to, którego się najbardziej bała. Jeszcze nie teraz. Ale nie to miał na myśli, kiedy przyglądał się jej uważnie.

- Pytaj. - Czekala w napięciu, jak na operację.

- Czy wiesz, że Michael Hillyard jest w San Francis co?

- Tak - odparła dziwnie spokojnie.

- Widziałaś się z nim?

- Tak. Przyszedł do galerii. Chce, żebym z nim współ pracowała przy pewnym projekcie, który tu realizuje jego firma. Odmówiłam mu.

- Wie, kim jesteś?

- Nie.

- Dlaczego mu nie powiedziałaś?

Teraz mogłaby mu wyjawić treść umowy z Marion Hillyard, ale było już za późno. Poza tym, to nie miało już znaczenia.

- Bo to by nic nie zmieniło. Zerwałam z przeszłością.

- Jesteś pewna?

- Tak. Właśnie dlatego wybieram się do Bostonu.

- W takim razie cieszę się. - Nagle w jego oczach pojawił się niepokój. - Czy ta podróż ma coś wspólnego z Hillyardem? - Uświadomił sobie, że to niemożliwe. Przecież jutro rano miał się z nim spotkać. Marie stanowczo potrząsnęła głową.

- Nie. Nie tak, jak myślisz. To się łączy z moim dawnym życiem i dotyczy tylko mnie. Nie chcę nic więcej wyjaśniać.

- Uszanuję to.

- Dziękuję.

Wyszedł, czule całując ją na pożegnanie. Wyczuł, że pragnie zostać sama. Noc przyniosła ukojenie i Marie nadal była spokojna, kiedy rano zawiozła Freda do weterynarza. Dobrze wiedziała, co chce zrobić i dlaczego. Czowała, że postępuje słusznie.

Przyjechała na lotnisko na długo przed odlotem samolotu, a w Bostonie wylądowała o dziewiątej wieczorem. Zastanawiała się, czy od razu nie załatwić wszystkiego, ale postanowiła nie kusić losu. Odłożyła to do rana. Już wcześniej wypożyczyła samochód. Jutro zrobi to, co planowała, i ostatnim samolotem wróci do domu.

Kiedy wieczorem zasypiała w motelu, czuła się jak ktoś, kto ma do spełnienia ważną misję. Nie nęciło ją zwiedzanie miasta, nie chciała nikogo odwiedzać. Miała wrażenie, że to sen sprzed dwóch lat, który jej się śni ostatni raz.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Doktorze Gregson? Słucham? - Wciąż jeszcze był rozkojarzony, kiedy do gabinetu weszła sekretarka. Przed chwilą Marie zadzwoniła do niego z lotniska. Nadal nie pochwalał tego wyjazdu, ale musiał uszanować jej decyzję w tak osobistej sprawie. Jednak wiedział, że poczuje się o wiele lepiej, kiedy Marie wróci jutro do domu. Podniósł wzrok i spojrzał na sekretarkę. - Słucham? - zapytał przytomniej.

- Przyszedł pan Hillyard. Mówi, że jest z panem umówiony. Towarzyszą mu trzej współpracownicy.

- W porządku. Proszę ich wpuścić.

Tylko tego mu teraz brakowało. Ale dlaczego nie? Przynajmniej obejrzy sobie tego chłopca. Był tak młody, że mógłby uchodzić za jego syna. Co za okropna myśl. Ciekawe, czy Marie też to kiedyś przyszło do głowy.

Czterech mężczyzn weszło do gabinetu i przywitało się z doktorem. Rozpoczęło się spotkanie. Chcieli zapewnić sobie jego wsparcie przy organizowaniu nowego centrum medycznego. Już pozyskali piętnastu wybitnych lekarzy do swojego „zespołu”. Nie było też wątpliwości, że budynki centrum są doskonale usytuowane i bardzo dobrze zaplanowane. Łatwo przyszło mu podjąć decyzję. Zgodził się urządzić tam swój nowy gabinet i wyraził chęć przeprowadzenia rozmów z kilkoma kolegami. Cały czas mechanicznie odpowiadał na pytania i zafascynowany obserwował Michaela. A więc to jest Michael Hillyard. Nie wyglądał na groźnego przeciwnika. Był młody, dość przystojny i bardzo pewny siebie. Z niepokojem Peter zdał sobie sprawę, że chłopak jest bardzo podobny do Marie. Oboje byli równie energiczni, zdecydowani, a nawet mieli podobne usposobienie. Peter poczuł się odsunięty. Nagle wiele zrozumiał. Długo siedział w milczeniu, obserwując Michaela. Już nie słuchał toczącej się wokół niego rozmowy. Musiał pogodzić się z prawdą, której tak długo unikał. Zastanawiał się też, po co tak naprawdę Marie wyjechała do Bostonu. Chciała zerwać z resztkami przeszłości, czy je uczcić? Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że nie ma prawa wtrącać się w jej życie. Patrząc na Michaela, miał wrażenie, że ogląda inne oblicze Marie, o którego istnieniu nie miał pojęcia. Ten człowiek reprezentował rozdział w jej życiu, którego Peter nie rozumiał ani nie chciał znać. Pragnął, żeby ta dziewczyna była wyłącznie Marie Adamson. Nigdy nie widział w niej Nancy. Stała się kimś nowym, kimś, kto narodził się w jego rękach. Teraz zrozumiał, że oprócz Marie istnieje ktoś jeszcze. Kawalki układanki stworzyły nagle jedną całość. Ogarnęło go poczucie rezygnacji i przegranej. Toczył bitwę nie do wygrania. Chciał ocalić własną przeszłość. Marie była dla niego kimś nowym, ale dostrzegał w niej przebliski kobiety, którą kiedyś pokochał, a która umarła...

Cenił sobie zarówno Marie, którą sam pomógł stworzyć, jak i to, co miała z Livii. Być może nie miał do tego prawa. Nigdy przedtem nie miał takiej swobody w postępowaniu z pacjentką, ponieważ Marie oprócz niego nie miała nikogo, na kim mogłaby się oprzeć. Stał się dla niej wszystkim, ale nie tym, czym najbardziej chciał zostać. Patrząc na Michaela, zdał sobie sprawę, że on, Peter, odgrywał w jej życiu rolę ojca. Marie jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy, ale z czasem to pojmie.

Spotkanie dobiegło końca. Wszyscy wstali i uścisnęli sobie dłonie. Współpracownicy Michaela wyszli już z gabinetu i zatrzymali się w poczekalni. Gregson i Michael wymieniali uprzejmości, kiedy nagle chłopak zamarł i wpatrzył się w coś ponad ramieniem lekarza. Był to obraz, który Nancy zaczęła malować dwa lata temu... chciała mu go dać jako ślubny prezent... po jej śmierci, jakieś pielęgniarki go ukradły z jej mieszkania. A teraz znalazł się w gabinecie lekarza, w dodatku dokończony. Michael jak zahipnotyzowany zbliżył się do obrazu, zanim Gregson zdążył go powstrzymać. Zresztą nic by go nie powstrzymało. Stał zapatrzony. Szukał podpisu, jakby już wiedział, co zobaczy. Dostrzegł w rogi drobne litery. Marie Adamson.

- O, mój Boże... O, Boże... - Tylko tyle był w stanie powiedzieć. - Ale jak to się stało? Przecież.. O, Boże... Dlaczego nikt mi nie powiedział? Co, na litość... - Ale już rozumiał. Okłamali go. Ona żyje, odmieniona, ale żyje. Nic dziwnego, że go zienawidziła. Niczego się nie domyślał, jednak przez cały czas coś w tej dziewczynie i w jej fotografiach przykuwało jego uwagę. Ze łzami w oczach spozjrzał na Gregsona.

Peter popatrzył na niego ze smutkiem. Bał się tego, co miało zaraz nastąpić.

- Zostaw ją w spokoju, Hillyard. Ona zerwała z przeszłością. Już się wystarczająco nacierpiła. - Wypowiadał te słowa bez przekonania. Patrzył na Michaela i wcale nie był pewien, czy chłopak rzeczywiście powinien trzymać się od Marie z daleka. W głębi duszy pragnął mu powiedzieć, gdzie pojechała. Zdziwiony Michael znowu patrzył na obraz.

- Okłamali mnie, Gregson. Wiedziałeś o tym? Okłamali mnie. Powiedzieli mi, że ona nie żyje. - W oczach wzbierały mu łzy. - Przez dwa lata byłem jak martwy, pracowałem jak robot, żałowałem, że to nie ja wtedy zginąłem zamiast niej, a ona przez cały czas... - Na chwilę zabrakło mu głosu, a Peter odwrócił wzrok. -Kiedy ją teraz zobaczyłem, nawet mi przez myśl nie przeszło, że to ona. To ją pewnie dobiło. Nic dziwnego, że mnie nienawidzi. Ona mnie nienawidzi, prawda?

Michael opadł na fotel. Nie odrywał wzroku od obrazu.

- Nie. Marie nie czuje do ciebie nienawiści. Chce o wszystkim zapomnieć. Ma do tego prawo. - A ja mam prawo do niej. Chciał powiedzieć to na głos, ale nie potrafił.

Michael zdawał się słyszeć jego myśli. Nagle przypomniał sobie, co mu mówiono o opiece Marie, o jakimś chirurgu plastyku. Te słowa zadźwięczały mu wyraźnie w uszach.



Opanował go gniew i ból, narastający od dwóch lat. Chłopak skoczył na równe nogi i chwycił Gregsona za klapy.

- Chwileczkę, do cholery! Jakie masz prawo mi mówić, że ona chce o wszystkim zapomnieć? Skąd, u diabła, to wiesz? Przecież nie rozumiesz, co nas kiedyś łączyło. Nie zdajesz sobie sprawy, co to dla nas znaczy, dla niej i dla mnie. Gdybym bez słowa usunął się z jej życia, miałbyś wolną rękę. O to ci chodzi, Gregson? Do tego zmierzasz? Niech cię szlag! Nie próbuj się wtrącać w moje życie. Zbyt wiele osób już to robiło. Tylko Nancy może mi powiedzieć, że między nami wszystko skończone.

- Już ci powiedziała, żebyś ją zostawił w spokoju - zauważył cicho Peter, spoglądając Michaelowi w oczy.

Michael odsunął się od niego. Na jego twarzy mieszały się gniew, zagubienie i nadzieja. Po raz pierwszy od dwóch lat widać było na niej jakieś uczucia.

- Nie, Gregson. To Marie Adamson chciała, żeby ją zostawić w spokoju. Nancy McAllister od dwóch lat nie odezwała się do mnie ani słowem. Będzie musiała mi wiele wytłumaczyć. Dlaczego nie zadzwoniła, nie napisała? Dlaczego nie dała żadnego znaku życia? I dlaczego mi powiedzieli, że umarła? Czy to ona tak postanowiła, czy... ktoś inny? A tak dla ścisłości, kto zapłacił za operacje? - Zadał to pytanie niechętnie, bo wiedział, jaka będzie odpowiedź. Nie spuszczał wzroku z twarzy lekarza.

- Nie znam odpowiedzi na niektóre z twoich pytań.

- A na niektóre znasz?

- Nie jestem upoważniony...

- Nie próbuj tylko... - Michael znów ruszył na niego, ale Peter powstrzymał go ruchem dłoni.

- Twoja matka płaciła za wszystkie operacje Marie i za koszty jej utrzymania od czasu wypadku. To bardzo szczodry dar.

Właśnie takiej odpowiedzi obawiał się Michael, ale nie był nią wstrząśnięty. To doskonale pasowało do całego obrazu. Zapewne matka, kierując się jakimś błędnym, obłąkańczym rozumowaniem, wierzyła, że robi to dla dobra syna. Przynajmniej teraz naprowadziła go na trop Nancy. Popatrzył na lekarza i skinął głową.

- A ty, Gregson? Co tak naprawdę łączy cię z Nancy?

- Chciał się dowiedzieć wszystkiego.

- Ten problem ciebie nie dotyczy.

- Słuchaj no... - Znów chwycił Petera za marynarkę, ale ten tylko uniósł ramiona.

- Skończmy tę scenę - powiedział ugodowo. - Marie zna wszystkie odpowiedzi. Wie, czego

i kogo chce. Być może nie wybierze żadnego z nas. W końcu nie widzie liście się przez dwa lata, obojętnie z jakiej przyczyny. Jeśli o mnie chodzi, to jestem od niej dwa razy starszy i zdaje się, że cierpię na kompleks Pigmaliona. - Ciężko usiadł za biurkiem i uśmiechnął się smutno. - Można powiedzieć, że żaden z nas nie jest dla niej wystarczająco dobry.

- Możliwe, ale tym razem chcę to usłyszeć z ust Nancy. - Spojrzał na zegarek. - Natychmiast do niej jadę. Nie masz po co. - Peter spoglądał na niego, gładząc brodę. Był niemal skłonny życzyć mu powodzenia. Niemal. - Zanim tu przyszedłeś, dzwoniła do mnie z lotniska. Michael znowu zamarł z przerażenia.

- Co takiego? A dokąd poleciała?

Peter Gregson długo się wahał. Nic nie musiał temu chłopcu mówić. Nie musiał...

- Poleciała do Bostonu.

Michael przez chwilę patrzył na niego w zadumie i nagle w jego oczach pokazał się cień uśmiechu. Chłopak rzucił się do drzwi. Przystanął w progu, obejrzał się i z szerokim uśmiechem ukłonił się Peterowi.

- - Dziękuję.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Wstała o świcie, rześka i pełna energii. Od lat nie czuła się tak dobrze. Była już prawie wolna, a za kilka godzin uwolni się całkowicie. Miała wrażenie, że do tej pory więziła ją ta dziecienna obietnica. Sama do tego dopuściła. Pozwoliła, żeby tamte słowa miały nad nią władzę.

Nie traciła czasu na śniadanie. Wypiła tylko dwie filiżanki kawy i wsiadła do wypożyczonego samochodu. Dojedzie tam za dwie godziny, przed dziesiątą. Wróci do motelu w południe. Pewnie zdąży jeszcze na samolot do San Francisco i dotrze do domu przed wieczorem. Może nawet wstąpi do biura Petera i go zaskoczy. Biedaczek, wykazał przed jej wyjazdem tyle cierpliwości.

Myślała o nim podczas jazdy. Żałowała, że nie dała mu z siebie więcej, że nie była w stanie tego zrobić. Może dzisiejszy dzień to zmieni. A może chodzi o to, że... Nawet nie dokończyła w myślach tego pytania. Oczywiście, że go kocha. Nie na tym polega problem.

Jechała przez wiejskie okolice Nowej Anglii, nie zwracając uwagi na otoczenie. Krajobraz był szary i smutny, wiosenne liście jeszcze się nie pojawiły. Marie zdawało się, że również ta kraina przez dwa lata leżała pogrzebana. O dziewiątej trzydzieści minęła Revere Beach, gdzie kiedyś znajdowało się wesołe miasteczko. Kiedy rozpoznała to miejsce, serce w niej drgnęło. Podążyła dalej starą drogą, wijącą się wzdłuż wybrzeża. Potem zatrzymała samochód i wysiadła. Zesztywniała, ale nie czuła zmęczenia. Ogarnęło ją uniesienie i nerwowe napięcie. Musi to zrobić... Musi... Już z tego miejsca widziała znajome drzewo. Patrzyła na nie przez długi czas, jakby kryło w sobie wszystkie sekrety, jakby znało historię jej życia i oczekiwało jej powrotu. Wolno ruszyła w jego stronę, jak na powitanie starego przyjaciela. Ale to już nie był przyjaciel. Jak wszystko i wszyscy, których kiedyś kochała, zmieniło się w coś obcego. Po prostu kolejna garść ziemi na grobie Nancy McAllister.

Pod drzewem na chwilę przystanąła, a potem przeszła po piachu do kamienia. Leżał na swoim miejscu. Nie zmienił się. Nic się tu nie zmieniło, tylko ona i Michael poszli każde w swoją stronę, w dwa osobne światy. Stała jakiś czas nieruchomo, jakby zbierała wszystkie siły i odwagę. W końcu schyliła się i pchnęła ciężką bryłę. Kamień się odchylił na bok. Przytrzymała go i patykiem zaczęła szybko szukać tego, co tu schowała. Nic nie znalazła. Opuściła kamień, złapała oddech i z nową siłą jeszcze raz go pchnęła. Tym razem stwierdziła z całą pewnością, że korale zniknęły. Ktoś już je zabrał. Puściła kamień, który osunął się na miejsce. Nagle usłyszała głos.

- Nie zabierzesz ich. One należą do kogoś, kogo kochałem i kogo nigdy nie zapomnę - przemówił do niej Michael ze łzami w oczach. Czekał tu na nią od północy. Przyleciał czarterowym samolotem, żeby zdążyć przed nią. Gdyby musiał, przyfrunąłby tu na własnych

skrzydłach. Wyciągnął rękę.

Zobaczyła korale, wciąż oblepione piachem spod kamienia. Na ten widok jej oczy też napełniły się łzami.

- Przysięgłem, że nigdy nie powiem ci „żegnaj” i do trzymałem słowa. - Cały czas patrzył jej w oczy.

- Nie próbowałaś mnie odnaleźć.

- Powiedzieli mi, że nie żyjesz.

- Obiecałam, że nigdy się z tobą nie spotkam, jeśli... jeśli dostanę nową twarz. Obiecałam to, bo wiedziałam, że mnie odszukasz. A ty... tego nie zrobiłeś.

- Szukałbym cię, gdybym wiedział, że żyjesz. Pamiętasz, co mi przysiękałeś?

Zamknęła oczy i wyrecytowała poważnie, jak dziecko. Po raz pierwszy od długiego czasu mówiła głosem Nancy McAllister, tym, który kochała, a nie gładkim i wyuczonym.

- Przysięgam, że nigdy nie zapomnę, co tutaj ukryłam i zawsze będę pamiętała, co znaczą te korale.

- Zapomniałaś? - Łzy wolno spływały mu po policzkach. Myślał o Gregsonie i minionych latach. Potrząsnęła głową.

- Nie zapomniałam, chociaż bardzo się o to starałam.

- Nadal chcesz zapomnieć? Nancy, czy... - Głos uwiązł mu w gardle. Podszedł do niej o mocno ją objął. - Kocham cię, Nancy. Zawsze cię kochałem. Nie chciałem żyć, kiedy ty zginęłaś... kiedy mi powiedzieli, że umarłaś. W tamtej chwili skończyło się moje życie.

Gwałtowny płacz nie dawał jej mówić. Nancy przypomniała sobie ciągnące się bez końca dni, miesiące i lata beznadziejnego oczekiwania. Przytuliła go mocno, jak dziecko przytula lalkę, jakby nigdy nie chciała wypuścić go z objęć. W końcu złapała oddech i uśmiechnęła się.

- Ja też cię kocham, najdroższy. Zawsze wierzyłam, że mnie odnajdziesz.

- Nancy... Marie... jakkolwiek się teraz nazywasz... - Jak dzieci, roześmiali się przez łzy. - Czy wyświadczysz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną? Tym razem pobierzemy się jak cywilizowani ludzie. Będzie ślub, goście, muzyka i... - Pomyślał o ślubie matki, który odbył się zaledwie parę tygodni temu. To dziwne, ale w ogóle nie czuł gniewu. Powinien znienawidzić Marion za to, co zrobiła, ale pragnął jej wybaczyć. Odzyskał Nancy. Tylko to się dla niego liczyło. Myśląc o ślubie, uśmiechnął się do ukochanej. Z przerażeniem zobaczył, że przecząco kręci głową.

- Po co tak długo czekać? Zrezygnujmy z hucznego przyjęcia, gości i...

- Nie. Dlaczego? Ale zróbmy to szybko. Nie zniosłabym długiego oczekiwania. Bałabym się, że znowu coś się przydarzy, być może tym razem tobie.

Skinął głową i objął ją mocniej. Fale huczały cicho, a zza chmur wyjrzało blade słońce.

Rozumiał.